M.B. im. L.W. w Łodzi

- Zbigniew Nienacki pisze nową trylogię — str. 2
- Dlaczego nie ma szkoły w Bedoniu? —str. 5
- Kto będzie czwartą żoną Henryka Debicha? — str. 7
- Kiedyś w Łodzi budowano samoloty — str. 10
- Portugalczycy bawią się na ulicach — str. 12

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 11 (1511) ROK XXX 14 MARCA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Foto: Grzegorz Galasiński

Jak żyć? Jakimi w życiu kierować się wartościami? Co to są te wartości? Co lepiej: mieć samochód, czy uczestniczyć w życiu kulturalnym?

Niesprawiedliwy podział czy sprawiedliwa bieda?

Opublikowany w 1986 roku cykl artykułów Tadeusza Mendelskiego pt. „Chleb i idee" wzbudził duże zainteresowanie czytelników, zwrócono się też do redakcji z propozycją zorganizowania dyskusji nad zawartymi tam poglądami. Z inicjatywą taką zwróciła się między innymi Komisja Kultury KD PZPR Śródmieście. Dyskusja odbyła się w lutym 1987 roku.

Problem wartości w socjalizmie, ich hierarchii budzi u wielu ludzi wątpliwości, a nawet niepokój. Właściwa hierarchia wartości — rzeczy, idei uznanych za pożądane, ważnych dla życia i godnych szacunku — pozwalają znaleźć odpowiedź na pytanie: jak żyć? Co uznać w życiu za ważne, czemu warto poświęcić swoją uwagę, siły, czas, a co nie jest istotne i można pominąć? Istniejąca obecnie hierarchia wartości — jak wskazywano w dyskusji — wysuwa na plan pierwszy gromadzenie dóbr materialnych tylko dla satysfakcji płynącej z faktu ich posiadania. Czy to jest właściwe? Czy to nie rodzi pewnych niebezpieczeństw? W długiej i wielowątkowej dyskusji szukano między innymi odpowiedzi na te pytania. Przedstawiamy poniżej obszerne, nieautoryzowane fragmenty dyskusji, w której udział wzięli:

— **ANDRZEJ BAGŁAJ** — wiceprzewodniczący Zarządu Dzielnicowego ZSMP w Śródmieściu,

— **DANIELA BANACHOWICZ** — magazynierka, I sekretarz POP PZPR w ZPDz. „Iwona",

TERESA GAJDEROWICZ — sekretarz Komisji Kultury KD PZPR Śródmieście, pracownik KD PZPR Śródmieście,

— **HALINA KWIATEK** — członek prezydium Komisji Kultury KD PZPR Śródmieście, dyrektor Dzielnicowego Domu Kultury w Śródmieściu,

— **TADEUSZ MENDELSKI** — doktor filozofii, pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego,

— **HENRYK NALEWAJCZYK** — pracownik MPK, I sekretarz POP PZPR w MPK,

— **STANISŁAW ŚREDZIŃSKI** — członek Komisji Kultury KD PZPR i Komisji Kultury KD PZPR Śródmieście, kierownik Międzyzakładowego Ośrodka Kultury Robotniczej,

— **CZESŁAW ŚWIĄTKIEWICZ** — mistrz w Zakładach „Prexer", I sekretarz POP PZPR w „Prexerze", członek Łódzkiej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej,

Redakcję „Odgłosów" reprezentowali: **EDMUND LEWANDOWSKI, BOGDA MADEJ i GRAŻYNA OLECHNOWICZ.**

4

Wszystko, co jest inne niż to, do czego przywykliśmy budzi wątpliwości. Rolnictwo bez chemii też. A jednak...

Jest interes do zrobienia

PAWEŁ TOMASZEWSKI (2)

Trzy lata temu, w lutym 1984 roku pracownik wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Wieluniu, Michał Tarka wybrał się do Warszawy na kurs rolnictwa biodynamicznego. Kiedy po tygodniu wrócił do domu do Wierzchlasu, czuł się tak, jakby przyjechał z zupełnie innego świata. Był oszołomiony tym, co tam usłyszał i zobaczył. Nie mógł uwierzyć, że choć uczył się rolnictwa i w technikum, i potem na studiach, tak jednostronne miał o nim pojęcie i tak długo nie zdawał sobie sprawy, czym może ono być, a nawet — czym być powinno. Kiedy jednak przemyślał sobie wszystko, przeanalizował kolejny raz, powziął wspólnie z żoną decyzję: będą produkować zdrową żywność. I jeszcze tej samej wiosny spróbował słowa przemienić w czyn.

Zaczął od jednohektarowego poletka po teściach, które było w dzierżawie. Posiał na nim pszenicę, posadził ziemniaki w dwóch odmianach i czekał co z tego będzie bez żadnych nawozów sztucznych, bez chemicznych środków ochrony roślin. Niecierpliwił się, jak wypadnie ta próba. Wypadła całkiem dobrze. Pszenica obrodziła na poziomie 50 kwintali, ziemniaki — 190. Nie była to przy tym jeszcze uprawa biodynamiczna w pełnym tego słowa znaczeniu, a jedynie wstęp do niej, etap pośredni. Nafaszerowana syntetycznymi nawozami gleba oczyszcza się z ich pozostałości 4—5 lat. Tyle mniej więcej — jak zauważono — trwać musi bowiem zwykle „kuracja odwykowa", w czasie której bardziej należy liczyć na straty niż na jakikolwiek zysk. Może to oczywiście odstraszać tych rolników, którzy skłonni byliby przejść na rolnictwo ekologiczne. I zapewne odstrasza. Innej drogi jednak nie ma.

Michał Tarka nie wprowadził wtedy jeszcze wszystkich preparatów biodynamicznych, służących do przygotowywania kompostu oraz — oprysków. Mimo to, pewne symptomy poprawy były już wyraźnie widoczne. Tam, gdzie rosły ziemniaki pojawiło się na przykład tyle dżdżownic, ile nie było ich od lat. Sąsiedzi podpatrujący, jak idą wykopki, nie mogli się temu nadziwić. Ale trudno było wyciągnąć od nich jakieś słowo, a i sami o nic nie pytali, choć Tarka nie czynił z niczego tajemnicy.

POLSKI ROLNIK JEST ZBYT DUMNY,

by ot tak przyjść do sąsiada i wypytywać go, dlaczego coś robi. Co najwyżej przyjdzie w pole popatrzeć. Polski rolnik nie lubi też zbytnio tych różnych nowoczesności. Jest urodzonym sceptykiem. Niełatwo przekonać go, że nagle coś trzeba inaczej. On swoje wie.

„Dziwactwo" młodego Tarki nie znalazło więc w Wierzchlasie póki co naśladowców, jakkolwiek zza płotów obserwowano je z uwagą. Ale to się przecież może zmienić — za rok, dwa, za pięć lat. Już się chyba trochę zmieniło. Ludzie zaczynają szeptać między sobą, że w tym rolnictwie biodynamicznym to chyba jednak coś musi być. I przypominają sobie, że ich dziadowie też nie sypali nawozów sztucznych, a wszystko im rosło tak, że szkoda gadać. Na samym oborniku. Tylko że młody Tarka wcale nie wozi obornika w pole, powiada, że to też może być trucizna, i przerabia go na kompost. No, i z tym kompostem coś jeszcze kombinuje. Tak, że nie wiadomo na razie, co mu w końcu z tych eksperymentów wyjdzie.

W Urzędzie Gminy też jak dotychczas raczej nastrój wyczekiwania, mniej lub bardziej życzliwej obojętności. Wytyczne z góry mówią o **stosowaniu pełnego nawożenia mineralnego w celu dalszego zintensyfikowania produkcji roślinnej. A on chce bez nawozów. Dziwna sprawa. Ale jego ziemia, jego pieniądze, jego strata.**

Sztuczny nawóz działa podobnie jak narkotyk: daje ulgę, łagodzi ból lecz zatruwa organizm, który — uzależniony — domaga się coraz większych dawek. W Europie Zachodniej zużycie nawozów sztucznych wzrasta prawie trzykrotnie szybciej od wydajności, jaką się dzięki temu uzyskuje. Nie wygramy więc tego wyścigu. Nie mamy szans, bo nie można przecież zwiększać dawki nawozu w nieskończoność. Co w takim razie zamiast chemii? Obornik? — Także nie — twierdzą naukowcy — gdyż rośliny nie mogą prawidłowo rosnąć i plonować, mając korzenie w tej samej warstwie gleby, gdzie odbywają się procesy rozkładu obornika. Ale obornik zawsze można przerobić na inny, w pełni już wartościowy i nieszkodliwy nawóz naturalny, jakim jest kompost.

W rolnictwie biodynamicznym nawozi się glebę dojrzałym kompostem, sporządzonym głównie z obornika (najlepiej krowiego) i części roślinnych takich jak: słoma, liście, ziemniaczane łodygi, chwasty, torf, a nawet trociny. W zależności od składu i przeznaczenia dojrzewanie kompostu w specjalnie ułożonych pryzmach powinno trwać od dwóch tygodni do... dwóch lat. Ale to jeszcze nie wszystko. Żeby kompost był naprawdę pełnowartościowy i odpowiedni, należy dodać do niego również preparaty biodynamiczne w ściśle określonych ilościach, określonym czasie i w określonych miejscach pryzmy. To bardzo ważne zalecenie.

6

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos Zenon J Michalski, Ryszard Nakoniecznv Jerzy Panasewicz Karol J. Strvjski Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka Ruch" 91-103 Łódź, ul Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa Książka — Ruch" Łódź, ul Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów

Warunki prenumeraty: 1 Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa - Książka - Ruch" opłacaja prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2 Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa - Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa - Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa - Książka Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka - Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 28 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 -201045 139 11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny - do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 665. H-2.

Przegląd prasy

Zbigniew Nienacki dość często wypowiada się na temat literatury, krytyki literackiej i roli erotyki w naszym społeczeństwie. Ostatnio udzielił wywiadu Halinie Zarzeckiej, kierowniczce Działu Zaopatrzenia Rynku tygodnika konsumentów „VETO" (nr 10). Indagowany w sprawie kobiet w jego życiu, pisarz odpowiedział:

„Jestem żonaty od 33 lat, nie rozwodziłem się, wciąż jedna i ta sama kobieta zajmuje ważne miejsce w moim życiu. Nie znajdzie pani w moim domu ani pornograficznego pisemka, ani pornograficznej kasety wideo. Uważam natomiast, zgodnie z nauką, że człowiek jest istotą nie tylko społeczną, ale i biologiczno-społeczną i jego postępowanie bywa zdeterminowane tak przez życie społeczne i kulturowe, jak i przez biologię, choć nie u każdego osobnika w tym samym stopniu. Tym poglądom daję wyraz w swoich utworach literackich, staram się ukazać «pełnych ludzi». Nie piszę o sobie, a o innych. Gdybym napisał o sobie, byłaby to nudna historia o pracowitym człowieku i jego nudnym małżeństwie, choć jemu wydaje się, że ono nie jest nudne. Nie, nie widzę w swoim życiu materiału na powieść. Dobra powieść o współczesnym świecie musi mówić o przemocy, o gwałcie, o wulgarności, o strachu, o ucieczce w seks, taki jest bowiem współczesny świat".

Licznych miłośników powieści „Raz w roku w Skiroławkach" i „Wielki las" zainteresuje na pewno wiadomość, że Zbigniew Nienacki

PISZE NOWĄ POWIEŚĆ.

Swoje plany twórcze przedstawia następująco:

„Pracuję nad książką, w której spróbuję złamać kolejne tabu — zmowę milczenia wokół sprawy powstania naszego państwa, którą wiąże się z datą chrztu, choć wszyscy wiedzą, że powstało ono przynajmniej 200 lat wcześniej. Proszę sobie wyobrazić, że o Polsce przedchrześcijańskiej mamy tylko dwie powieści: «Starą Baśń» Kraszewskiego i «Myszy Popiela» Przyborowskiego. Gardzimy własnymi korzeniami, choć historycy i archeologowie dziesiątki lat ukazywali nam wspaniałości tej dawnej Polski. Piszę trylogię «DAGOME IUDEX» o tamtych czasach. Po tę trylogię znowu będą ustawiać się kolejki, polujacze zaczną pisać, że wykupuje się tę książkę dla jej scen erotycznych. Ale czy to ja jestem winien, że w łęczyckiej starodawnej studni znaleziono drewnianego phallusa, używanego przez naszych protoplastów do obrzędów religijnych? Ich obyczajowość była erotyczna, nastawiona na rozrodczość, gościowi oddawali do łóżka własne żony i córki, trudnili się nierządem itd., itp. Czemu mam kłamać i dawać obraz innego społeczeństwa, takiego jak w «Starej Baśni»? Z charakterystyczną dla mnie zarozumiałością oświadczam Pani, że gdy ukaże się ta trylogia, zmniejszy się oglądalność telewizyjnych programów, wyłączy się magnetowidy, a pismo, któremu zaofiaruję choćby fragment, przy odpowiedniej reklamie, podniesie swój nakład trzykrotnie. Pismaki przekonają się wtedy jak wielka jest siła literatury, gdy bierze się za nią nie pisarz niedzielny, ale zawodowiec, fachowiec. Oczywiście, nie erotyką żyje literatura. Będzie to także psychoanalityczna wizja naszego narodu, który już u swoich korzeni (jak w dzieciństwie osobowości ludzkiej) kształtował swoje cechy dobre i złe. Będzie to książka o problemie władzy, o mechanizmie sztuki rządzenia; będzie przy tym pełna przygód i dramatyczności".

Zbigniew Nienacki pragnie pokazać, że w Polsce przedchrześcijańskiej nie gorzej się żyło niż w starożytnym Rzymie, że była krajem bogatym i kulturalnym. *„Potrzebna nam — mówi — nowa «trylogia», choć napisana odmiennie od Sienkiewiczowskiej, ba, może nawet przeciwstawnie, przekornie, polemicznie"* Nie będzie to powieść pisana ku pokrzepieniu serc, lecz bezstronnie, obiektywnie.

Wiele interesujących materiałów historyczno-okolicznościowych można znaleźć w ostatniej „POLITYCE" (nr 10). Popularny tygodnik

OBCHODZI 30-LECIE

swego istnienia. Z tej okazji zespół redakcyjny otrzymał list z gratulacjami i życzeniami od I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR Wojciecha Jaruzelskiego. My również życzymy wszystkiego dobrego! Jeszcze więcej czytelników i znakomitych tekstów!

Krótką historię „Polityki" napisali Zbysław Rykowski i Wiesław Władyka. Na początku ich artykułu czytamy: *„Pismo odebrane zostało jako przejaw odejścia Gomułki od Października, zdrada rewolucji. «Polityka» była pismem urzędowym, by nie powiedzieć namaszczonym przez władzę. Świadczył o tym skład redakcji, w którym roiło się od członków KC i ludzi z aparatu. Redaktorem naczelnym został minister szkolnictwa wyższego Stefan Żółkiewski. Towarzyszyli mu wypróbowani działacze: Franciszek Blinowski, Leonard Borkowicz, Romana Granas oraz Stanisław Kuziński — sekretarz Komitetu Warszawskiego, Jerzy Putrament — człowiek partii w literaturze, Mieczysław F. Rakowski — pracownik Wydziału Propagandy KC, Adam Schaff — główny marksista i Andrzej Werblan — kierownik Wydziału Propagandy z KC. Blasku stopce dodawali jeszcze Władysław Broniewski, Leon Kruczkowski i Oskar Lange. Zwykli ludzie bez stanowisk (Leon Cieślik, Witold Dąbrowski, Elżbieta Górska, Zygmunt Kałużyński, Ryszard Koniczek, Kazimierz Koźniewski, Józef Kuśmierek i Michał Radgowski) byli w mniejszości. Jak więc widać, na XI piętrze Pałacu Kultury, w pokojach redakcyjnych, rozlokował się sztab tzw. frontu ideologiczno-propagandowego. Głos «Polityki» miał być odbierany jako głos samej władzy".*

Pod względem politycznym pismo usytuowało się w centrum. Prowadziło walkę na dwa fronty — z dogmatykami i rewizjonistami. Poza tym od razu weszło w konflikt z „Po prostu", na podstawie lektury pierwszych kilkunastu numerów Ryszard Turski, redaktor naczelny „Po prostu" oskarżył „Politykę", że jest egzaminatorem i stróżem odnowy, a nie integralnym i aktywnym uczestnikiem.

W różnych okresach „Polityka" przeżywała wzloty i trudności. Największy kryzys miał miejsce po wprowadzeniu stanu wojennego. Niektórzy członkowie zespołu doszli do wniosku, że nie powinno się wskrzeszać tygodnika. Inni natomiast byli za kontynuacją. *„Nie musieli przechodzić weryfikacji, wybierali sami. «Politykę» opuściło 14 osób, rozeszli się w różne strony. Ci, którzy zostali, przygotowywali jeszcze jeden pierwszy numer pisma. 20 lutego «Polityka» znowu pojawiła się w kioskach".*

BYŁY REDAKTOR NACZELNY

„Polityki" (sprawował tę funkcję aż 24 lata) Mieczysław F. Rakowski opublikował w sobotnio-niedzielnym wydaniu „TRYBUNY LUDU" (nr 56) obszerny artykuł na temat zmian dokonujących się w Związku Radzieckim. Na wstępie podkreśla on osobistą rolę sekretarza generalnego KPZR. *„Budząca zaufanie twarz Michaiła Gorbaczowa dość często gości dziś na okładkach tygodników o wielomilionowych nakładach i zapełnia pierwsze strony gazet, a wszystko, co składa się na osobowość radzieckiego przywódcy jest tematem rozmów, prowadzi do snucia różnego rodzaju wniosków. Gdyby zebrać to, co pisze się i mówi o M. Gorbaczowie, to wyłoniłby się z tego obraz bardzo dynamicznej jednostki, urodzonego polityka, swobodnie zachowującego się przed kamerą telewizyjną (patrz konferencja prasowa w Reykjaviku), co w wieku telewizji ma ogromne znaczenie z punktu widzenia pozyskiwania sympatii i poparcia mas; człowieka, który zna dogłębnie swój kraj i naród, komunisty wierzącego w ogromne, ciągle jeszcze nie wykorzystane możliwości socjalizmu. (...) W Polsce jest wielu ludzi, którzy czytają życiorys Michaiła Gorbaczowa, analizują jego drogę życiową oraz stawiają sobie pytanie, jakie okoliczności sprawiły, że właśnie taka jednostka znalazła się na czele państwa radzieckiego. W jednym zdaniu odpowiedź na to pytanie brzmi: wielki kraj i czas wielkiego wyzwania historycznego potrzebował wielkiego przywódcy i taki musiał nadejść, prędzej czy później".*

Mieczysław F. Rakowski, przewiduje, że „pierestrojka" (przebudowa) i „głasnost" (jawność) w ZSRR korzystnie wpłyną na sytuację w krajach socjalistycznych, przyczynią się do wzrostu wpływów i autorytetu partii komunistycznych na Zachodzie, spowodują wzrost zainteresowania socjalizmem w krajach rozwijających się. Pod koniec artykułu czytamy: *„Można bez przesady powiedzieć, że każdy sukces partii radzieckiej w obecnie realizowanej polityce jest także naszym sukcesem, jest potwierdzeniem słuszności drogi, na jaką wkroczyliśmy na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR w lipcu 1981 r. Kontynuację tej drogi wyraźnie wytyczył X Zjazd oraz przyjęty na nim program partii. Z kolei nasze osiągnięcia w demokratyzowaniu systemu społeczno-politycznego są wymiernym wkładem w umacnianie linii, której czołowym eksponentem jest Michaił Gorbaczow".*

W ostatnich numerach dzienników i tygodników sporo tekstów poświęcono kobietom. Jerzy Leśniak przeprowadził dla „ŻYCIA LITERACKIEGO" (nr 10) rozmowę z najstarszą czynną zawodowo kioskarką w Polsce, Weroniką Danielewską. Urodziła się 7 sierpnia 1890 roku w Janowie Podlaskim. Za trzy lata zamierza zaprosić na najlepszych swych klientów na

SETNE URODZINY.

Babcia Danielewska nie narzeka na żadne choroby. Żartuje, że chyba Pan Bóg o niej zapomniał. A serio uważa, że trzyma ją praca i ludzka życzliwość. *„O, widzisz serdeńko, tu mi przynieśli kakao, tu konserwę. Żona profesora z gimnazjum przyszła z czerwonym barszczem. Jaworowa z sąsiedztwa — z ruskimi pierogami. Ludzie mają dobre serce. Ja im wierzę. Nikt mnie nie okradł, nie oszukał nawet o złotówkę. Jak ciekawski jesteś, serdeńku, to powiem, że okularów nie używam. Pieniądze liczę w pamięci. A mam ponad milionowy obrót miesięcznie. Ostatni remanent wykazał... 9 złotych manka".*

Przychodzi do kiosku przy alei Batorego po godzinie piątej, a zamyka dopiero o dziesiątej. Tak postępuje nieprzerwanie od 42 lat. Urlopów nie bierze. *„A po co — mówi — mi urlopy, serdeńko? Mam je w nosie. Boję się, że jak pójdę na urlop, to umrę z bezczynności. Pracuję również po kilka godzin w Nowy Rok, Wielkanoc i Boże Narodzenie. Ludzie o tym wiedzą i przychodzą złożyć mi życzenia, połamać się opłatkiem czy «święconym». Raz tylko zamknęłam swoją szklaną budę na całe trzy dni. Pojechałam wtedy do Lwowa, odwiedzić strony mojego dzieciństwa i młodości".*

Weronika Danielewska chwali wszystkich klientów. Ale szczególnie lubi lwowiaków. *„U mnie, serdeńku, wszyscy klienci są eleganccy: i ksiądz proboszcz z kościółka kolejowego, i pułkownik z milicji, i różne dyrektory, i wojskowi".* Pewnego razu popełniła gafę. Sympatycznie i schludnie wyglądającego klienta wysłała z gazetą do chorego księdza. *„Po tygodniu przychodzi ksiądz i mówi: — Babciu, co wy, sekretarza z partii wojewódzkiej do mnie z gazetami wysyłacie?* Odpowiedziałam: — *Sekretarz też człowiek i przysługę starej babce może zrobić, co nie, serdeńku?".*

Na zakończenie warto podać, że najstarszą kobietą w Polsce jest prawdopodobnie Kamila Wasilewska. Urodziła się 15 stycznia 1874 roku, czyli skończyła już 113 lat. Mieszka w Łapach na Białostocczyźnie. Uważa, że w życiu pomaga głównie pogoda ducha i spokój.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Uchylona furtka

Umysł ludzki już jest najwidoczniej tak skonstruowany, że musi nieustannie, dla zaprowadzenia jakiegoś ładu w otaczających go zjawiskach, stale coś uogólniać, generalizować, inaczej mówiąc — „szufladkować". I choć prowadzi to do nieuniknionych uproszczeń, gdyż zbyt wiele różnorodnych rzeczy wrzuca się wtedy do jednego worka, nieraz tylko pozornie mających z sobą coś wspólnego, to przecież trudno owego „szufladkowania" zaniechać, jeśli nie chcemy czuć się całkowicie zagubieni w chaosie niepoznawalnego żywiołu.

Ot choćby przy próbie scharakteryzowania postaw naszego społeczeństwa albo tzw. cech narodowych, często uogólnia się pewne postawy czy cechy dominujące lub choćby tylko silniej — przez swą ekspansywność — rzucające się w oczy i jakże łatwo tu o uproszczenie. A jednak nie sposób rezygnować z tego rodzaju prób, toteż niemal wszyscy je podejmujemy.

Mnie np. ostatnio coraz trafniejsze wydaje się czyjeś spostrzeżenie, iż brak nam wytrwałości i uporu zwłaszcza w sprawach drobnych, codziennych, których niezałatwianie rodzi nieustanne rozdrażnienie i niewiarę w możność naprawy warunków naszego życia pod względem materialnym czy organizacyjnym.

Bo istotnie, tych spraw drobnych i banalnych jest takie zatrzęsienie, że nawet kiedy nasza uwaga je zarejestruje nie pomyślimy ani przez chwilę, żeby coś z nimi począć, jakoś czynnie zareagować i pogrążamy się w coraz głębsze poczucie — jak by powiedział Gombrowicz „ogólnej niemożności". Właściwie, aż wstyd wymieniać te drobiazgi, z którymi ciągle mamy do czynienia, ale — na chybił trafił — spróbujmy.

Prawie nie ma telewizyjnej audycji, żeby nie „urwano" pierwszych paru słów, nawet w ogłoszeniach reklamowych. Ciekawe więc, czy firmy dające ogłoszenie otrzymują częściowy zwrot opłaty i czy w ogóle tego żądają? Do reguły należy niedotrzymywanie terminów i niespełnianie innych warunków umowy, dotyczących wywózki śmieci z prywatnych posesji przez Zakład Oczyszczania Miasta (nie uprząta zaśmieconej jezdni, nie odstawia pojemników na miejsce — jak obserwuje się od dawna np. w dzielnicy Łódź—Górna). Ciekawe, czy ktoś z poszkodowanych zdecydował się wystąpić o zmniejszenie lub anulowanie opłaty (albo po prostu przestał płacić) i jaki byłby tego rezultat? A jak długo klienci pralni miejskich będziemy tolerować wyjaśnienie, że plam nie dało się wywabić, ponieważ odzież okazała się zbyt brudna i kiedy odmówimy opłaty za niechlujny „upiór". Czy też nigdy nie zdecydujemy się żądać od kina zwrotu pieniędzy za bilet z powodu samowolnego skracania przez kinooperatora scen filmu wyświetlanego na ostatnim seansie, dzięki czemu obsługa kina może być kilkanaście minut wcześniej w domu na kolacji?

Są to pierwsze z brzegu przykłady zbyt pokornego i bezwolnego znoszenia przez obywateli rozlicznych nieprawidłowości w świadczeniu im usług przez różne placówki i instytucje wszystkich trzech sektorów, a przecież nie chodzi tu przede wszystkim o mniejsze czy większe szkody i straty, jakie w podobnych sytuacjach ponosimy, lecz o ogólną atmosferę, podkopującą nasze samopoczucie, o to co nazywamy jakością życia. I jeszcze o coś bardzo ważnego, którego związków ze wspomnianymi sytuacjami chyba jedna na ogół nie dostrzegamy.

Obawiam się, że zobojętnienie społeczeństwa i bierność wobec objawów niechlujstwa i samowoli, arogancji i sobiepaństwa toruje drogę, a przynajmniej uchyla furtkę nawrotowi postaw i działań obracających się przeciwko demokratyzacji socjalizmu, jawności życia i rozwojowi praworządności. Nikt — mimo najlepszej woli i chęci — nie jest w stanie dać nam ich w prezencie, można co najwyżej, jak to jest u nas, stworzyć im prawne gwarancje — w rozmaitych ustawach, kodeksach czy statutach. Ponieważ jednak, co oczywiste, istnieją jednostki i kręgi społeczne czy środowiska zainteresowane materialnie i ambicjonalnie w krępowaniu demokracji i praworządności, skrycie dążące do tego, by wróciły te mechanizmy z którymi większość ludzi pracy postanowiła raz na zawsze skończyć, musimy reagować na każdą anomalię życia publicznego — nieustannie, w każdej chwili, w każdym miejscu pracy i w każdej organizacji społecznej.

Wolno się obawiać, że jeżeli ta świadomość nie stanie się udziałem ogółu obywateli i nie pobudzi ich aktywności może zacząć znów powstawać coraz jaskrawszy rozdźwięk pomiędzy oficjalnymi deklaracjami a codzienną rzeczywistością. I najłatwiej wtedy skarżyć się żałośnie, że to „oni" najpierw obiecali, a potem nie dotrzymali. A to my wszyscy przecież odpowiadamy za swój los.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— **Będzie to impreza, jakiej w Łodzi jeszcze nie było. Przyjadą ludzie z całego świata. Miasto musi lśnić od czystości. Wyzwoli się gościnność i życzliwość — mówi w rozmowie z TERESĄ JERZYKOWSKĄ wiceprezydent Longin Wojtal, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego „Interfashion — Łódź 1987".**
— **Popularny aktor teatrów łódzkich, znany z wielu ról filmowych WŁODZIMIERZ SKOCZYLAS dzieli się swoimi wspomnieniami z czasów okupacji.**
— **Nie będzie to ballada o wielkiej budowie, lecz zwyczajny spacer po niezwyczajnym miejscu — tak rozpoczyna ROMAN KUBIAK swój kolejny reportaż z Bełchatowa.**
— **Po okresie niechęci, jaka dzieliła bratanków — Polaków i Węgrów — wraca sympatia i przyjaźń. Jakie jeszcze zmiany można dostrzec w Budapeszcie? — pisze ANDRZEJ MAKOWIECKI.**
— **W Czechosłowacji nie ma jeszcze sezonu, ale już są turyści z Polski. Biegają po sklepach, zwiedzają i bardzo się dziwią. Co ich szokuje? — wyjaśnia w swojej korespondencji DARIUSZ DOROŻYŃSKI.**
— **Zakłócam rytm i robię coś, czego słuchacz się nie spodziewa — mówi Wojciech Mann w rozmowie z WITOLDEM WERNEREM.**
— **O artystycznym skandalu w Grand Hotelu pisze WACŁAW PAWLAK.**
— **O portugalskiej corridzie, zupełnie innej niż hiszpańska opowiada MARIA-MAGDALENA STARZYCKA.**

Człowiek epoki socjalizmu miał być mądry, szlachetny i szczęśliwy. A tymczasem na froncie wychowawczym ponieśliśmy największą porażkę. Dlaczego? Jakie mechanizmy decydują o moralnym obliczu ludzi? Co możemy i powinniśmy zmienić?

(2)

Traktat o wychowaniu socjalistycznym

EDMUND LEWANDOWSKI

Może ktoś powiedzieć, że tradycyjny Dekalog judaizmu i chrześcijaństwa w zupełności wystarcza. Na pewno spełnia on określone funkcje religijne, ale pod względem ściśle etycznym jest dość ubogi. Nie proponuję tu zresztą zastąpienia jednego zbioru przykazań drugim. Ludzie wierzący mogą przecież przestrzegać norm biblijnych i świeckich. Najważniejsze, żeby każdy postępował moralnie w życiu codziennym.

Kiedyś toczył się w Polsce spór, kogo właściwie chcemy wychować: komunistę czy porządnego człowieka. Nie został on wtedy rozstrzygnięty, a jest to problem o kapitalnym znaczeniu dla praktyki politycznej i wychowawczej. Moim zdaniem, powinniśmy głównie dążyć do wychowania ludzi uczciwych, a nie od razu komunistów. Niech ci uczciwi sami świadomie wybiorą komunizm.

Powinniśmy też przekonywać naszych wychowanków, że naprawdę szczęśliwi mogą być tylko ludzie dobrzy. Złych bowiem jak rdza niszczy duchowo i fizycznie ich zło. Akademik radziecki Dymitr Lichaczow bardzo mądrze pisze na ten temat:

„Należy wybierać drogę absolutnej uczciwości. Jest najłatwiejsza, choć na pozór wydaje się trudna. Żadne dobra materialne nie dadzą się porównać z tą jedną wartością — umiłowaniem prawdy. Tylko na tej drodze człowiekowi uda się uniknąć kompleksów, nieśmiałości życiowej. Tylko człowiek uczciwy może prawidłowo oceniać siebie, nie ma do siebie pretensji, nie odczuwa niezadowolenia z siebie i ze swego życia. A przecież wielu ludzi, nawet tych, co wiele osiągnęli, jest z siebie niezadowolonych. (...) Życzliwość i dobroć czynią człowieka nie tylko zdrowym fizycznie, lecz także pięknym. Tak, właśnie pięknym".

Jan Szczepański zwrócił uwagę, że ideał wychowawczy socjalizmu napotyka na przeciwstawne mu w większości zastane typy osobowości. To bardzo słuszne spostrzeżenie należy uzupełnić stwierdzeniem, iż sytuacja taka nie jest wcale historycznie wyjątkowa, lecz stanowi prawidłowość przy przejściu z jednej do drugiej formy rozwoju społecznego. Na przykład ideały rewolucji demokratycznej w greckich miastach-państwach stały w wyraźnej opozycji do wzorów rodowo-plemiennych. A kilka wieków później analogicznie wartości mieszczaństwa natrafiały na wrogą im mentalność nie tylko pana, lecz również chłopa feudalnego. Mimo to nowe ideały ostatecznie zawsze się przyjmowały. Ale potrzeba na to było wielu dziesiątków lat.

Wszyscy bodaj wielcy rewolucjoniści i aktywni uczestnicy ruchów społecznych mają skłonność do skracania perspektywy historycznej. Chcą jak najszybciej osiągnąć wymarzony cel, nie doceniają długości drogi, która do niego prowadzi. A nie spełnione nadzieje stają się niejednokrotnie przyczyną zwątpienia i rezygnacji. Niebezpieczeństwo to grozi także działaczom frontu wychowawczego. W związku z tym ideał wychowawczy socjalizmu winien być zawsze przedmiotem rozważań łącznie z kwestią przesłanek jego realizacji Przy czym na to ostatnie należałoby położyć główny nacisk.

Jakie zatem warunki muszą zaistnieć, aby ideał wychowawczy socjalizmu został szeroko przyjęty i realizowany? Udzielenie pełnej odpowiedzi na tak sformułowane pytanie przekracza, rzecz jasna, nie tylko granice jednego artykułu, lecz przede wszystkim możliwości autora. Problem jest bardzo skomplikowany i nieczęsto podejmowany w literaturze.

Otóż wydaje się, że

O LOSACH IDEAŁU WYCHOWAWCZEGO

socjalizmu decydują cztery podstawowe warunki. Po pierwsze — ideał musi być poprawnie sformułowany i właściwie rozpropagowany. Miarą trafności ideału jest jego zgodność z konieczn y m kierunkiem ewolucji potrzeb i dążeń ludzkich. Wszystkie ideały, które to lekceważą rozbijają się — jak mówił Hegel — *„o skaliste rafy rzeczywistości"*. Dopiero poprawnie określony model osobowości może być ogólnym celem wychowania. Jednakże w swej abstrakcyjnej (idealistycznej) wersji niezbyt nadaje się do bezpośredniej pracy wychowawczej. Bardziej przydatne są w tym celu personifikacje ideału, czyli przykłady konkretnych jednostek (rzeczywistych lub fikcyjnych). Szczególne możliwości skutecznego upowszechniania ideału ma sztuka. Naukowo opracowany model można przedstawić w postaci atrakcyjnego i godnego naśladowania bohatera powieści, filmu, sztuki teatralnej. W ten sposób ideał utraci ową transcendentną abstrakcyjność i wyda się czymś osiągalnym. Elementarnym zaś warunkiem realizacji jakiegokolwiek ideału jest właśnie przekonanie, że da się on faktycznie urzeczywistnić. Ulubieni bohaterowie, np. filmowi, dość często stawali się wzorami działań i zachowań dla szerokich kręgów ludności.

Przeciwko zarówno idealistycznemu jak i personalistycznemu ujmowaniu ideału wychowawczego socjalizmu wystąpił Władysław Bieńkowski. Marksiści, jego zdaniem, powinni *„pojmować ideał wychowawczy nie jako zespół cech, jakie ma posiadać człowiek, lecz jako zespół cech, jakim mają odpowiadać warunki, w których żyje i działa"*. Z tak kategorycznym postawieniem sprawy nie można się absolutnie zgodzić. W istocie bowiem propozycja ta przekreśla celowość działań sensu stricto wychowawczych. A przecież jedno nie wyklucza w tym przypadku drugiego. Ideał warunków (stosunków socjalistycznych) zawsze był prezentowany w ruchu robotniczym, a obok niego — czy na jego tle — ukazywano ideał człowieka. Trzeba jednak przyznać, że zazwyczaj przecenia się wychowawcze znaczenie ideału osobowego, a nie docenia lub wręcz nie dostrzega ideału ustrojowego — co jest poważnym błędem.

Niezależnie od modelu i wzoru zachowań jednostkowych warto posługiwać się w procesie wychowania obrazem socjalistycznego sposobu życia. W obrazie takim winny się zawierać pożądane zachowania i działania zbiorowości społecznych: rodziny, grup rówieśniczych, zespołów pracowniczych, załóg fabrycznych.

Drugim warunkiem urzeczywistnienia ideału wychowawczego socjalizmu jest stworzenie takiego systemu bodźców społeczno-kulturowych, w którym postępowanie według ideału zawsze (i przede wszystkim) pozwala osiągnąć pożądane wartości.

„Na podstawie obserwacji historyków i etnologów — pisze J. Szczepański — *wiemy, że ideały osobowości przyjmują się w jakimś społeczeństwie wówczas, gdy ich realizacja pociąga za sobą uznanie i szacunek, gdy ideał ten doceniany jest także w codziennej praktyce i gdy realizując go jednostka może szybciej i pewniej osiągać uznanie, awans, nagrody"*.

Ludzie będą więc stosować się do ideału, jeśli przekonają się, że właśnie na tej drodze można najlepiej zaspokajać potrzeby materialne i duchowe. Ujmując sprawę krótko: ustrój musi preferować tych, którzy najbardziej mu „służą", tzn. postępują w myśl jego zasad. Albowiem w przeciwnym razie osoby o postawach socjalistycznych będą wyśmiewane i zniechęcane. Wychowanie socjalistyczne okaże się nieskuteczne.

„Naród wychowuje się — pisze J. Szczepański — *przez stwarzanie racjonalnej organizacji, w której zapewnia się każdemu człowiekowi realizację jego aspiracji przez realizację ideałów ustroju. Jeśli człowiek realizujący ideały ustroju nie może realizować swoich aspiracji, wtedy ta rozbieżność podważa skuteczność metod wychowawczych"*.

Czy społeczeństwo socjalistyczne jest jednak w stanie — na obecnym etapie swego rozwoju — zbudować wspomniany wyżej system bodźców? Najprawdopodobniej nie jest to możliwe natychmiast, ale trzeba podejmować w tym kierunku poważne próby. Socjalizmu nie zbudują przecież ludzie „niesocjalistyczni". Przynajmniej nigdy dotąd nie zdarzyło się, aby jakiś ustrój stworzyły grupy postępujące sprzecznie z jego zasadami.

Na wymagany system bodźców składają się w szczególności sposoby organizowania i wynagradzania pracy oraz normy prawne i metody ich egzekwowania. Układy te zależą bezpośrednio od władzy politycznej i mogą być przez nią odpowiednio kształtowane. Potężnym czynnikiem zdolnym je wspierać jest opinia publiczna.

W porównaniu do innych systemów społecznych socjalizm stawia jednostce

STOSUNKOWO MAŁE WYMAGANIA.

Jest ustrojem, w którym jednostki i rodziny otrzymują w zasadzie bezwarunkowe zagwarantowanie bytu. Nawet złą pracę często się toleruje i wynagradza wystarczająco dla względnie spokojnej egzystencji. Możliwość zdobycia niewielkim kosztem i wysiłkiem niezbędnych wartości osłabia ludzką inicjatywę. Małe „wyzwania" — mówiąc językiem Arnolda Toynbee'go — nie wywołują ambitnych i wielkich „odpowiedzi". Przynosi to w sumie dwojakie straty: gospodarcze i moralne. Kraj nie rozwija się na miarę możliwości, a ludzi deprawują niedostateczne rygory.

W zasadzie już od dzieciństwa przyzwyczajamy do minimalnych wymagań. Nasze dzieci i młodzież najczęściej nie mają żadnych obowiązków domowych. Wyrastają w przekonaniu, że wszystko im się należy. Nie uczymy nawyku i radości dawania.

Często zastanawiam się nad tym, czy nie ma racji jezuita Leon Naphta — z „Czarodziejskiej góry" Tomasza Manna — mówiąc, że rozkoszą młodzieży wcale nie jest wolność, lecz p o s ł u s z e ń s t w o. Świadczy o tym chyba rozwój katolickiego ruchu „Światło—Życie".

W systemie socjalistycznym występuje zjawisko nadmiernie rozbudzonych roszczeń i oczekiwań w stosunku do państwa przy jednoczesnym niedostatku własnego poczucia obowiązku i dyscypliny. Nie osiągnięto tu jeszcze koniecznej jedności praw i obowiązków — zespolenia interesu partykularnego i ogólnego. Jednostki nie rozumieją, że wykraczając przeciw ogółowi występują przeciwko sobie samym. Aby zmienić tę sytuację należy wprowadzić racjonalny podział obowiązków, sprawny system kontroli i wyraźnie określone sankcje. Każdy winien mieć całkowitą jasność, za co i w jaki sposób imiennie odpowiada, Do urzeczywistnienia tego konieczne jest jednak silne państwo — skutecznie działające i cieszące się dużym autorytetem moralnym. Nie można liczyć, iż wszyscy ludzie sami (w bliżej nieokreślonej przyszłości) zdobędą odpowiednią świadomość i z własnej woli — bez przymusu prawnego i ekonomicznego — zaczną właściwie postępować.

Kolejnym warunkiem, od którego w istotnym stopniu zależy urzeczywistnianie modelu osobowości socjalistycznej jest

ELIMINOWANIE ROZBIEŻNOŚCI

między ideałami a praktyką w działalności instytucji ekonomicznych, politycznych i innych. W obliczu różnego rodzaju trudności (obiektywnych i subiektywnych) często nie zważa się na głoszone hasła i podejmuje działania z nimi sprzeczne, byle tylko były skuteczne. Postrzeganie takiego stanu rzeczy może prowadzić do zakwestionowania zarówno ideałów jak i rzeczywistości. Panujące w instytucji zło (korupcja, partactwo, lenistwo, pijaństwo, marnotrawstwo, brak odpowiedzialności itp.) nabiera szczególnego znaczenia moralnego właśnie w konfrontacji z ideałami, które formalnie są tu głoszone i uznawane. Dlatego — jeśli z jakiś względów nie da się od razu zlikwidować zła w danej instytucji, to przynajmniej powinno się zakazać używania przez nią szczytnych haseł jako swej dewizy

Odczucie rozbieżności pomiędzy ideałami a praktyką zwiększa dodatkowo pewien rodzaj pracy ideowo-kształceniowej, a mianowicie taki, w którym — całkowicie abstrahując od rzeczywistości — prezentuje się wyłącznie stan idealny. Natomiast w działalności szkoleniowej, propagandzie i wychowaniu powinno ukazywać się nie tylko i nie przede wszystkim ideały, lecz również i głównie czynniki utrudniające ich realizację. Ważne jest, aby ludzie wiedzieli, jakie przedsięwzięto środki dla osiągnięcia pożądanych celów i jakie napotkano przeszkody. W ten sposób w świadomości społeczeństwa kształtować się będzie r o z u m i e n i e złożoności praktyki.

Rozumienie jest koniecznym, lecz niewystarczającym warunkiem poczucia podmiotowości. Potrzebny jest tu jeszcze bezpośredni udział w podejmowaniu decyzji oraz urzeczywistnianiu wybranych celów. Człowiek kreujący rzeczywistość i w s p ó ł o d p o w i e d z i a l n y za nią lepiej znosi dysonans ideału i praktyki — nie tak łatwo popada w zwątpienie i rezygnację.

I wreszcie ostatni warunek realizacji socjalistycznego ideału wychowania: utworzenie komplementarnego systemu oświatowo-wychowawczego. Przez system ten Jan Szczepański rozumie *„całkowity układ wszystkich instytucji, grup, organizacji i urządzeń, przez które wiedza naukowa, ideologia, systemy wartości, wzory osobowości — słowem elementy nauczania i wychowania — docierają do społeczeństwa"*.

Spośród wielu różnorodnych elementów kształtujących osobowość człowieka należy wyodrębnić najbardziej istotne wychowawczo. Za takie J. Szczepański uważa trzy: rodzinę, szkołę i zakład pracy. W następnej kolejności do najważniejszych należałoby chyba zaliczyć: przedszkole, grupy rówieśnicze, środki masowego przekazu i wojsko. Gdyby udało się sprawić, żeby wszystkie siedem instytucji — albo chociaż trzy pierwsze — faktycznie realizowały jeden i ten sam ideał wychowawczy socjalizmu, to wówczas można by z pewnością oczekiwać poważnych rezultatów.

Nie ulega dziś wątpliwości, że w procesie socjalizacji bardzo duże znaczenie mają oddziaływania okresu niemowlęctwa i dzieciństwa. Wybitny praktyk i zarazem teoretyk wychowania, Wasyl Suchomliński, pisał w tej sprawie:

„Szczególnie istotną rolę w kształtowaniu osobowości człowieka odgrywają lata dzieciństwa, wiek przedszkolny i młodszy wiek szkolny. Głęboką rację ma pisarz i pedagog L. Tołstoj twierdząc, że od urodzenia do wieku lat pięciu dziecko bierze z otaczającego świata wielokrotnie więcej dla swego rozumu, uczuć, woli, charakteru niż od pięciu lat do końca swego życia. Myśl tę powtórzył również radziecki pedagog A. Makarenko: człowiek staje się tym, czym nasiąkł przed piątym rokiem życia".

Obserwacje te znajdują potwierdzenie w badaniach psychologicznych i wskazują na niezwykle doniosłą rolę rodziny. Nie może jej zastąpić w początkowym okresie wychowania nawet najlepszy żłobek. Przy czym optymalnie sprzyjającą uspołecznieniu dziecka wydaje się być rodzina średnio liczna (2—3 dzieci). Należy więc tworzyć odpowiednie warunki materialne do powstawania i właściwego funkcjonowania takich rodzin.

W kolejnym okresie życia dziecka — w wieku przedszkolnym — rodzina w poważnym stopniu traci monopol wychowawczy na rzecz przedszkola i grupy rówieśniczej. Jeśli przyjąć, że przynajmniej 7 godzin dziennie dziecko przebywa w przedszkolu, to niewiele już czasu pozostaje na inne wpływy, w tym rodzinne. A zatem warto i trzeba uczynić z przedszkoli wzorowe instytucje, w których proces wychowania odbywa się w małych grupach (a nie np. ponad 30-osobowych, jak to często ma miejsce), pod kierunkiem wykwalifikowanych nauczycieli i przy pomocy nowoczesnych środków.

Niezależnie od pobytu w przedszkolu dziecko uczestniczy zwykle w jakiejś grupie zabawy złożonej z rówieśników ze środowiska zamieszkania. Treści i formy tych zespołowych zabaw liczą się bardzo w całokształcie oddziaływań wychowawczych. Dlatego ważne jest, aby dzieci miały dobrze urządzone miejsce zabaw i pozostawały pod pewną kontrolą dorosłych.

Grupy rówieśnicze nabierają szczególnego znaczenia wychowawczego w późniejszym (szkolnym) okresie rozwoju psychicznego. W ramach „paczek" występuje silna więź emocjonalna, oparta na intymności i przyjaźni. Niekiedy — jak pisze Stanisław Kowalski — *„jest to więź tak ścisła, że lojalność w stosunku do paczki dominuje nad lojalnością względem jakiejkolwiek innej grupy, nawet względem rodziny"*. Przy czym lojalność ta wzrasta w sytuacjach konfliktu paczki z normami reprezentowanymi przez inne instytucje wychowania (np. rodzinę, szkołę).

Najlepsze możliwości wpływu na nieformalne grupy rówieśnicze wieku szkolnego mają prawdopodobnie organizacje społeczne dzieci i młodzieży. Długoletnie doświadczenia harcerstwa polskiego i innych stowarzyszeń przekonywająco dowodzą, iż w tego rodzaju formach można skutecznie kanalizować dążenia szerokich mas członkowskich, orientując je na pożądane cele i wartości. Ale wymaga to autentycznej i samorządnej działalności kół czy drużyn, w których jednostki mają wyraźnie zdefiniowane sensowne role i zadania oraz podlegają ocenie kolektywu.

Centralnym ogniwem jednolitego systemu wychowawczego powinna być szkoła. Społeczeństwo najwięcej chyba oczekuje od tej instytucji. Nawet rodzice chętnie

OBCIĄŻAJĄ SZKOŁĘ WINĄ

za niepowodzenia wychowawcze ich dzieci. Na temat szkoły mówi się i pisze w Polsce bardzo dużo, ale niewiele pożytecznego zrobiono. System oświatowo-wychowawczy zaniedbaliśmy w sposób wręcz skandaliczny. Nie będę rozwijał tego problemu, ponieważ jest powszechnie znany.

Z dość interesującą koncepcją szkoły przyszłości wystąpił Jan Szczepański. Współczesna szkoła, według niego, jest nadmiernie oderwana od rzeczywistości. Zbyt poważne są różnice między wiedzą „życiową" a wiedzą zdobywaną w szkole. Przyczynia się to do obniżenia rangi i autorytetu szkoły w społeczeństwie oraz jej nieporadności wobec niektórych ujemnych zjawisk moralnych wśród młodzieży.

Przyszła szkoła powinna być bardziej zintegrowana z życiem społecznym i musi ściśle współdziałać, z wszystkimi instytucjami kształtującymi osobowość. Działalność jej winny wspierać środki masowego przekazu, instytucje kulturalne, gospodarcze i inne, kierujące się tymi samymi zasadami i celami pedagogicznymi. W takiej szkole radykalnej zmianie ulegnie rola nauczyciela. Stanie się on organizatorem udziału pozaszkolnych instytucji oświatowo-wychowawczych w nauczaniu i wychowaniu szkolnym. W tym celu będzie musiał wiedzieć, jakimi środkami i możliwościami dysponują te instytucje oraz umieć je wykorzystać. Ma mu to umożliwić specjalnie stworzony system praktyk. Nauczyciel szkoły przyszłości musi mieć rozległą wiedzę (pedagogiczną i socjologiczną) i gruntowną znajomość realiów, z którymi zetkną się jego wychowankowie. Na tej podstawie będzie mógł odpowiednio dobierać i stosować właściwe metody dydaktyczno-wychowawcze. Nauczyciel — stwierdza autor — *„powinien być nie mistrzem nauczania szkolnego, ale mistrzem życia"*. A szkoła winna stać się *„osią kierowniczą"* całkowitego jednolitego systemu wychowania.

Przedstawiona wyżej wizja przyszłej szkoły jest pociągająca, ale niestety sprawia wrażenie utopijnej. Jeśli zresztą nawet da się urzeczywistnić, to jedynie w bardzo odległej przyszłości.

A obecnie należałoby chociaż przyjąć ją jako pewien model w pracy nad doskonaleniem istniejących struktur wychowującego społeczeństwa.

Na zakończenie wymaga podkreślenia jeszcze jedna kwestia. Otóż politycy i wychowawcy w socjalizmie nie mogą przyjmować behawiorystycznej koncepcji, że człowiek jest tablicą zapisaną przez społeczeństwo. Jednostka bowiem nie jest tylko wytworem socjalizacji i wychowania. Każdy z nas w jakimś stopniu jest również dziełem samego siebie. Należy wobec tego pamiętać o samowychowaniu i samorealizacji.

W traktacie Mirandoli z 1486 roku pt. „O wielkości i godności człowieka" Bóg mówi do Adama: *„Nie uczyniliśmy cię istotą ziemską, ani niebieską, ani śmiertelną, ani nieśmiertelną: abyś jako twórca samego siebie mógł wybierać swobodnie i z godnością typ własnego życia"*.

ze str. 1

HALINA KWIATEK. — W świadomości społecznej ciągle dominuje przekonanie, że być — to znaczy mieć. Jestem kimś — tak się rozumuje — nie dlatego, że sobą coś reprezentuję, ale dlatego, że mam. Mam willę, piękny samochód. Przecież samochód w Polsce nie stał się jeszcze narzędziem pracy, ale ciągle jest przedmiotem luksusu. I to dzieje się w okresie, kiedy benzyna jest reglamentowana, bo jej brakuje. Mam więc poważne wątpliwości, czy to może być właściwym wzorcem wartości. Czy miarą wartości człowieka może być jego stan majątkowy.

T. MENDELSKI: — Był czas kiedy ekonomia pełniła rolę służebną wobec wyższych wartości, takich jak: zdrowie, kultura, nauka, sztuka. Ekonomia pozwalała na spełnianie się tych wartości. Państwo umożliwiało taki rozwój różnych dziedzin życia, że na przykład w kulturze mogliśmy obcować z dziełami najwyższej klasy. Dziś sytuacja rysuje się odwrotnie. Kultura została podporządkowana prawom rynku. A sprawa ma przecież zasadnicze znaczenie. Chcemy wiedzieć, jak się będzie rozwijał socjalizm i jakimi wartościami przewyższy kapitalizm? Mieliśmy w tej rywalizacji poważne argumenty, a teraz wydaje się, jakby kapitalizm zbierał punkty.

A. BAGŁAJ: — Zastanówmy się nad tym: co jest lepsze — niesprawiedliwy podział obfitości czy sprawiedliwa bieda? Jeśliby na przykład spojrzeć teraz na propozycje, jakie w latach sześćdziesiątych przedstawiano robotnikowi choćby tylko w dziedzinie kultury, to była ona na wyższym poziomie od propozycji dzisiejszych. A przecież dzisiaj mamy dużo więcej wolnego czasu niż wówczas, zatem i propozycje kulturalne powinny być bogatsze. A jest odwrotnie. Dlaczego tak się dzieje? Ano dlatego, że w odczuciu ludzi sposób dzielenia jest niesprawiedliwy. Mamy mało do podziału i na dodatek niesprawiedliwie dzielimy. Więcej dostają ci, którzy mają więcej pieniędzy.

Panują u nas fałszywe wzorce. Po pierwsze — każdy chciałby mieć to samo, co mają jego sąsiedzi, bliscy, koledzy. Jak kolega kupił kolorowy telewizor, to ja też muszę mieć taki sam. Po drugie — wszyscy są zbyt zapatrzeni na Zachód i chcieliby mieć to, co tam mają ludzie. A możliwości na zaspokojenie takich potrzeb nie ma.

DANIELA BANACHOWICZ: — Czy my trochę nie przesadzamy? Przecież dążeniem człowieka zawsze było posiadanie. Czy w tym jest coś złego? To, co posiadamy ma nam ułatwić życie. Dlaczego kupno kolorowego telewizora ma być czymś złym? Dziś filmy robi się już wyłącznie w kolorze i na przykład oglądanie filmów przyrodniczych na czarno-białym ekranie znacznie zubaża taki odbiór. Albo kafelki w łazience. Czy to ma być czymś złym? Przecież to pomaga tylko utrzymać czystość. I tak można przykłady mnożyć.

H. NALEWAJCZYK: — Ja bym trochę inaczej postawił ten problem. To znaczy silniej bym zaakcentował niesprawiedliwość podziału. Tu była mowa o kolorowym telewizorze. Taki telewizor kosztuje dziś około 200 tysięcy złotych. Kogo z robotników, urzędników, nauczycieli nawet stać na to? A przecież telewizja kolorowa powinna odgrywać wielką rolę w kształtowaniu społecznej świadomości. Ceny samochodów idą już w miliony. Znów można zapytać: dla kogo one są? Czy w tej sytuacji można się dziwić, że ludzie jeżdżą na przykład do Turcji i handlują, czy do Szwecji, gdzie sprawa handlujących Polaków oparła się o parlament. Jeśli mogą w jakiś sposób zdobyć pieniądze na kupno tego, co im potrzeba, to trudno się im dziwić. W końcu człowiek chce mieć to, co inni już mają i co ułatwia mu życie. Jest to dla ludzi.

DANIELA BANACHOWICZ: — Była mowa o służebnej roli ekonomii. Moim zdaniem to już przeszłość. Przypominam sobie na przykład domy kultury w latach pięćdziesiątych i jeszcze sześćdziesiątych. Można tam było zawsze coś znaleźć dla siebie. A dziś? Ile mamy takich ośrodków, które przyciągają młodzież?

Albo książki. Kiedyś były tanie i dostępne. Od dłuższego już czasu stały się niedostępne, a teraz jeszcze bardzo drogie. Książki — co już jest paradoksem — stały się lokatą kapitału.

Podobnie jest z zabawkami. Są drogie i coraz droższe. A przecież dla prawidłowego rozwoju dziecka zabawki są niezbędne i muszą to być zabawki coraz bardziej skomplikowane. Tylko skąd na to wszystko brać, szczególnie w rodzinach wielodzietnych?

T. MENDELSKI: — Nie chciałbym, aby dyskusja utknęła w rozważaniach: albo niesprawiedliwy podział, albo sprawiedliwa bieda. Przyznam się, że mam trochę zastrzeżeń do formuły: być czy mieć? — którą to formułę podrzucili nam katoliccy personaliści. Jest to w istocie rzeczy formuła bierności. Podobnie zresztą jak przeciwstawianie sobie niesprawiedliwego podziału sprawiedliwej biedzie.

Chciałbym przypomnieć, że Karol Marks nie był przeciwnikiem postępu technicznego, nie sprzeciwiał się posiadaniu dóbr. Uważał jednak, że dobra powinny służyć człowiekowi, a nie człowiek dobrom.

Chodzi zatem o kształtowanie takich postaw, które warunkowałyby dobrą pracę i wytwórczość. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ja nie jestem przeciw posiadaniu. Uważam tylko, że szkodliwe jest rozumowanie, w wyniku którego pożądane przedmioty nie zdobywa się poprzez właściwą pracę, a tylko poprzez kombinowanie.

U nas mało kto zastanawia się nad tym, że najpierw trzeba wyprodukować, aby było co dzielić. My najchętniej zajmowalibyśmy się dzieleniem tego, co inni wyprodukują. To nie jest podejście dynamiczne, podejście człowieka, któremu opłaca się wytwarzać.

Nam potrzeba również dynamicznego myślenia. Na przykład. Wzywało się u nas do otwierania małych cegielni. Niech będą małe cegielnie. Ale nie możemy przecież unowocześniać budownictwa powrotem do małych cegielni. Potrzeba nowoczesnych rozwiązań na szeroką skalę. Albo inny przykład. Nam nowoczesny telewizor kojarzy się z wytwórczością Japończyków. A dlaczego nie z własną produkcją? Czy nas na taki poziom nie powinno być stać?

Niesprawiedliwy podział czy sprawiedliwa bieda?

A. BAGŁAJ: — Boję się, że to pięknie brzmi, ale mało to ma wspólnego z życiem. Bo kto ma tę nowoczesną technikę wymyślać i kto ma ją zastosować? Przecież u nas dobrze jest być wziętym sportowcem, reżyserem filmowym, autorem poczytnych książek, ale nie inżynierem w fabryce. U nas zniknęła hierarchia zawodów. Zostać kierownikiem w zakładzie produkcyjnym, to dziś żaden awans, bo to się finansowo nie opłaca. Tak być nie może, bo właśnie to prowadzi do bierności. W takiej sytuacji zamiast wynalazków, zamiast sprzyjać wynalazcom, rozwijać postęp techniczny, kupuje się licencje. Licencje też są potrzebne, ale i jednoczesne rozwijanie własnej myśli technicznej jest niezbędne. Nawet w oparciu o te licencje, jako punkt wyjścia.

CZ. ŚWIĄTKIEWICZ: — Czy nie odnosicie wrażenia, że cała nasza dyskusja obraca się wokół pieniędzy? Sama idea kupowania licencji — zgadzam się — nie jest zła. Ale jeśli licencje kupuje się jako sposób na wszystko, to już jest niedobrze. Poza tym — nie ukrywajmy — kupujący też mieli z tego powodu różne profity. I jaka powstała praktyka? Ano uczymy w politechnikach inżynierów, kształcimy ekonomistów, którzy powinni nam rozwijać gospodarkę, robić postęp techniczny. A tymczasem część z nich zajmuje się handlem pietruszką lub szyją modne ciuchy, aby dorobić, zarobić i urządzić się.

Dlaczego dokonują takiego wyboru? Po prostu dlatego, że pracując w fabryce nie osiągną nawet w części tego, co w drobnym handlu. A skoro chcą mieć, to muszą zrezygnować z ambicji.

TERESA GAJDEROWICZ: — Według mnie systemu wartości w socjalizmie nie wolno budować na zasadzie: mieć czy być? — ale na zasadzie umiejętności wyboru. Jeśli mam wybierać, to muszę umieć wartościować. Czy mam mieć dużo różnych dóbr, bo inni też mają? Czy może zrezygnować z pewnych dóbr, skoro mnie na nie nie stać i żyć godnie, nie rezygnując z udziału w życiu kulturalnym? Dobra materialne powinny służyć rozwojowi osobowości, a nie przytłaczać ją. A zatem sprawa wyboru. I ten wybór powinien zaczynać się już od dziecka. Ono musi się uczyć żyć w takich warunkach, jakie są i wybierać z nich to, co służy rozwojowi jego osobowości. I tu jest miejsce dla szkoły, która — obok rodziny i zgodnie z działaniem rodziny — powinna go do tego przygotować.

Jaka jest szkoła, na ogół wiemy. Lata selekcji negatywnej dają teraz o sobie znać. Szkoły są przepełnione, nauczyciele przemęczeni, dzieci niedouczone. Ale to jeszcze nie wszystko. Byłam niedawno w gronie nauczycieli i tam dowiedziałam się, że dzielą się oni na pedagogów i wychowawców. Skąd taki podział? W naiwności swojej można sądzić, że proces nauczania i wychowania stanowi jedność. Okazuje się, że nie. Programy są tak przeładowane, że pedagog tylko uczy, a wychowawca na zajęciach pozalekcyjnych wychowuje. Przecież to coś niebywałego. Ale nauczyciele traktują to jako rzecz całkowicie normalną.

CZ. ŚWIĄTKIEWICZ: — Szkoły pracują na trzy zmiany, nie mają pieniędzy, nauczyciele są źle uposażeni i nie zawsze dostatecznie przygotowani do swojej pracy, to jaki sens w takiej sytuacji ma komputeryzowanie szkoły? We mnie budzi to wątpliwości.

HALINA KWIATEK: — Jeśli teraz nie nauczymy młodzieży posługiwać się komputerem, to będzie ona zacofana w stosunku do innych i to będzie miało wpływ na naszą przyszłość.

CZ. ŚWIĄTKIEWICZ: — Co do tego nie mam wątpliwości. Ale może zacząć tę naukę w domach kultury, w jakichś ogniskach, przygotowując jednocześnie szkołę do posługiwania się komputerami. Boję się, że teraz koszt tej akcji będzie bardzo wysoki, a rezultaty dość mizerne.

Przy okazji o wychowaniu. W parku, w jednym z krajów Europy widziałem takie zdarzenie. Mały chłopczyk chciał wejść na klomb z kwiatami. Matka nie pozwalała i tłumaczyła mu: — jakby tak tobie ktoś wszedł na główkę, to by ciebie bolało. Kwiatki też boli. I dziecko nie weszło. Teraz scena u nas przed blokiem. Stoją zaparkowane samochody. Chłopczyk z dużym kijem biega koło samochodów i tłucze nim po karoserii. Zwracam matce uwagę, że w ten sposób niszczy lakier. Na to matka: — jak kogoś stać na samochód, to i stać na lakier. Dziecko przysłuchuje się reakcji matki i pewnie sądzi, że robi dobrze.

To jest wynik obecnego kształtowania systemu wartości. Moje — o to trzeba dbać. Wszystko inne co nie jest moje — może zmarnieć. Takie rozumowanie kształtuje stosunek do własności społecznej. Nie moje, a więc niczyje. I wielu dorosłych nie rozumie, że wynosząc z fabryki śrubki czy inne drobiazgi — kradnie.

H. NALEWAJCZYK: — Sposób życia kształtuje się w rodzinie. W szkolnictwie jest źle — wiemy o tym nie od dziś. Ale jeśli się w szkolnictwie poprawi, to czy zmieni się też sytuacja w rodzinie? Czy to, co się będzie mówiło w domu, będzie jednoznaczne z tym, co się mówi w szkole? Czy w ogóle dziś rodzina stanowi wspólnie żyjącą całość?

Jaka w ogóle jest dziś rodzina? Na co ją stać? Mamy na przykład trochę wolnego czasu. Czy stać rodzinę na to, aby razem pójść do teatru, operetki, kina? Im większa rodzina, tym większy wydatek. Z czego więc zrezygnować na rzecz dóbr kulturalnych?

DANIELA BANACHOWICZ: — Była tu mowa, że człowiek od najmłodszych lat musi się uczyć wyboru. Tylko, jakie są warunki, w których ma się ten wybór dokonywać? Często już wcale nie chodzi o to, czy stać nas na samochód, często problem jest bardziej prozaiczny. Co kupić: buty dzieciom czy książki? Dlatego jestem za tanią kulturą. Problem wyboru powinien dokonywać się — moim zdaniem — na zupełnie innej płaszczyźnie. Nie w rodzinie, nie w jej budżecie, a w budżecie państwa.

S. SREDZIŃSKI: — Po pierwsze — to my chyba zapominamy, że ciągle żyjemy w kryzysie i że proces wychodzenia z tego kryzysu nie jest i nie będzie taki szybki i krótki. To musi jeszcze potrwać. A to rzutuje na wiele dziedzin życia. Stąd takie trudne wybory.

Po drugie — nie mamy spójnego systemu wartości, który jasno i czytelnie moglibyśmy przedstawić młodym. Myślę, że gdyby taki system wartości istniał, to i wybory młodych byłyby inne. Odnoszę takie wrażenie, że my się szamoczemy „od ściany do ściany". Poza tym nie potrafimy często dobrze pokazać to, co mamy. Przed kościołami można — wcale nie za małe pieniądze — kupić komiks o życiu Chrystusa. Jest to sposób na zainteresowanie młodych i atrakcyjne przekazanie im określonych treści.

T. MENDELSKI: — W NRD mają komiks o życiu Karola Marksa.

A. BAGŁAJ: — Skąd się biorą negatywne postawy? Czy przypadkiem naszą kulturę, nasz sposób życia nie przenika kultura i filozofia drobnomieszczańska?

TERESA GAJDEROWICZ: — W Polsce w zasadzie nie ma bazy społecznej dla tego rodzaju stylu życia. Rozumiem pod tym: pozłacaną fasadę, wszystko na efekt, dla innych, a pod tym zakłamanie, dulszczyzna, bałaganiarstwo. Jest to pozostałość po minionych epokach i tu pozostałość atakuje zarówno rodziny robotnicze, jak inteligenckie.

T. MENDELSKI: — Rozróżniłbym płynące do nas obce idee i rodzimą spuściznę, dzieląc je na dwie grupy: drobnomieszczańskie i grubomieszczańskie. Drobnomieszczański styl życia niesie z sobą bierność, powierzchowność, rozdrobnienie, widzenie świata poprzez rzeczy. Grubomieszczańskie widzenie świata jest aktywne, jest widzeniem świata przez wielkich kapitalistów. Jest ono dynamiczne, bo musi dążyć do pomnażania zysków, a zatem między innymi warunkuje rozwój techniki i nauki. I może to zabrzmi paradoksalnie, ale jestem zwolennikiem takiego grubomieszczańskiego widzenia świata. Chcemy mieć dobra, proszę bardzo, ale nie ich gromadzenie jest głównym celem działania, a tworzenie nowych, ich produkcja. Im więcej bowiem będziemy produkować, tym więcej będziemy mieć. Nie koncentrujmy zatem uwagi na dzieleniu, ale na produkowaniu. Już zresztą o tym mówiłem.

Mówiło się tu o kulturze. Rządzą nią mechanizmy ekonomiczne. Wydawnictwa na przykład stały się dochodowym interesem. Muszą osiągać zysk. Polityka wydawnicza zeszła na plan dalszy, albo wręcz jest w zaniku. Coraz częściej też przypomina się nam, ile to państwo dopłaca do każdego biletu teatralnego. No i co z tego? Czy ma jednak dojść do tego, że cena biletu będzie tak wysoka, że nikogo nie będzie na ten bilet stać? Mało przeznacza się na kulturę, ciągle coś tam się łata, ciągle czegoś brakuje. Pod tym względem mamy wyjątkową sytuację w całym obozie socjalistycznym. Wyjątkową w sensie negatywnym.

HALINA KWIATEK: — Warunki działania w kulturze są fatalne. Ale moglibyśmy mimo to zrobić więcej, gdyby nie przepisy — nie boję się tego powiedzieć — idiotyczne przepisy. Wymuszają one na nas niegospodarność.

Mamy w Domu Kultury określoną sumę na działalność programową, ale nie możemy tego wydać bezpośrednio, tylko trzeba za pośrednictwem agencji estradowych, bo agencje muszą na siebie zarobić.

Planujemy na przykład imprezy plenerowe, potrzebna jest estrada. Przychodzi rzemieślnik i wylicza mi, że powinno to kosztować 290 tysięcy złotych. Nie mogę mu zapłacić bezpośrednio, więc płacę pół miliona, bo dochodzą narzuty.

Jest moda na magnetowidy. Ludzie chcą oglądać filmy z kaset. Magnetowidów jeszcze nie produkuje się w kraju. Można je kupić w komisie. Ale cena u prywatnych ludzi jest o 20 procent niższa. Kupuję więc od nich i jestem od razu podejrzana; bo może mam w tym jakiś interes? Lepiej zatem wydać więcej pieniędzy i mieć spokój. Ja chcę być gospodarna i nie mogę. Przepisy mi nie pozwalają. Do licha z takimi przepisami.

S. SREDZIŃSKI: — Powstałby jednak fałszywy obraz, gdybyśmy poprzestali jedynie na tym, że jest źle i nic się już nie da zrobić. A przecież — mimo często niesprzyjających warunków — coś się robi, próbuje się robić, zmieniać taki stan rzeczy, jaki jest. W śródmieściu powstały na przykład 24 zakładowe komisje kultury. Jest taka dobrze działająca komisja w Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji. Pracują one społecznie. Na przykład teraz przyszło zapotrzebowanie z ZPDz. „Lido" na naukę obsługi kamery filmowej 16-milimetrowej. Mają taką kamerę, chcą się nią posługiwać. Inni uczą się obsługiwania magnetowidów i kamer wideo. Organizuje się wystawy, kiermasze książek. Są to może małe inicjatywy, ale jest to przeciwdziałanie obojętności i bierności. A poza tym satysfakcja, że się coś tworzy, że się ludziom pomaga dostrzec inne wartości.

T. MENDELSKI: — Byłoby źle, gdybyśmy doszli do wniosku, że już wygasł w narodzie entuzjazm. Może tego tak nie nazywać, może lepiej mówić tylko o odpowiedzialności. Są bowiem ludzie odpowiedzialni i pełni entuzjazmu, mimo że nie jest im łatwo, że muszą pokonywać wiele przeciwieństw i przeszkód. Ci ludzie są chłonni na idee sprzyjające postępowi. Trzeba zatem pomagać rozwijać takie idee, które przyczyniają się do postępu, rozwoju gospodarki, kultury i społeczeństwa.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Opracowała: BOGDA MADEJ

Foto: Grzegorz Gałasiński

Dawno już miała być szkoła w Bedoniu i nie ma jej. Miały być plany i projekty, ale szafy w Urzędzie Gminy są puste. Dzieci chodzą do szkoły i po 10 km. Czy tak dalej musi być?

Umiesz liczyć - licz na siebie!

JOLANTA WROŃSKA

„Społeczny Komitet Budowy Szkoły w Bedoniu grupuje w swych szeregach ludzi młodych, zdecydowanych na konkretną pracę i działanie przy budowie szkoły. Zaangażowane postawy tych młodych ludzi są wyzwaniem dla marazmu i bierności oraz konsumpcyjnego stylu życia społeczeństwa". Tysiąc kseroodbitek tego apelu trafiło do instytucji, przedsiębiorstw, organizacji politycznych, redakcji w całym kraju.

Informacja, jakich dziesiątki można przeczytać w prasie krajowej. W sam raz na krótką notkę w gazecie codziennej, nic więcej. W stu wsiach sto komitetów społecznych chce zbudować szkołę, ośrodek zdrowia, wodociąg albo kościół czy strażacką remizę. Czyta o tym w gazecie mieszkaniec Bałut albo Przasnysza i nic go nie obchodzi szkoła w Bedoniu. To nie jego rewir, za daleko od jego życia. Może też irytuje go cokolwiek dęta frazeologia takiego czy innych licznych apeli odwołujących się do uczuć, wrażliwości czy też poczucia obywatelskiego obowiązku, a zwłaszcza do finansowej ofiarności PT Społeczeństwa.

— Trudno. Nie ma innego wyjścia. Trzeba do ludzi wyciągać rękę, prosić, apelować, organizować. Bo inaczej szkoły dalej nie będzie.

Pewnie byłoby lepiej, żeby dla administracji było oczywiste to, co jest oczywiste dla ludzi w Bedoniu, że szkoła jest potrzebna. Ale jakoś nie jest. Przez czterdzieści lat mieli pecha. Zbudowano nowe szkoły przez miedzę — w Wiśniowej Górze, w Andrzejowie, rozbudowano szkołę w Nowosolnej. Zwyczajnie zbudowano. Według planów, za państwowe pieniądze, urzędowo. A w Bedoniu po staremu. Nawet w sąsiednim Bukowcu, jak się ludzie zdeklarowali pracować przy budowie własnej szkoły, to i pieniądze się znalazły i władza pomogła. A tutejsze dzieci dalej idą do szkoły kilometrami przez pola.

Jak się spojrzy na administracyjny plan gminy Andrespol, widać od razu, że Bedoń składa się z trzech, chaotycznie rozrzuconych między polami kolonii. Więc jakby zbudować szkołę w samym środku, między koloniami, na działce pod lasem, miałyby dzieci do szkoły najwyżej kilometr, półtora. Miejsce jest takie, że latem byłby tu dobry ośrodek kolonijny, a Bedoń miałby swoje centrum kulturalne.

Najdziwniejsze jest to, że tak na dobrą sprawę nikt nigdy nie był otwarcie przeciw idei zbudowania nowej szkoły w Bedoniu. Wszyscy dostrzegali konieczność, a szkoły, nie wiedzieć dlaczego, dalej nie było.

Zaraz w czterdziestym piątym sklecili ludzie w Bedoniu jaką taką szkołę. Aby przetrzymać powojenną nędzę. Stanęła drewniana szopa — nie szopa i zaczęło się chodzenie dookoła nowej szkoły. Zebrali się ludzie, nacisnęli na władzę w powiecie brzezińskim, żeby budowała szkołę, bo drewniana buda bez wygód, ciasna, zimna, a dzieci parę setek. Władza jak Pan Bóg, nierychliwa. Coś tam obiecała pono w planach uwzględniła, nawet pono jakiś projekt i fundusze szykowała. Skoro władza obiecała, to ludzie czekali, a w drewnianej budzie kończyły osiem klas kolejne roczniki.

— Jak zaczęliśmy teraz drążyć sprawę, szukać starych planów, kiedyś podjętych decyzji i dokumentów, okazało się, że obietnice były na wiatr. Żadnych projektów szkoły w Bedoniu nigdy nie było.

Jolanta Wojciechowska, nauczycielka z bedońskiej szopy dobrze pamięta tamte czasy, bo tutejsza. Sama chodziła do ośmiolatki, gdzie teraz uczy. Sprawa nowej szkoły bębniła o uszy i za powiatowej władzy, i potem, po reformie, kiedy znaleźli się w gminie Andrespol i jak tworzono zbiorcze szkoły gminne likwidując wiejskie ośmioklasówki.

— Starsi ludzie we wsi dobrze pamiętają to zbywanie szkoły przez kolejne urzędy. I jeszcze to pamiętają, że już raz była społeczna inicjatywa zbudowania szkoły w czynie. Była zbiórka pieniędzy, kupiono część materiałów do budowy i nawet błogosławieństwo od władzy było".

I znowu sprawa się rozeszła między biurkami kolejnych szczebli. A najgorsze, że nikt nie wie, gdzie się podziały pieniądze z tamtej zbiórki i co się stało ze zgromadzonym budulcem. Nawet Wojciechowscy nie doszli prawdy, choć przekopali wszystkie możliwe dokumenty.

Tamta porażka zniechęciła ludzi. Nieufnie już słuchali następnych propozycji zbudowania szkoły o własnych siłach, w obietnice władzy wierzyć przestali i na dobrą sprawę pogrzebali myśl o nowej szkole.

Po drodze, za reformy oświatowej zlikwidowano w Bedoniu pełną ośmioklasową szkołę podstawową. Pozostawiono jedynie klasy 0—IV jako filię Zbiorczej Szkoły Gminnej w Wiśniowej Górze. Piątoklasiści maszerowali prawie 10 kilometrów, a maluchy dalej gnieździły się w rozwalającej się budzie.

SPRAWA ODŻYŁA

kiedy z wysokich trybun rzucono hasło Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Czyli, kiedyś już to było, znowu pospolite ruszenie narodu, bo państwo nie nastarcza. Jak wszędzie, tak i w Andrespolu powstał Gminny Komitet Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Może bardziej dlatego, że nie wypadało nie mieć swojego komitetu, niż dlatego, że się tak nagle ludzie poderwali do składek i czynów społecznych.

Powiadają ludzie, że u nas żadna społeczna, oddolna inicjatywa nie przejdzie, jeśli się nie podłączy do oficjalnej, formalnej struktury, albo chociaż sama się nie ustroi w pozór formalny, opatrzony własną pieczątką, z zatwierdzoną listą osób uświetniających społeczny komitet.

Żaden urzędnik nie zechce gadać z jakimiś Iksińskimi, którzy postanowili zebrać się w kupę i coś tam przeprowadzić. Administracja boi się działań nieformalnych, nietypowych, nie ujętych w plan, kosztorys i regulamin. Toteż i komitet na rzecz szkół powstał jak najbardziej formalnie w Bedoniu. Grono uświetniły różne nazwiska, by sprawie nadać rangę, ale mówić o tym nie warto, bo połowa listy członkow Komitetu to martwe dusze. Trzeba więc było zapału gromadki młodych, żeby samorodnie ukształtował się Społeczny Komitet Budowy Szkoły w Bedoniu grupujący blisko dwudziestkę ludzi niekoniecznie tych samych, którzy figurują na oficjalnej liście.

W 1985 roku, komitet z Bedonia oficjalnie wystąpił do władzy o pomoc w budowie szkoły, a Gmina, na fali ogólnokrajowej akcji, odpaliła na początek 2 miliony złotych na konto przyszłej szkoły. Zbiórka pieniędzy wśród mieszkańców Bedonia oraz deklaracje robocizny na rzecz szkoły, na luty 1987 dają efekt w postaci 2,6 miliona złotych w gotówce na koncie licząc w to wstępną wpłatę Gminy, deklarację dalszych wpłat na sumę 1,7 mln złotych oraz 1000 godzin robocizny.

— Jak na początek akcji nie najgorzej — powiada Tadeusz Wojciechowski — *ale to dopiero efekt ofiarności 60 procent naszych mieszkańców. Spodziewamy się dalszych wpłat od reszty, no i liczymy na skutek naszego apelu rozesłanego gdzie się tylko dało, po całej Polsce.*

Mniej więcej w tym miejscu zaczęły się schody. Trudno właściwie powiedzieć, żeby ktoś wprost utrudniał, ale tak jakoś popsuła się atmosfera wokół aktywistów Komitetu w Bedoniu. Nie postawiono im rzecz jasna żadnych otwartych zarzutów, tyle że

PARE OSÓB MA IM ZA ZŁE

Też bliżej nie wiadomo co. Że tacy aktywni, nie siedzą, nie czekają bezczynnie, aż władza kapnie pieniędzmi i ułatwieniami. Albo może, że nie należąc do formalnego Komitetu Gminnego czynu na rzecz szkoły wzięli się za sprawę nadwerężając prestiż tych i owych. Ot, polskie piekiełko. Ktoś coś bąknął i atmosfera traci świeżość. Akurat Piotr Kochański, czy dyr. Jędrzejczak z WODROL-u, albo prezes gminnego PRON pan Marciniak niespecjalnie się tym przejmują, a i małżeństwo nauczycielskie Wojciechowskich też nie zawraca sobie tym głowy. Ludzie, którzy uwierzyli w nową szkołę, mają na głowie poważniejsze kłopoty.

A jest tak: Żeby móc zacząć budować, trzeba mieć formalnie uzgodnioną z właściwymi urzędami lokalizację, no i pieniądze na zakup materiałów budowlanych oraz gwarancję wkładów w żywej pracy ze strony społeczności. Co do lokalizacji to Gminna Rada Narodowa najpierw podała, że od dawna jest w planach przewidziane miejsce pod przyszłą szkołę. Jeszcze z czasów powiatowych obietnic i pierwszej zbiórki pieniędzy. Co więcej, gdzieś też się znajduje projekt budowlany kiedyś wykonany a pechowo nie urzeczywistniony.

Bliższe pogrzebanie w gminnych dokumentach ujawnia jednak, że żadnego projektu nie ma i nigdy nie było, zaś hipotetyczna lokalizacja na urzędowym planie wykazała, że przewidziano budowę szkoły na trzech działkach prywatnych w centrum zwartej zabudowy kolonii Bedoń Stary. Praktycznie oznaczałoby to ruinę marzeń o społecznym zbudowaniu szkoły. Bowiem właściciele działek wyznaczyli cenę sprzedażną łącznie sięgającą 10 milionów złotych. Skąd Komitet miałby na to wziąć pieniądze, jeśli wiadomo, że władza gminna nie da? Inna forma wejścia w posiadanie rzeczonych działek oznacza mitręgę wywłaszczeniową (niby na jakiej podstawie?), koszty sądowe i wykupu.

Słowem — nie tędy. Poza tym usytuowanie działek zmuszałoby do przyjęcia oszczędnościowego, czyli inaczej mocno okrojonego projektu budynku szkolnego. Nie mówiąc już o całkowitym braku jakiegokolwiek uzbrojenia terenu, co podwyższałoby koszty. Jeśli więc byłby to zamysł droższy, z prowizorką jakościową, po co się w to pchać. Tyle że urząd gminny nie dał żadnej innej alternatywnej lokalizacji, bo podobno nie uwzględnia tego plan zagospodarowania przestrzennego gminy.

W ogóle w sprawie jest mnóstwo takich dziwnych „podobno", za którymi kryje się zwyczajny brak urzędniczej kompetencji, bałagan prawny, bezwład struktur administracyjnych, czyli znana polska rzeczywistość. Chwała Bogu, pojawiło się światełko. Jeden z gospodarzy z Bedonia zgodził się na sołeckim zebraniu sprzedać swą działkę pod przyszłą szkołę. Nie policzył drogo — to też gest na rzecz szkoły — bo zgodził się na milion. Sprawa trafiła już urzędowym trybem do sądu i można by od ręki podpisać umowę notarialną między Komitetem a sprzedającym działkę gospodarzem, gdyby nie dwa miliony uzgodnień koniecznych dla otrzymania formalnej zgody na lokalizację. Najprzód okazało się, że działka znajduje się na terenie już urzędowo zaplanowanym i w ogóle mowy nie ma o szkole w tym miejscu. Dalsze drążenie wykazało, że tak naprawdę, to wcale nie istnieje jeszcze ostateczny plan zagospodarowania przestrzennego gminy, a tu jeszcze coraz głośniej mówi się o przyłączeniu gminy Andrespol do Łodzi, co już całkiem stawia sprawę szkoły na straconej pozycji.

Najdziwniejsze wśród tego biurokratycznego bezwładu jest to, że naczelnik gminy Andrespol, pani Elżbieta Ciesielska należy do życzliwych mecenasów szkoły w Bedoniu, świadczy mnóstwo pomocy rzeczowej dla Komitetu, wspiera jak może.

Co z tego, że pani naczelnik rozważywszy proponowaną przez Komitet lokalizację — 1,6 ha pod lasem, uzbrojone w wodę i prąd z racji sąsiedztwa POM, ziemia klasy V i VI — przychylnie poparła. Sprawa musi przejść jeszcze przez Gminną Radę Narodową, a ta — jak dotąd nie tylko nie wykonała żadnego gestu przychylnego sprawie szkoły w Bedoniu, to można powiedzieć, że nawet na odwrót. Rajcy gminni woleli sami nie podejmować decyzji odsyłając do Urzędu Miasta Łodzi — organu administracyjnego naczelnego w całym województwie. Tam zaś zgoda na lokalizację krąży między rozmaitymi komórkami władnymi przystawić zezwalającą pieczątkę, albo i nie. I tak już od listopada 1986 roku. No i oczywiście, zgodnie z zasadą szanowania czasu podatnika utrzymującego całą tę administracyjną górę — nie ma żadnych informacji o losach decyzji.

Co zaś się tyczy pieniędzy, według zarządzeń regulujących realizację inwestycji społecznych Komitet musi zgromadzić na swoim koncie minimum 30 procent kosztów inwestycji w gotówce lub w deklaracjach robocizny na budowie, by móc liczyć na dofinansowanie ze strony organów administracji państwowej. Koszt budowy szacunkowo obliczono na 90—100 milionów złotych, a więc Komitet musiałby uciułać ponad 30 mln w gotówce i robociźnie.

ZBIÓRKA PIENIĘDZY

jest jak wiadomo zajęciem żmudnym, nie zawsze przyjemnym, a przy tym trudno z góry coś ustalać. Ludzie dają tyle, ile chcą i mogą. Niektórzy, zniechęceni w przeszłości wprost mówią, że dadzą dopiero wtedy, kiedy ruszy robota na budowie, a wcześniej nie. Bo znowu gdzieś przepadną pieniądze, jak kiedyś. Nie przekonuje ludzi nawet najformalniejsze poświadczenie wpłaty z pieczątką i numerem bankowego konta Komitetu, ale bo też nie o ewentualną stratę pieniędzy ludziom chodzi. Tylko o zaufanie do tych, od których zależy powodzenie wiejskiego zrywu. Tak więc nie sposób ustalić precyzyjnie, ile i kiedy będzie pieniędzy na koncie, choć Wojciechowscy z grubsza oceniają, że około miliona rocznie wpłynie ze składek od mieszkańców. Pesymistycznie licząc — może 2—3 miliony uda się wydrzeć z niechętnej gminy, może też z zakładów pracy kapnie ze trzy miliony, sądząc po dotychczasowych wpłatach lub deklaracjach pomocy w zakupie lub bezpłatnym dostarczeniu potrzebnych materiałów.

Rzecz jednak w tym, że to będzie trwać. Tymczasem konta Narodowego Czynu Pomocy Szkole są w banku oprocentowane w zawrotnej wysokości 4 proc. rocznie, co ma się jak pięść do nosa przy blisko 20-procentowej inflacji. Tym samym, uskładane pieniądze za dwa, trzy lata będą warte nawet nie połowę tego, co dziś. Szczodrobliwość Narodowego Banku Polskiego w zestawieniu z gromkim nawoływaniem do samopomocowych inicjatyw społecznych mających za zadanie łatanie licznych dziur naszego ludowego państwa jest osobnym tematem do rozważań i nie ma potrzeby zajmować się nim tutaj. Tyle że i w tej kwestii Bedoń znów ma pecha. Nie wiedzieć czemu, konto Społecznego Komitetu otrzymało w banku nie „przydziałowe" 4 proc., lecz tylko 2 proc. Czemu? Nikt tego wyjaśnić nie potrafi.

Obesłane apelem o wsparcie finansowe zakłady pracy też bardzo różnie reagują. Niektóre wprost odmawiają, bo nie mają funduszy, inne hojnie przesyłają czek na 100 tys. a jeszcze inne szarpią się na tysiąc złotych (słownie: jeden tysiąc). Za to ofiarność mieszkańców trzech sołectw, które objęłaby swym działaniem przyszła nowa szkoła jest czasem aż wzruszająca. Sporo ludzi deklaruje po 10—15 tys. złotych, a nie są to wcale ci najzamożniejsi, niektórzy dają i 40 tys., ale jak to ludzie, zdarzali się i tacy, co pogardliwie zatrzaskiwali solidne, bogate drzwi przed pielgrzymującymi członkami Komitetu. Liczy się też poparcie Kuratorium Oświaty i Wychowania Urzędu Miasta Łodzi w osobie pana Wawrzyniaka, ale co z tego, kiedy kasa oświatowa w ogóle jest kusa.

Pewne nadzieje daje szczegółowa analiza budżetu gminy. Tutaj znowu można by mówić o niejakim pechu, czy nawet jawnej niechęci różnych ciał formalnych do idei nowej szkoły w Bedoniu. Oto roczny fundusz na rzecz czynów społecznych w gminie w wysokości 4 mln zł owszem jest, ale Komitet nie dostał zeń ani grosza. Czemu? Nie bardzo dało się wyświetlić. Nadwyżka budżetowa gminy za rok 1986 — 20 mln zł w całości poszła na wodociąg. Też potrzebny, nikt nie mówi, że nie, ale mimo zaciekłej akcji przekonywania radnych, nie udało się uszczknąć z tej kwoty choćby symbolicznej sumy. Ot, tyle, żeby się nazywało, że gmina dostrzega wagę sprawy. Są roczne fundusze sołeckie, czasem zupełnie nie wykorzystywane, też można by z nich wesprzeć sprawę bedońskiej szkoły, ale znowu, gdzieś, coś się zacina w pertraktacjach, choć niby nikt wprost nie powie, że ma w nosie nową szkołę.

A pieniądze muszą być. Samymi mięśniami mieszkańców szkoły się nie zbuduje. Potrzebny jest projekt geodezyjno-techniczny, szacunkowo liczony na 1,5 mln zł. Trzeba zapłacić za projekt architektoniczny, choć co do tego nie ma na razie jasności. Dopiero decyzja lokalizacyjna i stan konta określą wybór. Propozycje obejmują budynek według projektu szkoły zbudowanej na Retkini z niezbędną adaptacją (ok. 300 tys. złotych). Za projekt trzeba liczyć ok. 1,2—2 mln zł. Tu jednak z pięknym gestem wyszło Miejskie Biuro Projektów w Łodzi deklarując wykonanie niezbędnej dokumentacji w znacznej części nieodpłatnie, w granicach 500 tys. zł kosztów. Z podobną propozycją wystąpiło Stowarzyszenie Architektów Polskich obiecując pomoc w projekowaniu i w ciągu roku dostarczyć gotowy projekt architektoniczno-geodezyjny.

Niektóre zakłady pracy już oferują materiały budowlane, sprzęt lub inne świadczenia rzeczowe. Być może skuszone ofertą Społecznego Komitetu o możności zorganizowania w przyszłej szkole pięknie położonej — ośrodka kolonijnego. Szef Gminnego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole, dyr. Jędrzejczak z WODROL-u poza stałym wspieraniem idei deklaruje pomoc swego przedsiębiorstwa w materiałach, sprzęcie i robociźnie już na placu budowy.

Zdaniem pp. Wojciechowskich, największe jednak rezerwy można znaleźć w tutejszych ludziach. Podmiejska gmina siłą rzeczy zamieszkana jest głównie przez chłopów-robotników. Mają pożyteczne — z punktu widzenia przyszłej budowy — zawody. Jest też na terenie gminy wielu rzemieślników, fachowców na budowie niezastąpionych, a w dodatku życzliwych sprawie. Jest też po ludziach sporo przydatnego sprzętu, transportu własnego — ciągników czy samochodów. Są też — i to jest największa nadzieja — znaczne możliwości lokalne w produkcji potrzebnych materiałów budowlanych.

Jest więc tak — pan Tadeusz Wojciechowski sumuje. Po stronie pasywów jest brak decyzji lokalizacyjnej, grzęźnięcie wszelkich formalności w przepastnych trybach biurokracji, marnowanie czasu, zdrowia i prywatnych pieniędzy na rozjazdy. Jest milczenie Gminnej Rady Narodowej władnej poprawić nieco stan konta Społecznego Komitetu. Milczy też Kuratorium Oświaty, nieskore widać do deklaracji, z których trzeba by się już nieodwołalnie wywiązać. Nie najgorętszy też był odzew na apel o pomoc w budowie szkoły ze strony organizacji społecznych i politycznych. Nie poprawia stanu rzeczy także inflacja i rosnące na wszystko ceny. Różne władze jakby nie chciały zrozumieć, że im wcześniej zacznie się budowa — tym taniej wypadnie. Dla wszystkich.

Po stronie aktywów są ludzie i ich wiara, że jednak tym razem się uda. Ludzie z pewnością ruszą do pracy przy budowie szkoły, bo to jest w końcu ich własny interes. i ich dzieci i dzieci ich dzieci.

A nauczeni czterdziestoletnim doświadczeniem, nie będą się więcej oglądać na zmiłowanie państwa, które miało dać, a jakoś nie dało. Teraz wiedzą, że jeśli umiesz liczyć — licz na siebie.

P.S. Według ostatnich informacji decyzja o przyznaniu lokalizacji pod budowę szkoły zależy od Urzędu Gminy w Andrespolu. Urząd Gminy odmawia wydania decyzji.

WIOSNA W „CENTRALU" rozpoczęła się w minioną sobotę wielką obniżką cen artykułów posezonowych różnych branż. Ceny obniżono o 40—50 proc. dzięki czemu w kieszeniach klientów pozostanie ponad 25 mln zł. Wartość tzw. masy towarowej, przygotowanej przez „Central" na wiosnę, która potrwa w tej placówce krótko, bo tylko do 15 maja (po tym terminie rozpocznie się już sprzedaż towarów letnich) wynosi aż 2,5 miliarda zł. Będą to m.in.: sukienki, bluzki i spódnice w ilości 60 tys. sztuk, garnitury męskie — ponad 20 tys. sztuk (niestety, przewiduje się, że może zabraknąć garniturów na większe okazje — ciemnych, uszytych z czystej wełny), więcej niż w 1986 roku będzie kurtek damskich, męskich i młodzieżowych w dużym asortymencie (najmniej — z madery, choć zakłady „Warmia" podjęły się uszyć pewną ilość z tkanin dostarczonych przez „Central"). Dla kobiet o pełniejszych kształtach przewiduje się uszycie w systemie nakładczym 20 tys. sukienek — które, wraz z inną odzieżą dla nietypowych, sprzedawane będą na specjalnym, wydzielonym stoisku.

W branży artykułów sportowych — nie braknie strojów gimnastycznych, obuwia sportowego — natomiast perspektywy zaopatrzenia w sprzęt i namioty są raczej mało optymistyczne. Nie zabraknie obuwia — choć jego asortyment nie w pełni odpowiada zapotrzebowaniu klientów. Czynione są starania o zakup większej ilości obuwia pochodzącego z wydłużenia serii eksportowych.

Doskonale zapowiada się zaopatrzenie w tkaniny bawełniane — będzie ich dwukrotnie więcej niż wiosną 1986 roku — w tym także atrakcyjne tkaniny pościelowe. Nieco więcej będzie również tkanin wełnianych, choć zmaleje udział w nich tkanin wysokogatunkowych, odpowiednich na garnitury i damskie kostiumy.

Będzie duży wybór firanek — najwięcej trafi na stoisko przed świętami.

Obok towarów krajowych — duże dostawy towarów różnych branż z Holandii, Austrii, Chin, Korei, RFN i Wietnamu. Na towary z importu klienci „Centralu" wydają co piątą złotówkę. Od poniedziałku — sprzedaż atrakcyjnych spodni austriackich ze sztruksu po 5400 zł.

SZYNKA I POLĘDWICA z drobiu — to nowości na naszym dość ubogim mięsnym rynku, pochodzące z Łódzkich Zakładów Drobiarskich. Są doskonałe — choć drogie — znikają ze sklepów natychmiast. Łatwiej dostać indyki świeże w różnej postaci — jako filety (mięso z piersi bez kości i skóry), cena 1 kg ponad 900 zł, skrzydła, udka i oczywiście całe indyki. Producent może dostarczać dziennie 1,5 tony indyków oraz 2 tony wędlin tygodniowo. Dostarcza jednak mniej — bowiem na razie handel podchodzi do „indyczych nowości" trochę asekurancko, zamawiając niewielkie ilości. Podobnie z innymi rodzajami drobiu, którego może być w sklepach mięsnych i garmażeryjnych więcej niż obecnie.

KOSZULE NOCNE Z DZIANINY — wygodniejsze i praktyczniejsze od szytych z tkanin — są od jakiegoś czasu w ciągłej sprzedaży w sklepie „Duet" przy ul. Piotrkowskiej 100. Ceny — od 850 zł za koszulkę z mieszanki bawełny z włóknem sztucznym do ponad 2 tys. za czysto bawełnianą.

PO DŁUGIEJ PRZERWIE znowu pojawiła się w sklepach **CHNA** (naturalna, odżywcza farba do włosów) — droższa o kilkadziesiąt złotych. Kupić ją można wyłącznie w drogeriach ajencyjnych. Z nowości — również naturalna, ziołowa farba „kraska", importowana z ZSRR, barwiąca włosy na kolor orzechowy.

JESZCZE NIE MA KOLEJEK w sklepach z nasionami, środkami ochrony roślin i innymi artykułami, potrzebnymi działkowcom, na co zapewne wpływają przedłużające się mrozy. Warto jednak odwiedzić te placówki już teraz — bowiem są one w pełni przygotowane do sezonu. Asortyment jest bogaty — zwłaszcza nawozów i środków ochrony roślin w małych, odpowiednich dla działkowców opakowaniach jest więcej niż w 1986 roku. Nie brak również nasion warzyw i kwiatów. Tych ostatnich radzimy szukać także w kwiaciarniach.

PRZYKRA NIESPODZIANKA czeka tych kierowców, którzy wybierają się na wiosenny przegląd samochodu do warsztatów rzemieślniczych. Ceny wzrosły w nich dość znacznie — około 35 proc. i są obecnie wyższe niż w Polmozbycie. Wkrótce jednak dysproporcja zniknie. Od 1 kwietnia (informacja nieoficjalna) drożeją również usługi w państwowych stacjach obsługi.

NIE POLECAM „PUCHU" — produktu firmy zagranicznej służącego do zagęszczania bitej śmietany (a nie — jak pisze na opakowaniu — będącego jej substytutem). Postępując zgodnie z instrukcją zamiast dużej ilości puszystego kremu otrzymujemy na ogół niezbyt smaczny śmietankowy kisiel.

CZEGO NAJBARDZIEJ POŻĄDA w sklepach ładniejsza połowa konsumentów? Jeśli mierzyć długością kolejek i czasu poświęconego na cierpliwe oczekiwanie tym najbardziej pożądanym towarem nie są szynka ani pomarańcze a nawet nie futra i inne odzieżowe atrakcje lecz... koraliki. I łańcuszki, naszyjniki oraz inne błyszczące ozdoby z czeskiego „Jablonexu". Zdobycie sznurka pereł za niecałe 300 zł (w sklepach prywatnych brzydsze kosztują ponad 700 zł) wymaga ponad dwóch godzin stania przed sklepem. Chętnych nie brak.

AGATA

ze str. 1

Preparatów do przygotowywania kompostu jest pięć: preparat krwawnika, rumianku, pokrzywy, kory dębowej i mniszka lekarskiego. Na całym świecie mają one od lat jednolitą numerację: od 502 do 508; i wystarczy podać numer, by każdy zainteresowany wiedział już o który preparat chodzi. Oprócz tych, w rolnictwie biodynamicznym stosuje się jeszcze trzy preparaty: krowieńca (nr 500) — do oprysków gleby, krzemionki (501) — do oprysków roślin oraz waleriany (507) do oprysków roślin i pryzm kompostowych.

DZIAŁANIE PREPARATÓW BIODYNAMICZNYCH

jest różnorakie i — jak można sądzić — nie do końca zbadane, choć zdaniem praktyków — skuteczne i niepodważalne. I tak na przykład 500 uaktywnia życie mikroorganizmów glebowych, przez co zdecydowanie poprawia korzeniowe odżywianie się roślin. Krzemionka zwiększa z kolei wydajność procesów asymilacyjnych (nieznacznie, o ułamek procenta, choć w efekcie jest to wyraźnie zauważalne), wpływa też na mniejsze wyleganie zbóż. Pozostałe preparaty podnoszą między innymi jakość kompostu, który rozrzuca się na powierzchni gleby i co najwyżej bronuje. Nic więcej.

Dojrzały kompost nie tylko wzbogaca glebę tak bardzo, że stosowanie nawozów syntetycznych jest już zupełnie zbędne, ale i z roku na rok czyni ją coraz żyźniejszą, co choć brzmi jak paradoks, paradoksem jednak nie jest. Trzydzieści parę lat temu Friedrich Sattler zakładał swe gospodarstwo biodynamiczne na nieużytkach, piaskach, które nadawały się właściwie tylko do zalesienia. Dziś ma tam w glebach ornych 8 procent próchnicy. 6 procent!, gdy my jedną trzecią tego uważamy już za stan bardzo dobry. A nie jest to przecież jedyny przykład. Tylko w Republice Federalnej takich gospodarstw jest znacznie więcej.

Jest interes do zrobienia

Czy w Polsce nie można osiągać podobnych rezultatów? Można, pod pewnymi wszakże warunkami. Po pierwsze — drobiazg — owe 30 — 40 lat, przez które konsekwentnie trzeba się trzymać wszystkich zasad rolnictwa biodynamicznego. Po drugie — niezwykle starannie i terminowo wykonywać zabiegi agrotechniczne. Nie wtedy, kiedy się chce, kiedy czas pozwala ale — kiedy wynika to ze specjalnie opracowanego kalendarza. Tu nie wolno się spóźniać, zasypiać, odkładać na zaś, ale też nie należy się spieszyć i wykonywać zadań przed terminem. Matka Natura nie daje za to premii.

Co ma Księżyc do rzodkiewki? Zdawałoby się, to samo, co piernik do wiatraka; nie warto więc nawet stawiać pytania, gdyż żadna zależność tu nie zachodzi, czyli problem po prostu nie istnieje. Ale przecież znaleźli się ludzie, dla których to oczywiste stwierdzenie nie było wcale aż tak oczywiste, i zaczęli się głębiej nad tym zastanawiać, obserwując równocześnie Księżyc i rośliny. I co się okazało? Ano, że satelita Ziemi ma jednak wpływ na naszą florę. Jaki — nie potrafili jeszcze w pełni wyjaśnić.

Na początku lat pięćdziesiątych prowadząca gospodarstwo biodynamiczne Maria Thun zauważyła kiedyś, że rzodkiewka wysiana w cztery różnych dniach podczas pełni Księżyca wykazuje zróżnicowane cechy mimo że według wcześniejszych hipotez tak być nie powinno. Nasiona pochodziły z jednego źródła, roślinki rozwijały się w jednakowych warunkach... Zagadka domagała się rozwiązania i Maria Thun postanowiła, że właśnie ona dokona tego, co nie udawało się jej poprzednikom. Po latach żmudnych eksperymentów i obserwacji dopięła swego: znalazła klucz do tajemnicy wpływu Księżyca i innych ciał niebieskich na wegetację roślin jednorocznych.

W ten oto sposób powstał kalendarz zabiegów agrotechnicznych, stosowany dziś powszechnie w rolnictwie biodynamicznym w RFN, Szwecji, Szwajcarii, Danii i innych krajach.

Na pierwszy rzut oka może zakrawać to na jakieś czary, oszustwo czy wymysł przebiegłego szarlatana. Fakty zdają się jednak przeczyć temu mniemaniu. Bo choć nie wszystko jest tu jeszcze do końca wyjaśnione i wytłumaczone przez naukę, nie ulega wątpliwości, iż przestrzeganie podanych w kalendarzu terminów (przede wszystkim siewu) ma widoczny wpływ na wielkość zbiorów i jakość produktów — w tym również w procesie ich przechowywania. Bywa, że wpływ ten jest stosunkowo niewielki, ale kiedy chodzi o setki, tysiące ton, nawet jeden procent, ułamek procenta urasta do liczb, które dla ekonomisty nie są już bez znaczenia. A przecież różnica w zbiorach między ziemniakami uprawianymi zgodnie ze wskazaniami kalendarza, a bez, wynosić może do kilkunastu kwintali z hektara. Zatem gra warta jest już świeczki. I to w skali jednego gospodarstwa. A cóż dopiero mówić o skali województwa, regionu, całego kraju!

Prowadząc długoletnie obserwacje Maria Thun dostrzegła dziwną prawidłowość, tę mianowicie, że roślina posiana w pewne dni rozwija przede wszystkim korzenie, w inne — liście, w jeszcze inne — owoce albo kwiat. Wiąże się to jednoznacznie z położeniem w danym czasie ciał niebieskich wobec Ziemi i wobec siebie. Istnieje hipoteza, że wraz ze zmianami na nieboskłonie zmienia się docierające do nas promieniowanie kosmiczne, ale na ten temat bliżej mieliby się już wypowiedzieć fizycy. Jaka by jednak nie była przyczyna owego zjawiska, ważne jest, aby na przykład rzodkiewkę siać w tak zwane dni korzenia, sałatę czy kapustę — w dni liścia, zboża — w dni owocu, rośliny ozdobne zaś — w dni kwiatu. Kalendarz określa ponadto, kiedy najlepiej spulchniać glebę, kiedy przesadzać, dokonywać zbiorów, itp. A wszystko daje się wyliczyć z dokładnością do godziny.

Oczywiście kalendarz taki przygotowywać trzeba zawsze z wyprzedzeniem i na każdy rok osobno, gdyż cykle poszczególnych rodzajów dni ulegają przesunięciu w stosunku do kalendarza, jaki na co dzień używamy. Polscy rolnicy i ogrodnicy prowadzący gospodarstwa biodynamiczne dotychczas posługiwali się obliczeniami Marii Thun, która, nawiasem mówiąc, odwiedza nasz kraj, uczestnicząc jako prelegentka z ramienia zachodnioniemieckiej organizacji „Demeter" w kursach i szkoleniach. Od niedawna wszakże mamy już nasz rodzimy kalendarz zabiegów agrotechnicznych, opracowany przez Tomasza Kowalczuka.

Począwszy od grudnia 1986 roku drukuje go w odcinkach tygodnik „Gospodyni" — w miejsce kalendarza Marii Thun, który przez dwa lata przedstawiała i opatrywała komentarzem Dorota Metera. Każdy może więc przekonać się — choćby na swojej pracowniczej działce — czy i jaki jest wpływ kosmosu na świat roślinny, gdyż sprawa — jak widać — wyszła już dosyć daleko poza wąski krąg wtajemniczonych.

Michał i Sabina Tarkowie przeprowadzili proste doświadczenie na pomidorach. Nie żeby nie wierzyli obliczeniom Marii Thun; chcieli po prostu zobaczyć, jak to jest, bo kiedy się widzi, to się więcej wie i lepiej rozumie. Doświadczenie polegało na tym, że jedną partię sadzonek pomidorów przesadzili „do gruntu" w dzień korzenia, drugą — w dzień owocu. Nawet zupełny laik — opowiadają — nie mógł nie dostrzec różnicy. Na krzakach z pierwszej partii owoce były mniejsze, wątłe; z drugiej — dorodne, mięsiste, aż ślinka ciekła już na sam ich widok.

Rzecz jasna były to pomidory wyhodowane bez grama nawozów sztucznych, na glebie użyźnionej kompostem, z zastosowaniem oprysków preparatami, czyli od początku tak, jak trzeba. Inne warzywa uprawiane w ten sam sposób także udały się nadspodziewanie dobrze. W ubiegłym roku na 9 arach mieli marchew. Zebrali 4 tony, a próbkę dali do zbadania w wieluńskiej stacji sanitarno-epidemiologicznej. Wyniki analizy nie budziły zastrzeżeń: *„...korzenie czyste, zdrowe o barwie pomarańczowo-czerwonej, bez uszkodzeń spowodowanych przez szkodniki."* I dalej: *„1. zawartość azotanów 73,25 mg/kg. 2. zawartość azotynów 0,00 mg/kg"*.

Norma polska — dodaje pan Michał — wynosi 250 mg/kg. Z takiej marchwi produkuje się w Rzeszowie tak poszukiwane soczki dla małych dzieci. Ale nierzadko spotyka się marchew o zawartości azotanów 1200, 1500 mg/kg. Średnia krajowa jest więc na pewno grubo powyżej normy. I to jemy na co dzień.

Dwa lata temu Michał Tarka zaproponował swoją marchew wieluńskiemu szpitalowi. Dyrekcja nie była wtedy nią jednak zainteresowana. Kiedy w 1986 roku zobaczyli wyniki analizy san-epidu, zamówili od razu 250 kilogramów. Sąsiedzi też szybko się przekonali. Początkowo brali po kilka kilogramów — na spróbowanie. A potem przychodzili jeden przez drugiego i chcieli jeszcze. Ta marchew ma nawet inny smak — przyznawali.

Pani Sabina twierdzi, że teraz to swoją marchew i kapustę bez trudu już rozpoznaje z zamkniętymi oczyma — tylko po smaku. A jej mąż chwali się, że poprzedniej zimy na 3 tony ziemniaków, jakie miał w kopcu, wyrzucił nie więcej niż wiadro zepsutych.

ZE SZKODNIKAMI TEŻ SOBIE DOSKONALE PORADZILI.

Na mszyce przygotowali oprysk z pokrzywy, na bielinka kapustnika — z piołunu, który można kupić w każdej aptece. Proste, tanie, skuteczne i — co najważniejsze — zupełnie nieszkodliwe. Istnieje cała gama naturalnych środków owado-, chwastobójczych czy przeciwgrzybicznych, które doskonale mogą zastąpić kosztowne i nieraz trudno dostępne preparaty chemiczne. Trzeba je tylko poznać i nauczyć się stosować. Ale trzeba też za każdym razem starać się zrozumieć, dlaczego dany szkodnik czy chwast pojawia się na polu w nadmiernej ilości. W przyrodzie nic nie dzieje się wszak bez przyczyny. Inwazja szkodników zawsze spowodowana jest zachwianiem równowagi w biocenozie. A skoro tak, powinno się w pierwszym rzędzie dążyć do przywrócenia tej równowagi i zapobiegać podobnym wypadkom w przyszłości.

Rolnictwo konwencjonalne ogranicza się na ogół jedynie do zwalczania skutków. Bo tak jest wygodniej, co nie znaczy: taniej, bezpieczniej i skuteczniej. Rolnictwo biodynamiczne szuka również przyczyn niekorzystnych zjawisk i stawia na szeroko rozumianą profilaktykę. To tak, jakby jeden lekarz stosował przeciwko grypie wyłącznie piramidon, gdyż na pewien czas obniża on temperaturę, drugi zaś — oprócz piramidonu przepisywał chorym także aspirynę, antybiotyk, witaminy i zalecał, żeby się dobrze odżywiać, ciepło ubierać i nie stykać się bezpośrednio — jeśli to możliwe — z już „zagrypionymi". Który z nich zyska naszą sympatię i uznanie, nie ma chyba wątpliwości.

Rolników też nikt dotychczas nie zwolnił z obowiązku myślenia!

Rolnictwo biodynamiczne, czy szerzej — ekologiczne jest dziś tylko alternatywą dla rolnictwa konwencjonalnego, „chemicznego". W niektórych krajach jego udział w produkcji żywności wynosi mniej więcej 4—5 procent i uważa się, że nie jest to wcale mało. Zdaniem ekspertów, barierą utrudniającą przekroczenie tej granicy jest nie wielkość plonów lecz człowiek, który z różnych względów nie chce lub nie potrafi zmienić swego stosunku do Matki Natury, a co za tym idzie — i do samego siebie. Jeśli sytuacja taka utrzyma się w przyszłości, możemy być jednym z ostatnich pokoleń, które wdycha czyste jeszcze w miarę powietrze, pije czystą wodę i ma okazję spróbować czystej, zdrowej żywności.

Ale można rozpatrywać też bardziej optymistyczny wariant rozwoju wydarzeń. To znaczy, że mimo wszystko jakimś cudem uda się nam zatrzymać proces degradacji środowiska, a kto wie — nawet poprawić nieco jego stan. I wtedy rolnictwo biodynamiczne może okazać się koniecznością, jedynym rozwiązaniem do przyjęcia.

Tak czy inaczej, powinniśmy dążyć do rozwoju choćby dlatego, że co by się nie zdarzyło, jest to dla nas zawsze jakaś szansa. Sprawa nie jest prosta, ale... Coraz więcej mówi się na całym świecie o potrzebie bardziej zdecydowanych działań na rzecz zapobieżenia totalnej klęsce ekologicznej. Nie maleje też zapotrzebowanie na zdrową żywność, którą w wielu krajach sprzedaje się w specjalnych sklepach na ogół po trochę wyższej cenie. W Stanach Zjednoczonych sprzedano w 1985 roku tak zwanej tam naturalnej żywności za ponad 5 mld dolarów.

Polska na tym polu zupełnie się dziś jeszcze nie liczy, bo ani sklepów ze zdrową żywnością, ani znaczącej liczby gospodarstw biodynamicznych w pełnym tego słowa znaczeniu. Te 10, które teraz już można by tak nazwać, i następne kilkadziesiąt, które są gdzieś w połowie drogi, to w skali kraju przecież tyle, co nic. Znów zostaliśmy daleko w tyle...

Niemniej są pewne widoki na poprawę stanu rzeczy. Trwa zainicjowana przed paru laty akcja popularyzacji rolnictwa biodynamicznego. Organizowane są w związku z tym różne prelekcje, konferencje, kursy i szkolenia. Coraz bardziej, acz ciągle chyba jeszcze zbyt wolno aktywizuje się środowisko naukowe. Nieznacznie, ale wzrasta liczba publikacji. Zrobiono także już pierwsze kroki w kierunku powołania polskiego odpowiednika zachodnioniemieckiej organizacji producentów zdrowej żywności „Demeter". Późno bo późno, lecz i u nas coś nareszcie zaczyna się dziać.

Z drugiej strony bardzo to wszystko dziwne, bo przecież

WŁAŚNIE POLSKA MA WYMARZONE NIEMAL WARUNKI,

by rozwinąć rolnictwo biodynamiczne na naprawdę dużą skalę. Większość polskich gospodarstw rolnych, to gospodarstwa średniej wielkości, czyli takie, które najlepiej nadają się do tego celu. Mimo znacznego zniszczenia środowiska przyrodniczego w wielu regionach kraju, wciąż jeszcze nie brak nam terenów stosunkowo czystych. Paradoksalnie nawet to, co uważamy za słabość polskiego rolnictwa, a więc mniejsze niż gdzie indziej zużycie nawozów sztucznych i niewielki jeszcze stopień mechanizacji prac polowych, także staje się tu naszym atutem, gdyż wprowadzanie ciężkiego sprzętu na pola uprawiane metodą biodynamiczną nie jest zalecane. Chodzi bowiem o to, by nie ubijać zbytnio gleby.

A względy ekonomiczne? Polski przemysł nawozów sztucznych ledwie zipie. Jest przestarzały i mało wydajny. Tylko w 1986 roku na utrzymanie jego zdolności produkcyjnych i niezbędne modernizacje przewidywano wydać 9 mld złotych. Od 1975 roku nawożenie mineralne spadło o 20 kilogramów na jednostkę powierzchni użytków rolnych. O ileż poprawiłaby się sytuacja, gdyby część rolników zrezygnowała z nawozów sztucznych, przechodząc na rolnictwo biodynamiczne? Ile moglibyśmy dzięki temu zaoszczędzić? Ile moglibyśmy zaoszczędzić na ochronie środowiska?

A problem zdrowia polskiego społeczeństwa? Według prognoz, w roku 2000 koszty związane z zapobieganiem i leczeniem chorób powstałych na skutek zanieczyszczenia środowiska sięgną sumy 840 mld złotych (wg. cen z 1983 r.). Zdrowa żywność — przynajmniej dla naszych dzieci — to z pewnością możliwość ograniczenia tych wydatków. Nieźle moglibyśmy również zarobić na eksporcie. I to nie w bliżej nieokreślonej przyszłości, ale praktycznie już teraz — gdyby było co eksportować.

Słyszy się nieraz opinie, że rolnictwo ekologiczne jest bardziej pracochłonne, a mniej dochodowe od konwencjonalnego. Doc. Mieczysław Górny ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, znawca i niestrudzony propagator rolnictwa biodynamicznego stanowczo temu jednak przeczy. *„Jest tylko bardziej złożone"* — mówi — ponieważ *„trzeba więcej wiedzieć"*. W Republice Federalnej gospodarstwa biodynamiczne są bardziej opłacalne od tradycyjnych przy minimalnie tylko wyższych cenach zdrowej żywności. Dlaczego u nas miałoby być inaczej? Nie straci więc także rolnik. Przeciwnie, zyska nawet. Wszyscy zresztą zyskamy.

Michał Tarka jest głęboko przekonany, że przyszłość należy do rolnictwa biodynamicznego. Dlatego zamierza powiększyć swe gospodarstwo, dokupić ziemi, zainwestować. Na razie jeszcze razem z żoną dokładają, ale trudno od razu myśleć o fortunie, gdy zaczyna się prawie od zera. — *Za to później* — mówi — *na pewno będą i pieniądze i zadowolenie.*

Michał Tarka nie jest już nowicjuszem. Ma dużą wiedzę, spore doświadczenie. W 1986 roku ukończył kolejny kurs — tym razem sporządzania preparatów biodynamicznych. Pozwala mu to na pełną samodzielność, gdyż prawie wszystko już może mieć swoje: kompost, preparaty, środki ochrony roślin, pasze. O zbyt płodów rolnych nie musi się martwić: chętnych na zdrową żywność nie brakuje. Żeby tylko zdołał zrealizować wszystkie zamówienia.

Michał Tarka jest dobrej myśli.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

W MPK był konkurs na dyrektora. Co chce, a co może zmienić nowy dyrektor?

Kto pomoże MPK?

KRZYSZTOF ZAJĄC

Na zebraniu Rady Pracowniczej MPK Andrzej Koman zawiadomił o rezygnacji z zajmowanego stanowiska. Zapanowała konsternacja.

— *Nie było żadnych przesłanek, by oczekiwać jego odejścia* — utrzymuje Grzegorz Mokrzycki, przewodniczący Rady Pracowniczej. — *W ostatnim roku nastąpił nawet wzrost tzw. kilometrowozów — wskaźnika określającego całkowitą długość drogi przejechanej przez pojazdy, a współpraca z dyrektorem układała się dobrze. Dlatego należy wierzyć, że za zwrotem: „złożył rezygnację ze względu na stan zdrowia" nie kryje się nic poza tym, że każdy może czuć się zmęczony. To praca dla ambitnych pasjonatów.*

— Ale moment złożenia rezygnacji, grudzień 1986 roku musi sugerować, że nie mógł poradzić sobie z zimowymi trudnościami?

— *Andrzej Koman był dyrektorem MPK od 1982 roku* — powiada na to Grzegorz Mokrzycki. — *A MPK krytykowano zawsze. Dziś niełudno krytykować MPK choć przyczyny niekiedy słusznych zarzutów nie zawsze są przez nas zawinione. Ludzie oczekują prawdy, gdy my staramy się zrobić wszystko, by stan komunikacji nie uległ pogorszeniu. Brak jest motorniczych i kierowców. Warunki utrzymania i obsługi taboru przedstawiają wiele do życzenia, linie są przeciążone... A zmiana istniejącego stanu rzeczy tylko w niewielkim stopniu zależy od dyrektora.*

Rada Narodowa i Urząd Miasta twierdzą, że rozumieją problemy przedsiębiorstwa, lecz i oni niewiele mogą pomóc. Żeby podnieść płace i zachęcić ludzi, by pracowali w MPK, trzeba zmienić system finansowania i opodatkowania. Nie wystarczą wypraszane dotacje. Potrzeba takiej poprawy stanu technicznego zaplecza, by pracownicy nie byli zmuszeni do ustawicznego łamania przepisów bhp.

MPK jest przedsiębiorstwem dotowanym. Sposób określenia wysokości dotacji nie jest zobiektywizowany. Ciągle obowiązuje tu zasada uznaniowo-przetargowa: od osobistych kontaktów i siły przebicia dyrektora zależy wielkość uzyskanej pomocy.

— *To wszystko stanowi wielkie obciążenie dla szefa MPK. Dlatego nie jest przypadkiem, że dyrektorzy zmieniają się tu co 4—5 lat.*

Zdaniem Stefana Olczaka, I sekretarza KZ PZPR, nastawienie prasy do MPK nie jest właściwe. Nie ufa dziennikarzom, którzy — jak twierdzi — potrafią złośliwie przekręcać wypowiedzi. Dlatego przed udzieleniem jakichkolwiek informacji włącza magnetofon. Uważa, że generalnie musi się zmienić kurs wobec MPK.

— *Pokazujecie tłumy ludzi stojące na przystankach* — mówi — *a nie pokazujecie, jak wygląda zajezdnia. Tam nikt nie siedzi na leżakach. Ludzie piszą listy, żądają zmian, krytykują. Ale popatrzmy w jak komfortowych warunkach pracują ludzie w „Dywilanie", czy „Polanilu" i porównajmy to z warunkami socjalnymi naszych pracowników.*

By uświadomić ludziom sytuację w MPK zaproszono do zajezdni pracowników firm, które szczególnie ostro krytykowały komunikację. Pokazano im, jak w największe mrozy pracownicy grzali sobie ręce przy koksownikach, by dłonie nie przymarzały im do narzędzi...

Stefan Olczak uważa, że postawienie człowieka na stanowisku, to jedno, a danie mu możliwości do działania — to druga sprawa. Firmie brakuje 300 mln złotych i jeżeli ich nie otrzyma, to samymi zmianami kadrowymi nic się nie osiągnie. Następuje ciągła dekapitalizacja zaplecza technicznego i budynków. Brak jest środków na remonty i płace...

— *Obywatel nie musi wiedzieć, jakie są warunki pracy w MPK i obiektywne uwarunkowania działania przedsiębiorstwa, ale ja muszę wiedzieć, co zależy od ludzi, a czego zmienić nie mogę* — twierdzi Jerzy Jańczak, dyrektor Wydziału Gospodarki Komunalnej i Infrastruktury Technicznej Urzędu Miasta.

Rozumie, że za każdą sprawą stoi konkretny człowiek. Musi zatem analizować, co zawinił człowiek, a co stało się niezależnie od niego.

— *Nigdy nie będzie takiej sytuacji* — powiada — *że zostaną zaspokojone wszystkie żądania ludzi w mieście. Często są to sprzeczne interesy, których pogodzić nie można. Miasta, w których liczba mieszkańców przekroczyła pół miliona i mają w centrum starą zabudowę muszą mieć komunikację podziemną. Wąskie ulice, zbyt często powtarzająca się sygnalizacja świetlna, to tylko dwa z wielu czynników wpływających na sprawne funkcjonowanie komunikacji, a niezależnych od ludzi. Przecież wystarczy jedna awaria w alei Tadeusza Kościuszki, aby stanęła cała komunikacja w śródmieściu. Warto się też zastanowić, czy budżet jakiegokolwiek miasta stać na to, aby przygotować MPK do skrajnych warunków. Zatem kłopoty zimowe są nieuniknione. Wiem też, że mieszkańcom Łodzi trudno będzie uwierzyć w to, co powiem, ale porównując funkcjonowanie komunikacji w największe mrozy z tym, co działo się w innych miastach, a też w innych krajach, to u nas nie było tak źle.*

10 stycznia 1987 roku ogłoszono w prasie konkurs na dyrektora MPK. Podano, że kandydat powinien posiadać wyższe wykształcenie, mieć minimum dziesięcioletni staż pracy, w tym 5 lat na stanowisku kierowniczym, wiek do 50 lat, dobry stan zdrowia.

Do rywalizacji zgłosiło się dwóch kandydatów. Pierwszy był wieloletnim pracownikiem przedsiębiorstwa. Jego rywal niewiele miał z przedsiębiorstwem wspólnego. Wynik zdawał się oczywisty.

W majestacie prawa, zgodnie z obowiązującymi przepisami, w wyniku jednogłośnego wyboru nominację uzyskał Czesław Rydecki, lat 37, absolwent Politechniki Łódzkiej i wychowanek przedsiębiorstwa.

Z krótkiej notki biograficznej przygotowanej przez rzecznika prasowego MPK wynika, że nowy dyrektor pracę w przedsiębiorstwie podjął w 1973 r., bezpośrednio po studiach. Był stażystą pracownikiem i kierownikiem Ośrodka Badawczo-Rozwojowego. W wieku 29 lat został zastępcą dyrektora do spraw zaplecza technicznego, potem zastępcą dyrektora do spraw zaopatrzenia. Przez dwa lata pełnił funkcję sekretarza KZ PZPR. Od 1 stycznia 1987 r. pełnił obowiązki dyrektora naczelnego, a 1 lutego 1987 r. — w związku z wygranym konkursem — powołany został przez prezydenta miasta Łodzi na stanowisko dyrektora naczelnego MPK.

Pierwsze, czego dowiedziałem się o nowo wybranym dyrektorze to fakt, że gdy nastała fala najsilniejszych mrozów, zamiast w łóżku noc spędził w zajezdniach. W krótkim czasie urzędowania zdążył spotkać się już z radnymi i zaprezentować im problemy przedsiębiorstwa. Skierował pisma do dzielnicowych rad narodowych prosząc o współpracę, a w szczególności o finansową i techniczną pomoc przy budowie ekspedycji i poczekalni na krańcówkach tramwajowych i autobusowych. W ten sposób chce, przy pomocy zainteresowanych dzielnic, zmniejszyć niedogodności oczekujących pasażerów. Znalazł pieniądze, którymi potrafił zachęcić pracowników, by w godzinach szczytu porannego, gdy ludzie wyruszają do pracy, autobusy i tramwaje punktualnie wyjeżdżały na trasę.

Zdążył też oberwać od prasy, gdy wiedząc, że wszelkich opóźnień i przestojów nie jest w stanie zlikwidować, postarał się by przynajmniej w niektórych punktach miasta marznących pasażerów ogrzewały koksowniki. Wytknięto to mu złośliwie, że autobusy zastąpił koksownikami.

Czesław Rydecki wie, że ani w tym roku, ani w następnych latach nie uda się w sposób radykalny poprawić funkcjonowania komunikacji. Jest ostrożny w swoich decyzjach. Jeden jego błąd może nieść poważne konsekwencje dla setek, jeżeli nie tysięcy mieszkańców. Wie też, że w Komunalnym Przedsiębiorstwie Napraw Autobusów w Słupsku twierdzą, że łódzkie pojazdy przychodzą do remontów w najgorszym stanie. Nie z powodu niewłaściwej eksploatacji, lecz niezmiernie trudnych warunków pracy sprzętu.

Czesław Rydecki stara się reagować na wszystkie sygnały i tam, gdzie jest to uzasadnione, wprowadzać możliwe zmiany. Tyle że inna jest ocena petentów, a inna fachowców z przedsiębiorstwa. Np. jeżeli zakład pracy domaga się od MPK przedłużenia linii o jeden przystanek, to wydaje się, że nie jest to nic wielkiego i skomplikowanego. A tymczasem jeden przystanek więcej, to większa liczba pasażerów, a więc przeciążenie linii. Trzeba zatem zwiększyć częstotliwość kursowania, a to znaczy dać dodatkowe autobusy. Trzeba je skądś wziąć, a raczej zabrać innym, gdyż liczba taboru jest niewystarczająca.

Albo inna sprawa: były sygnały z miasta o zbyt małej liczbie kursujących autobusów i tramwajów w pracujące soboty. Dyrektor zdecydował, by w te dni jeżdżono tak jak w normalny dzień roboczy. Musiało to nastąpić kosztem dalszego ograniczenia liczby pojazdów w pozostałe wolne dni... Wydawało się, że pomysł był dobry, lecz niektóre zakłady zaczęły przestawiać sobie wolne i pracujące soboty. Znowu znaleźli się niezadowoleni. Oczywiście można na wszystkie te dni dać większą liczbę taboru, ale obowiązujące układy zbiorowe określają normy czasu pracy dla motorniczych i kierowców. Oni i tak mają zakłócony rytm biologiczny. Żyją według grafiku: jednego dnia zaczynają pracę o 14, by następnego stawiać się w pracy o drugiej w nocy, a kolejnego o siódmej rano. Codziennie inaczej. Próbowano zaradzić temu zatrudniając nowych pracowników, lecz płace nie są tu atrakcyjne i chętnych brak. Szukano innych rozwiązań: praca na ćwierć czy nawet jedną ósmą etatu — dodatkowe źródło zarobków dla ludzi, którzy mają stałe zatrudnienie. Kiedyś na takiej zasadzie zatrudniali się studenci. Zostało ich tylko kilku. Widać i dla nich płace są mało atrakcyjne.

Czesław Rydecki twierdzi, że będzie próbował jak najlepiej obsłużyć mieszkańców miasta operując tym, co dysponuje, bez wielkich nadziei na przyrost taboru czy pieniędzy. Chciałby, aby znowu, tak, jak niegdyś, określenie „tramwajarz" było synonimem dobrej roboty. Będzie dążył do kształtowania lepszych, bardziej uprzejmych postaw obsługi bezpośrednio stykającej się z pasażerami. Pragnie lepszego wzajemnego zrozumienia i szacunku, zlikwidowania symbolicznej szyby oddzielającej kierowcę i motorniczego od przewożonych ludzi...

Ma wiele zapału i energii. Znajomość różnych działów przedsiębiorstwa, wieloletnie doświadczenia zawodowe ułatwiają pracę. Kiedyś tego wszystkiego może nie wystarczyć.

— *Jeżeli przyjdzie taki moment, że złożę rezygnację* — mówi Czesław Rydecki — *nie chciałbym, by doszukiwano się w tym jakiejś sensacji. Wszak każdy może poczuć się zmęczony.*

Foto: Grzegorz Gałasiński

Mówi: Henryk Debich

— Gdzie podziały się te wspaniałe zegary, które zdobiły ściany pańskiego mieszkania?

— Z dawnej kolekcji pozostały mi tylko dwa zegary, a ponieważ są zepsute, będę musiał je zrekonstruować. Dokonam tego sam, bowiem studiuję zegarmistrzostwo od jego początków, ze szczególnym uwzględnieniem starych zegarów. Dotychczas konsultowałem się z asystentem mgr Longina Wiśniewskiego, Edwardem Szymańskim, teraz pogłębiam wiedzę u prof. Wiśniewskiego. W przyszłości mam zamiar zmienić profesję dyrygencką na zegarmistrzowską.

— Skąd wzięło się pana zegarowe hobby i co właściwie oznacza?

— Zegary to symbol czasu, przemijania. Rytm ich pracy stanowił dla mnie analogię do muzyki. Szczególnie lubię zegary grające, kurantowe.

— Zamiłowania i pasje zwykle sporo mówią o człowieku. Zegary też by pewnie powiedziały, gdyby umiały?

— Oczywiście, ale dzięki Bogu nie mówią.

— Słyszałem, że jest pan apodyktyczny i despotyczny?

— No wie pan? Byłem — bardzo tolerancyjny.

— Ale w prowadzeniu orkiestry nie uznaje pan żadnych kompromisów?

— Absolutnie nie uznają. Muzyka ich nie znosi. Sam pan kiedyś o mnie napisał, że jestem w pracy dyktatorem. Nie zaprzeczam.

— Ale przecież zdarzają się konflikty, zadrażnienia, różne zdania na ten sam temat?

— 37 lat szefowania tej samej orkiestrze mówi chyba o czymś. Fakt ten stanowi ewenement w skali światowej.

— Tej samej orkiestrze? Przecież lubi pan zmiany kadrowe w orkiestrze?

— Jestem zwolennikiem częstej rotacji, bo gdyby to była wciąż ta sama orkiestra, byłaby zespołem emerytów. Do radia przyszedłem w 1949 roku na stanowisko redaktora muzyki rozrywkowej, zacząłem pracę z moim prorektorem Mieczysławem Drobnerem i starszym kolegą Aleksandrem Tarskim. Był to początek narodzin orkiestry. Byłem najmłodszym w całej społeczności radiowej. Obecnie przeciętna wieku członków mojej orkiestry wynosi 25 lat. Gra już drugie pokolenie. Orkiestra PRiTV w Łodzi jest najmłodszą orkiestrą w Europie.

— Lubił pan również zmiany w życiu osobistym, bowiem aż trzykrotnie zmieniał żony?

— Nie da się ukryć. To fakt.

— Najdłużej był pan związany z Zofią Rudnicką, wspaniałą sopranistką, której karierę przerwała straszliwa choroba...

— Sclerosis multiplex, do dziś nieuleczalna. Przez 10 lat byłem jej opiekunem. Zofia Rudnicka to wybitnie utalentowana śpiewaczka, debiutująca w 19 roku życia partią Violetty w „Traviacie". Była solistką Teatru Wielkiego w Łodzi i Teatru Wielkiego w Warszawie. Stypendystką rządu włoskiego w La Scali, laureatką wielu międzynarodowych konkursów wokalnych. Była wspaniałą żoną, matką mojego jedynego syna Mariusza.

— Trzecia żona — piosenkarka też była ciężko chora i nie rokowano nadziei na pełne wyzdrowienie...

— Po wypadku samochodowym pielęgnowałem Urszulę przez trzy lata. Szczęśliwie wyzdrowiała i... w kwietniu 1986 roku wyszła za mąż za muzyka, kompozytora i pianistę (znanego z występów w mojej orkiestrze).

— Nigdy nie wspomina pan w wywiadach pierwszej żony?

— Danuta, znana w Łodzi śpiewaczka jest we wspaniałej kondycji wokalnej i śpiewa do tej pory.

— Nie układa się panu życie prywatne, czemu to przypisać?

— Taki już mój los, może przeznaczenie, a może fanatyczne oddanie muzyce, która jest bardzo zazdrosną muzą i żeby odwzajemniać miłość lubi żądać wyłączności.

— Kto obecnie prowadzi pana dom?

— Po śmierci drugiej żony zajęła się wszystkim opiekunka syna, wspaniały człowiek, bardzo oddana domowi pani Franciszka Stasiak.

— W środowisku mówi się, że pana czwartą żoną ma zostać Violetta Villas, która w 1986 roku nawiązała z panem stałą współpracę?

— Przy każdym spotkaniu na estradzie Violetta Villas mówi, że bardzo mnie kocha i modli się za mnie.

— Kilka lat temu mnie mówiła to samo!?

— Wiem o tym, dlatego są inne kandydatki.

— Czy równie sławne?

— Bardzo.

— Zdradzi pan ich nazwiska?

— Nie.

— Szkoda. Mieszka pan w dużym domu, ale w połowie dzieli go z właścicielem. Czyżby nie stać pana na samodzielną willę?

— Niestety nie stać mnie.

— Ile zarabia sławny dyrygent renomowanej polskiej orkiestry?

— Cztery lata temu moja zasadnicza pensja wynosiła 9 tysięcy złotych. Do niedawna 19 tysięcy, obecnie 21 tysięcy, a to już najwyższy pułap na tym stanowisku. Aby zarobić więcej, dużo piszę, gościnnie występuję, współpracuję z wieloma orkiestrami w kraju i za granicą. Wszystko to kosztem zdrowia i wielu wyrzeczeń osobistych.

— Prowadzi pan życie światowe czy domowe?

— Domowe. Często pomagam pani Franciszce w gotowaniu obiadów, lubię gotować, robię zakupy. Zajmuję się dalszą edukacją syna, studiującego obecnie dyrygenturę w AM w Warszawie, w 1986 roku Mariusz ukończył wraz z żoną Małgorzatą Wydział Teorii i Kompozycji AM w Łodzi. W wolnych chwilach pielęgnuję pozostałe dwa zegary.

— A wygląda pan na światowca?

— To już pan powiedział.

— Widzę, że wciąż ma pan duży sentyment do zegarów. Jaki zegar obecnie pana interesuje?

— Zegar z komputerem, potrafiący składać życzenia: dobrego zdrowia i pomyślności dla orkiestry, jej miłośników, przyjaciół.

— I dla pana oraz jego najbliższych?

— Dziękuję bardzo.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Feliks Rajczak

Wieś niepiśmiennych poetów

1

Wieś drewna surowego
pszczół dzikich oswojonych
cienia niebieskiego
bieli na zieleni
i mroku ponurego
wieś niepiśmiennych poetów

2

Wiersz jak gobelin
utkałem dla matki
i zawiesiłem na ścianie
przy której stała moja kołyska

3

Z ciemności widać
jaśniej
oświeconych

Epitafia Mieczysławowi Jastrunowi

1

Pożegnano poetę pierwszego dnia marca
Pochyleni chwil stali nad mogiłą
Temu który z czasem pojednał się — o Panie
Bądź miłościw i spotkaj się z nim

2

Poza lotem przestrzeni jego dźwięk ustaje
Jak koń który ciągnie marmury pod górę
Niebieski Furmanie biczem jasnych piorunów
Pomóż wedrzeć się prawdzie na szczyt

marzec 1988

Nie zawierzyłem

Nie zawierzyłem do końca kulturze
Tej która zwiędłym kolanem powłóczy
I od natury z dala się wysusza
Jak kość gruźlika u podnóża wydmy

Chciałem by mięsień uda w parze z czołem
Wyznaczał wykres mojej równowagi
Na wszystkich drogach przez wioski i miasta
Bym się nie ugiął pod brzemieniem haseł
Encyklopedii i pism satyryków
Abym z zaułka widział jasne wyjście
Abym w przestrzeni wolny był od lęku
Abym odchodził bez żalu za dalą
Która po lewej ręce pozostaje
Która po prawej ręce...

Dojście do morza

Morze jakby na wzgórzu
przez szczątki lasu
przesyłało wołanie
o spokój wieczny

Z niziny
schodami
wychodzę na skarpę
i na brzeg morza
zstępuję
po piasku miałkim
w stronę opadającej kuli
w milczeniu
że nie przegadam fal
odwiecznych gawęd
o ujarzmionym potopie

Z ledwie tlejącym ogniem
w piersi
nabieram morskiej wody
w usta
i wszystkie potrawy z mojej okolicy
zaprawiam solą uspokojenia

★ ☆ ★

My, cośmy odpadli, bez poczucia klęski
Leżymy pokotem jak drzewa bez liści.
Wezmą nas na ogień w piecach prominencji.
I pole widzenia z łomów się oczyści.

Lecz nie żałujemy goryczy ni dymów —
Rozeszły się wokół cokołów i głazów.
Po deszczu nad ranem wstaną nasze członki,
Zaplodnią boginki bez rąk i posągów.

Przypomnienie Igora Sikiryckiego

Kim był Igor Sikirycki? Kiedyś znakomitym ponoć spikerem radiowym, związanym między innymi z legendarną „Pszczółką". Ostatnio przewodniczącym Rady Łódzkiej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, kierownikiem działu literackiego „Odgłosów". Przede wszystkim jednak był człowiekiem pióra — poetą, prozaikiem, autorem książek dla dzieci i młodzieży, autorem utworów scenicznych i widowisk telewizyjnych, twórcą scenariuszy filmów dziecięcych oraz adaptacji. Szeroko znany był jako tłumacz literatur narodów Związku Radzieckiego.

Urodził się 31 lipca 1920 roku w Brześciu nad Bugiem. Jako poeta zdążył zadebiutować na łamach prasy jeszcze przed wojną (w roku 1938) Pierwszy tomik poetycki — „Wołanie drzew" — ukazał się dopiero dwanaście lat później i zawierał głównie liryki zrodzone z wojennych inspiracji, wykorzystujące często motyw ojczystego krajobrazu, który powracał i w późniejszych zbiorach: „Nocny połów" (1966), „Wiersze" (1977), „Trzy struny" (1980), „W cieniu samotnej sosny" (1986). Od utrzymanych w tonacji apokaliptycznej motywów wojennych liryka Igora Sikiryckiego odchodziła następnie — zrazu dyskretnie i aluzyjnie, potem zaś coraz wyraziściej — ku radości życia. Wyrażając apologię teraźniejszości zwracał się Igor Sikirycki ku odległym niejednokrotnie wydarzeniom, przypominał polski i słowiański rodowód, wykorzystywał i rozbudowywał przekazy historyczne i legendarne, przybliżał przeszłość Ziem Zachodnich i Północnych. Żarliwe strofy poświęcił mowie polskiej w wierszu bez tytułu napisanym w roku 1957. Wyczulony na giętki jej kształt pisał poeta-robotnik słowa:

Mowo ojczysta, mowo
serdeczna,
Ty jesteś żywa, ty jesteś
wieczna.
Jak prawda piękna, jak
życie cenna,
Jak marmur chłodna, jak
żar płomienna (...)
Gdy płomień dziejów karty
ksiąg spali,
Ty, mowo święta, myśli
ocalisz.

Wojenne sprawy zainspirowały obie — przeznaczone dla młodego czytelnika — powieści: „Siedmiu nieobecnych" (1970) oraz „Pietrka z Puszczy Piskiej" (1971). Ukazują one młodocianych bohaterów wplątanych w rozmaite konflikty wojenne, zmuszonych przez trudne okoliczności do dokonywania wyborów zasadniczych. Nie bacząc na zagrożenie życia bohaterowie tej prozy pragną ocalić podstawowe wartości moralne i patriotyczne. Przygodowa konwencja, wartka akcja, sytuacyjny dowcip znakomicie ułatwiają dydaktyczne przesłanie.

Jest ono również obecne w satyrze Igora Sikiryckiego. Wyśmiewając trwałe przywary ludzkie, jak i sytuacje okazjonalne, korzystał z różnych gatunków literackich: uprawiał fraszki, limeryki, humoreski, ballady, aforyzmy, bajki. Utwory satyryczne złożyły się na kilka tomików: „Igraszki i fraszki" (1959), „Kiermasz fraszek" (1970), „Ostrożnie, świeżo napisane" (1983), „Piorunująca mieszanina" (1985). Satyra Igora Sikiryckiego wyrażała przede wszystkim krytyczny stosunek wobec szkodliwych zjawisk obyczajowych. Piętnował przejawy negatywnych postaw społecznych, wyśmiewał na przykład karierowiczostwo, nepotyzm, zakłamanie, pruderię etc. Trudno, rzecz prosta, streszczać w tym miejscu epigramaty Sikiryckiego, może więc lepiej powiedzieć tylko, iż w większości zachowały one zadziwiającą aktualność, świadczącą o trwałości przywar polskiego społeczeństwa, niektóre zaś — o charakterze przepowiedni — mają jeszcze szanse sprawdzić się, na przykład:

Wkrótce mocz do analizy
Oddasz tylko za dewizy.

Najchętniej oddawał się Igor Sikirycki twórczości dla najmłodszych — najwdzięczniejszych bez wątpienia, ale i najsurowszych — czytelników. Temu przejawowi Jego działalności poświęcimy zatem nieco więcej uwagi. Nie będę wymieniał wszystkich książek z tego zakresu — jest ich ponad dwadzieścia. Wspomnę jedynie niektóre tytuły: „O komarze i orkiestrze" (1961), „Stara kuźnia" (1963), „Bajki na dobranoc" (1970), Najweselsza szkoła" (1972), „Jak Zabłocki wyszedł na mydle" (1982), „Podróże małe i duże" (1985).

Większość utworów Igora Sikiryckiego dla najmłodszych — choć nie tylko — odbiorców określić można jako bajki. Przy czym nie chodzi tu może o bezwzględną wierność definicji teoretycznoliterackiej, są to bowiem w pierwszym rzędzie „wiersze dla dzieci". Kiedyś oddzielano wiersze dla dzieci od bajek, bajki od powiastek, powiastki od historyjek, historyjki od przypowieści itd. Dzisiaj te rozróżnienia nie mają większego sensu, bo zarówno w poczuciu piszących, jak i oczywiście czytelników, zatarły się — subtelne zresztą — granice dzielące tylko co wspomniane gatunki.

Atrybutem bajki jest zazwyczaj dziwność, cudowność, odmienność od tego wszystkiego, z czym mamy do czynienia. Jednak autor „Awantury w Przechwałkowie" niezwykle oszczędnie korzysta z sytuacji niecodziennych; utwory swe rozpoczyna z pozycji realistycznych i owego realizmu trzyma się wytrwale. Co nie przeszkadza mu zaludniać stworzony przez siebie świat postaciami, które normalnie trudno spotkać. Rzecz przy tym charakterystyczna — bohaterami bajek Igora Sikiryckiego są przeważnie ludzie, a nie zwierzęta, jak to bywa w bajkach klasycznych. W jakiejś zwyczajnej scenerii (co najwyżej urozmaiconej tłem historycznym) pojawia się nagle ktoś nadzwyczajny, wyposażony w coś, co nazywa się życiową mądrością. Sedno sprawy tkwi więc w swoistej prostocie. Łatwo zauważyć, iż wiele utworów Igora Sikiryckiego inspirowały przysłowia i porzekadła. Zawartą w jednym czy dwóch zdaniach sentencję Sikirycki rozbudowywał, udramatyczniał, tworzył fabułkę, której morałem okazywało się właśnie dane przysłowie. Dowiadywali się tedy czytelnicy o tym, jak to Zabłocki wyszedł na mydle, o tym, że najlepszym kucharzem bywa głód, że często szewc bez butów chodzi itd, itp. Bywało, że inspirowali autora sami czytelnicy, opowiadając mu różne — zasłyszane, bądź wymyślone historyjki (w ten bodaj sposób powstała bajka „Srebrny Król"). Igor Sikirycki należał bowiem do takich twórców, którzy chętnie i często spotykają się ze swoimi czytelnikami.

Jego utwory posiadają własne, wyraziste oblicze — tworzą je dwa nade wszystko elementy: odrębna rzeczywistość przedstawiona i swoista fantastyka. To elementy fantastyczne przygotowują morał, czynią go bardziej widocznym. W eksponowaniu morału pomaga również sytuacyjny humor, z którym czytelnik bajek Sikiryckiego ma do czynienia niemal bez przerwy. Ów świat bajkowy, bez względu na scenerię, wydobywa na jaw rzeczywiste stosunki i relacje między zjawiskami.

Tym wszystkim, którzy choć trochę interesują się literaturą dla dzieci znane jest zapewne powiedzenie: „magia zaczyna się w domu", które oznacza, że w domu najzwyklejszych pod słońcem ludzi zjawia się niespodziewanie jakiś niecodzienny gość, który dotychczasowy bliski im świat przemienia w świat fantazji. Według Igora Sikiryckiego jest inaczej — magia istnieje wokół nas, fantazja nie jest celem, ale środkiem, odgrywa rolę wyraźnie służebną w przybliżaniu konkretnych treści wychowawczych, w przypomnieniu tradycyjnych wartości moralnych. Świat bajek Igora Sikiryckiego nie jest światem złudzeń i czarów — jest światem przygód, które bawią i uczą.

Działalność przekładowa Igora Sikiryckiego obejmuje przede wszystkim różne literatury narodów Związku Radzieckiego: armeńską, azerbejdżańską, białoruską, estońską, gruzińską, łotewską i litewską. Sikirycki tłumaczył zarówno klasykę (na przykład wielokrotnie wznawiane bajki, legendy i opowieści: „Konik Garbusek", „Witeź w tygrysiej skórze", „Dawid z Sasunu"), jak i twórczość współczesną, zebraną w tomie „Wiersze sercu bliskie" (1978). Dodajmy, iż z zafascynowania kulturą krajów kaukaskich wyrósł odrębny tomik: „W stronę Kolchidy" (1973). Zestaw autorów tłumaczonych przez Igora Sikiryckiego jest bardzo bogaty, obejmuje odmienne indywidualności pisarskie, różnorakie kierunki poszukiwań, świadczy o odmienności historycznego rozwoju narodowych kultur, dokumentuje literackie przyjaźnie. Można powiedzieć, iż translatorska praca Igora Sikiryckiego wychodziła naprzeciw postulatowi zgłoszonemu przez wybitnego współczesnego poetę armeńskiego, Parjura Sewaka:

Ja chciałbym,
Bardzo chciałbym,
Aby to słowo stało się
rzeczywistym paszportem
Na całym świecie
Dla wszystkich.

Sukcesy Igora Sikiryckiego jako tłumacza wymierne są również przy pomocy nagród i wyróżnień. Między innymi w roku 1969 odznaczony został Dyplomem Honorowym Komitetu Wydawnictw przy Radzie Ministrów ZSRR, w roku 1976 otrzymał nagrodę im. Maksyma Gorkiego, w roku 1984 nagrodę TPPR im. Wandy Wasilewskiej.

Jako antologista Igor Sikirycki opracował między innymi: „Wiersze o braterstwie" (1951), „Na czerwonych październikach kwiatach" (1977 — wspólnie ze Zbigniewem Załuskim), „Księgę przyjaciół" (1975), „Muzo, pieśni opowiadaj" (1979), „Złote kamienie. Dawne i nowe wiersze Azerbejdżanu" (1975 — wspólnie z Tadeuszem Chróścielewskim), „Antologię poezji gruzińskiej" (1985). Był konsultantem antologii prezentującej utwory poetów radzieckich o Polsce „Jak unieść wierszem Twoją chwałę" (1977).

Zmarł w Łodzi 2 stycznia 1985 roku. Nie będę wymieniał Jego odznaczeń. Powiem tylko, iż najbardziej cenił przyznany przez dzieci „Order Uśmiechu".

Wystąpienie na wieczorze poświęconym pamięci pisarza, zorganizowanym przez PRON, WŁ, KAW i ZNP.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

KONTRABANDA

(Księżna Generałowa Izabela z Flemingów Czartoryska) lubiła opowiadać wesołe anegdotki o sobie, a jedną z czasów pruskich, gdy między Puławami a Warszawą była granica, na której ściśle pilnowano kontrabandy; szczególnie bronne były sztuczne paryskie kwiaty. Księżna wzięła na siebie przewiezć ogromną liczbę bukietów dla wszystkich swoich dam, gotujących się do wesela, i naturalnie do wyprawy panny młodej, a że suknie i ozdoby, będące na osobie, nie podpadały kontroli, obszyła swój podróżny szlafroczek girlandami, zdobiąc kapelusz 12 olbrzymimi bukietami, i tak ubrana wysiadła z największą fantazją z karety, wobec zadziwionych panów celników, z których jedni śmiali się, drudzy byli źli, a starszy wymagał opłaty za kontrabandę, gdyż nikt się w podróży tak nie ubiera, na co Księżna odpowiedziała, „iż wie, że wygląda śmiesznie, ale że lubi kwiaty, nigdy ich nie zanadto"; i pomimo tak wyraźnego przekroczenia prawa, dzięki ścisłemu wykonaniu litery przez Prusaków, Księżna, nie zapłaciwszy ani grosza, w kostiumie swym Flory pojechała do Puław.

Gabriela z Güntherów Puzynina: W Wilnie i w dworach litewskich. Pamiętnik z lat 1815—1843. Wilno 1928.

WOJNA MNICHÓW, CZYLI MONACHOMACHIA

Nie pamiętam, w którym to ze znaczniejszych miast radziwiłłowskich — podobno, że w Nieświeżu — były w osiemnastym wieku dwa osobliwe klasztory, doznające względów książęcych i walczące o nie ze sobą zawzięcie — to jest reformaci i jezuici. Po zgonie któregoś z radziwiłłowskiej rodziny obadwa zgromadzenia na wyścigi starały się świetnością żałobnych obrządków okazać wdzięczność za doznawane od familii łaski, a tym samym nowe sobie zaskarbić. W obu kościołach sypały się gradem mowy pogrzebowe, elegie i epitafia, huczały dzwony jak na gwałt, gorzały jarzące świece, brzmiały śpiewy i muzyka. Na ten raz przecie prości reformaci wzięli górę nad subtelnymi synami Lojoli... i, o zgrozo! tryumf ten zgotował jeden pałka, baraniarz, braciszek Tadeusz. On, będąc mechanicus naturalis, przedstawił w końcu nabożeństwa duszę nieboszczyka Radziwiłła, w lekkim, przejrzystym odzieniu anielskim, ulatującą z katafalku do nieba; koncept ten w całym mieście tyle narobił aplauzów i wrzawy, że ani wspomniano nawet o jezuickich egzekwiach. Wspaniałe animusze nie zniosą obojętnie żadnego upokorzenia: bogobojni ojcowie, nie mogąc zepsuć reformackiego sukcesu, chcieli przynajmniej żółcią swą obryzgać jasny ich tryumf. Ojciec poeta, drugi może Baka, nasmażywszy kilka godzin mózgu, skomponował, ojciec kaligraf przepisał, a żak usłużny o świcie przylepił na drzwiach reformackiego klasztoru następne epigramma:

Wielce się żali Radziwiłła dusza,
Na reformata, brata Tadeusza,
że ją do nieba posyła bez gaci...
Niech mu Bóg płaci!

Lecz brat Tadeusz, upojony świeżym powodzeniem, podniósł śmiało rzuconą rękawicę i ex promptu wypalił natychmiast odpowiedź:

Niech się nie żali Radziwiłła dusza
Na reformata, brata Tadeusza;
Będzie jej w niebie, choć bez gaci, dobrze,
Daleko lepiej niźli komu w bobrze.

Wiadomo, że jezuici nosili czapki bobrowe. Ustęp ten z prawdziwej wojny mnichów, mam z autentycznego źródła, bo od reformata z radziwiłłowskiej Białej, na Rusi podlaskiej R. Z.: Ustęp z prawdziwej Monachomachii. „Przyjaciel Ludu" 1847, nr 48.

I CZAPKA TEŻ Z PŁASZOWA

Jedzie szlachcic z księdzem plebanem na jednym wózku z Krakowa. Przechodzącego pyta ks. pleban chłopa: *„Skądze chłopek?"*. Odpowie: *„Z Płaszowa"*. Że czapki nie zdjął, obrażony szlachcic rzecze: *„A czapka?"*. Odpowie: *„I czapka z Płaszowa"*.

M. M. Fryczkiewicz: Sto sposobów nabożnie wesołych. Kraków 1767.

SMAKOSZ

Jadeł i trunków smakosz
I kobiecości takoż.
Co dał dobrego byt,
Wszystkiego ma aż zbyt.
Najlepszych kąsków łowiec,
Wilczyskiem jest wśród owiec,
Szczupakiem pośród ryb
I żyje w miły tryb.
W tej życia synekurze
Posiada znawstwo duże
I żyje, aż mu zgon
Obwieści: z życia — won!

Jan Lemański: Jasełka. Warszawa 1911.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Leon Schiller nie z pomnika

Maj 1949 roku (to już trzydzieści dziewięć lat mija!). Młody, początkujący właściwie dziennikarz, trochę stremowany, wchodzi na klatkę schodową domu przy ulicy Tuwima 40 i na pierwszym piętrze przyciska taster dzwonka. Przez dłuższą chwilę nikt nie otwiera, po czym rozlegają się ciężkie kroki i zgrzyt odsuwanego rygla.

— *Pan Orłowski?*

To raczej konstatacja niż pytanie, nie jest to bowiem nasz pierwszy kontakt. W dodatku umówiony telefonicznie. Schiller przygląda mi się przez chwilę uważnie, bez uśmiechu, nim szerokim gestem zaprosi mnie do ciemnawego gabinetu, którego okna wychodzą na ulicę Tuwima. Czeka stojąc aż zajmę miejsce, po czym zapada się w głęboki fotel. Dzieli nas biurko, przy czym twarz reżysera tonie w półmroku, gdyż plecami zwrócony jest do światła.

— *Słucham pana.*

Gospodarz nie stara się ułatwić mi zadania, nadal spogląda na mnie bacznie, czeka.

— Miałem już przyjemność rozmawiać z panem dyrektorem — mówię ze ściśniętym gardłem.

— *Tak, pamiętam.*

To krótkie stwierdzenie dodaje mi ducha. Oznacza bowiem, że dla wielkiego artysty teatru nie jestem pustym miejscem, że budzę jakieś tam zainteresowanie i wspomnienie.

Dotyczyło ono wydarzeń sprzed dwóch lat, to jest z 1947 roku. Teatr Wojska Polskiego w Łodzi powracał właśnie z 19-dniowego tournée po Czechosłowacji. Wjazd pociągu specjalnego na pierwszy peron dworca Łódź—Fabryczna poprzedziły wieści o triumfalnym przebiegu występów teatru w Pradze, Bratysławie i kilkunastu innych miastach. Nasi południowi sąsiedzi przyjmowali schillerowskich „Krakowiaków i Górali" z entuzjazmem.

Wraz z innymi reporterami (ja reprezentowałem wówczas „Dziennik Łódzki") oczekiwałem na dworcu na potwierdzenie tych informacji z pierwszej ręki. To wcale nie było łatwe z uwagi na nieład, jaki zapanował na peronie po przyjeździe pociągu. Radosny gwar, okrzyki, powitania — trudno było się przez to przebić.

Moi koledzy wyszukiwali w tłumie znajome twarze aktorów, by przeprowadzić z nimi *a vista* krótkie wywiady. Ktoś wyprzedził mnie i wdał się w wymianę zdań z Krasnowieckim, ktoś inny z Cyglerem, jeszcze ktoś z Ewą Bonacką. Mnie przez dłuższą chwilę nic się nie udawało, nie miałem odwagi zaczepiać aktorów znanych mi tylko ze sceny.

Uratowała mnie — o ile dobrze pamiętam — Sabina Nowicka, pełniąca wówczas funkcje sekretarza teatru. Tu słowo wyjaśnienia: w okresie międzywojennym i tuż po wojnie nie było w naszych teatrach dyrektorów administracyjnych czy intendentów. Finansami i organizacją teatru zajmowali się właśnie sekretarze.

Pani Sabina, która oprowadzała mnie kiedyś po zapleczu Teatru Wojska Polskiego, gdy przygotowywałem reportaż, pospieszyła mi teraz z pomocą, wprowadzając do poczekalni dworcowej, gdzie odpoczywał po trudach podróży Leon Schiller. Mimo ciepłej pogody narzuconą miał na ramiona jesionkę, a kolana okryte kocem.

— *Co chciałby pan ode mnie usłyszeć?* — zapytał po prezentacji dokonanej przez panią sekretarz.

— Jak ocenia pan dyrektor podróż artystyczną po Czechosłowacji? — spytałem stereotypowo.

Po zawsze poważnej twarzy Schillera przemknął cień uśmiechu.

— *Nieważna moja ocena* — odpowiedział — *ale jak nas ocenili inni. Przyznaję, że jechałem niewolny od obaw. Zbyt pokrewny jest folklor polski i czeski, by nie skłaniał do porównań, przeciwstawień. Ale, mówiąc po prostu, spodobaliśmy się. Wzruszające było ciepło, z jakim Czesi i Słowacy przyjmowali nasze widowisko.*

Chciałem usłyszeć więcej szczegółów, ale mistrz był wyraźnie zmęczony.

— *O wszystkim powie panu doktor Korzyniewska* — zakończył rozmowę, cedując mnie na swą żonę i równocześnie współpracowniczkę.

Trudno byłoby twierdzić, że w tym czasie znałem się na teatrze, choć od chłopięcych lat przepadałem za tą właśnie dziedziną sztuki. Jeszcze przed wojną, w 1938 roku, oglądałem, jako uczeń, słynną inscenizację schillerowską „Nieboskiej komedii" Zygmunta Krasińskiego. Wychodziłem z teatru z wypiekami na twarzy.

Teraz, gdy dr Irena Korzyniewska-Schillerowa zasypywała mnie szczegółami dotyczącymi recepcji „Krakowiaków i Górali" w Czechosłowacji, wspominałem znane mi przedstawienie. Imponowało mi ono przede wszystkim perfekcyjnym panowaniem inscenizatora nad ruchem scenicznym. Mistrzostwo Schillera polegało na tym, że kilkudziesięcioosobowy tłum aktorów i statystów potrafił poddać najściślejszej dyscyplinie. Przemieszczali się oni jak marionetki wodzone niewidzialnymi nitkami. Każdy wykonawca w przekroju całego przedstawienia trafiał zawsze w danym momencie w wyznaczone mu ściśle miejsce. Ruch wspomagany barwnymi dekoracjami i kostiumami Władysława Daszewskiego układał się pod niewidzialnym dotknięciem inscenizatora jak farby na palecie, tworząc wspaniałe żywe obrazy.

W pamięci utkwiła mi szczególnie jedna scena z tego historycznego już spektaklu. Górale, którzy po przybyciu w gościnę do krakowiaków, udali się wraz z nimi na przekąskę do karczmy, wkrótce popadli z gospodarzami w bijatykę. Przez drzwi karczmy wytaczała się ruchoma masa splecionych ciał, jak spływająca z wulkanu lawa, albo lepiej: jak sztuka materiału rzucona wprawną ręką sprzedawcy i rozwijająca się wzdłuż lady sklepowej. Bezład na scenie był tylko pozorny. Nad każdą fazą zbiorowego, sumującego się ruchu panował niepodzielnie mistrz Schiller. Czarodziej Schiller.

Te sprawy stanęły mi w pamięci, gdy po raz drugi miałem szczęście rozmawiać z Mistrzem w jego gabinecie przy ulicy Tuwima. Miał to być wywiad podsumowujący trzy sezony teatralne spędzone przez Leona Schillera w Łodzi po powrocie z obozu jenieckiego w Murnau.

Jako dyrektor Teatru Wojska Polskiego przy ulicy Jaracza sam wyreżyserował w tym czasie dziesięć premier. To dużo, gdy zważyć, że były to z reguły duże spektakle z udziałem całego ansamblu. W dodatku co najmniej pięć z tych widowisk zaliczyć należy do arcydzieł.

Zwycięską passę zapoczątkowało wystawienie 30 listopada 1946 roku właśnie „Krakowiaków i Górali", dojrzałego artystycznie i porywającego apelu o jedność narodową Polaków w obliczu jakże skomplikowanej wówczas sytuacji wewnętrznej kraju. (A kiedyż była ona nieskomplikowana?).

Kolejna perła w koronie to „Celestyna" Fernanda de Rojas z niezapomnianą Jadwigą Chojnacką w roli tytułowej — ponura sztuka hiszpańska z końca XV wieku, ukazująca triumfujące zło w natarciu. Mroczny pochód Inkwizycji przez scenę należał do najdoskonalszych formalnie — przy jednoczesnym bogactwie metafory — osiągnięć reżyserskich Schillera.

Wspominam dalej oryginalną intepretację szekspirowskiej „Burzy", odbierającą Arielowi tradycyjne racje w stosunku do poniewieranego i gnębionego Kalibana.

Potem urocza i przewrotna baśń-przypowieść Jana Drdy „Igraszki z diabłem", z Feliksem Żukowskim w roli Marcina Kabata.

I wreszcie wystawiony na scenie „Monodram" w Łódzkim Domu Kultury, tęczowy bukiet pieśni polskich na przestrzeni historii: „Kram z piosenkami".

Ten krótki przegląd nie pretenduje do oceny łódzkiego okresu Leona Schillera, jak się później okazało, najbardziej owocnego w jego powojennej działalności teatralnej. Nie piszę szkicu w związku z przypadającą 14 marca setną rocznicą jego urodzin. Wysilam tylko pamięć, by ożywić kamienny blok zdobiący dziś pasaż jego imienia obok „Hortexu".

Nie sięgam nawet do tekstu mego interwiewu zamieszczonego w 1949 roku w „Dzienniku Łódzkim". Nie byłem w tym czasie rozmówcą, będącym w stanie podjąć partnerski dialog z wielkim artystą. Gdy jednak uruchamiam wspomnienia, jawi mi się artysta osnuty smutkiem. Próbował wprawdzie mówić z pewnym ożywieniem o swych planach związanych z przeniesieniem się wraz z całym zespołem teatru do stolicy. A jednak wrażliwość podsuwała mi myśl, że Schillera coś gnębi.

Łączyło się to zapewne z coraz liczniejszymi głosami lewackiej krytyki, zarzucającej mu formalizm i mieszczańską koncepcję sztuki teatralnej. Krytyka ta doprowadzić miała do niemal całkowitego sparaliżowania twórczości reżyserskiej Leona Schillera w ostatnich latach jego życia. Przejęty szczerze ideami socjalizmu artysta nie mieścił się w obowiązującym wówczas schematycznym modelu polityki kulturalnej. Dziś można już jednak z pewnością stwierdzić, że to on właśnie, a nie jego krytycy, pozostaje z historycznej perspektywy zwycięzcą.

— *Dziękuję* — zakończył krótko naszą rozmowę Leon Schiller i podał mi rękę. I znowu cień uśmiechu pojawił się na jego twarzy. Takim go zapamiętałem.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Fenomen Kraszewskiego

(W setną rocznicę śmierci)

W warszawskim „Życiu" (1887, nr 17) zamieszczono następującą statystykę twórczości Kraszewskiego: w ciągu 58 lat działalności literackiej Kraszewski ogłosił drukiem 346 dzieł (w 640 tomach), zawierających łącznie 115.525 stronic druku tekstów oryginalnych, 107 tomów liczących 30640 stronic, których Kraszewski wprawdzie nie napisał, lecz je redagował, opatrywał komentarzami lub przeprowadzał korekty. Twórca polskiej bibliografii narodowej Karol Estreicher zamieścił niebawem w tymże czasopiśmie (1887, nr 28—29) *Obliczenie stronic i wierszy druku w osobno wydanych dziełach J. I. Kraszewskiego, tudzież w powieściach umieszczonych w czasopismach*, z którego wynikało, że autor „Starej baśni" wydrukował ogółem 7.500 arkuszy druku, zawierających 3 miliony 400 tysięcy wierszy (linijek) tekstów, nie licząc *„mnogich korespondencji po czasopismach i kilkadziesiąt tysięcy listów i korespondencji literackiej"*. Aleksander Bolesław Brzostowski w swoich bałamutnych wspomnieniach o Kraszewskim (1912) ocenił prywatną korespondencję pisarza na z górą 200 tysięcy listów.

W żartobliwym, nie pozbawionym pewnej przesady, szkicu literackim *„J. I. Kraszewski w Warszawie"*, opublikowanym w 1847 r., August Wilkoński tak pisał o fenomenie pisarskim Kraszewskiego: *„Gdybyś literki policzył, byłoby milionów kilkanaście; gdybyś atrament odwilżył, byłoby garncy kilkadziesiąt; gdybyś pióra pozbierał, mógłbyś tysiącem skrzydeł z Warszawy do Ameryki powietrzną odbyć żeglugę; gdybyś papier zgromadził, mógłbyś w którymkolwiek z miast powiatowych wszystkie budowle z wierzchu i wewnątrz wykleić, a gdybyś wszystkie myśli na jeden zegnał rynek, byłby zgiełk, wrzask, hałas i kłótnie na mil kilkadziesiąt wystarczające"*.

Po latach (1966) opublikowana została obszerna bibliografia Kraszewskiego nosząca tytuł *Józef Ignacy Kraszewski zarys bibliograficzny*. Autorzy bibliografii piszą we wstępie: *„Pełna bibliografia twórczości bodaj najpłodniejszego pisarza na świecie pozostanie na długi, bardzo długi czas pragnieniem i marzeniem, jeśli nie w ogóle utopią (...) Trzeba przejść przez niejeden etap badań nad twórczością naszego „tytana pracy", ażeby te liczby* (podane przez Estreichera i Brzostowskiego — przyp. A.K.) *nie przyprawiały o zawrót głowy, ale stały się w pełni opanowanymi konkretami"*.

O ile mi wiadomo, nikt dotychczas, mimo postępu badań nad życiem i twórczością pisarza i mimo rozwoju technik komputerowych, nie zweryfikował tamtych szokujących danych liczbowych, na których podstawie zresztą Kraszewski trafił do księgi rekordów Guinessa. Najlepszą bodaj weryfikację oceny twórczości literackiej pisarza, którego stulecie śmierci właśnie obchodzimy (zmarł w Genewie 19 marca 1887 r., w dniu swoich imienin) przyniosło samo życie.

Rozpoczęty podczas okupacji niemieckiej renesans twórczości Kraszewskiego trwa nieprzerwanie do dziś. Antoni Trepiński opowiada w uroczej książeczce o Kraszewskim, że w Muzeum Kraszewskiego w Romanowie znajduje się gablota z „zaczytanymi" powieściami pisarza. Jedna z nich nosi na sobie hitlerowską pieczątkę więzienia na Montelupich w Krakowie: *egzemplarz z biblioteki więziennej był tak zniszczony (zaczytany), aż dziw bierze, że nie bano się go dotknąć bez dezynfekcji, i że nikt nie wrzucił do pieca ze względów higienicznych. Ani jedna stronica nie jest wolna od śladu wędrówek z rąk do rąk i grubej warstwy brudu"*.

Podobne, choć nie tak krańcowe, przykłady „zaczytania" powieści Kraszewskiego rejestrują wypożyczalnie książek bibliotek różnych typów. Fenomen poczytności pisarza potwierdzają dające już w miliony nakłady jego dzieł znikające z półek księgarskich. Kolejnym potwierdzeniem ogromnego zainteresowania twórczością Kraszewskiego są wysokie ceny wcześniejszych wydań jego książek, uzyskiwane na aukcjach antykwarycznych.

Kraszewski jest uznawany za *wielkiego nauczyciela czytania*, twórcę polskiej powieści masowej. W czasie zaborów był jednym z przywódców ideowych narodu oddziaływujących na utrwalanie świadomości narodowej Polaków i dążności do niepodległego bytu państwa. Prosty styl i nieskomplikowany wykład dziejów ojczystych wywarł ogromny wpływ na rozwój czytelnictwa na przestrzeni dziesiątków lat.

Przyjaciel pisarza Aleksander Kraushar w refleksyjnym wierszu *Aere perennius*, zamieszczonym w bezimiennie wydanym tomiku *Strofy jesienne (Kraków 1903)*, ale, jak sądzić należy, napisanym przed jubileuszem pięćdziesięciolecia pracy literackiej Kraszewskiego (1879) pisał: (przed jubileuszem):

Kraszewski książkom poświęcił życie,
Narodu uświetnił chwałę...
Wziętość dzieł jego w bujnym rozkwicie
Owoce wyda wspaniałe.

(po latach dwudziestu):

— Niechże łaskawie mnie ktoś objaśni,
Co czytać? — panienka pyta.
— Radzę autora prześlicznej „Baśni".
— Czy go dziś jeszcze kto czyta?

Czas pokazał, że Kraszewski pozostał pisarzem *wciąż żywym*. Sam Kraszewski tak pisał o sławie pisarskiej:

Sławę pisarską zyskuje się często obietnicami czegoś, ciągłym przyrzekaniem talentu, co zawsze na jutro objawienie swoje odkłada. Ileż to jest ludzi, co tym sposobem sławni się stali, nic nie zrobiwszy, nic nie dawszy, prócz przyrzeczeń.

Pisarz przyrzeczeń próżnych nie składał, służył swoim współczesnym jak umiał, ale wśród potomnych zasłużył sobie nie tylko na miejsce w grobach zasłużonych na Skałce, ale na coś bardziej trwałego — na stałą obecność w świadomości czytelniczej pokoleń.

ANDRZEJ KEMPA

Kronika kulturalna

26 LUTEGO br. podpisano w Warszawie **X program polsko-włoskiej współpracy w dziedzinie kultury, oświaty i nauki na lata 1987—1989.**

Przewiduje on m.in. znaczne rozszerzenie nauczania języka polskiego we Włoszech i włoskiego w Polsce. Wprowadzony zostanie kurs języka włoskiego do programu naszej telewizji.

W celu pogłębienia współpracy między środowiskami artystycznymi obydwu krajów planuje się **powołanie Instytutu Kultury Polskiej w Rzymie i Instytutu Kultury Włoskiej w Krakowie** (obok istniejącego już w Warszawie).

W 1988 r. zostanie przedstawiona **nad Tybrem bogata panorama kina polskiego,** a w Warszawie miłośnicy włoskiej sztuki filmowej będą mogli zapoznać się z jej najnowszymi osiągnięciami.

Różnorodny jest również program wymiany artystycznej w dziedzinie plastycznej i teatralnej.

W marcu przypada setna rocznica urodzin Leona Schillera — wielkiego nowatora i reformatora polskiej sceny.

Z tej okazji **Towarzystwo Przyjaciół Łodzi** przygotowuje okolicznościowe wydawnictwo, które obrazować będzie osiągnięcia tej wybitnej postaci, wielce zasłużonej dla naszego miasta. Również specjalna publikacja, poświęcona życiu i działalności L. Schillera, ukaże się nakładem **Wydawnictwa Literackiego** w Krakowie. Marcowy numer miesięcznika **„Teatr"** zamieści wiele **interesujących materiałów schillerowskich.**

Ustanowiona też zostanie nagroda jego imienia dla najzdolniejszych młodych aktorów.

Teatry przypomną liczne, **odkrywcze** inscenizacje schillerowskie.

MIĘDZYNARODOWA Federacja Dziennikarzy i Pisarzy Turystycznych (FIJET) przyznała **Krakowowi nagrodę „Złotego Jabłka" za osiągnięcia w ratowaniu skarbów kultury światowej** i restaurowanie zabytków.

W gronie poprzednich laureatów tej prestiżowej nagrody znalazły się takie miasta, jak **Turek** (Finlandia), **York** (Wielka Brytania) i **Suzdal** (ZSRR)

KRAJOWY Klub Miłośników Kultury Dalekiego Wschodu przy ŁDK zorganizował w minionym tygodniu **Dni Kultury Chińskiej.**

W bogatym programie tej imprezy **znalazły** się m.in.: wystawa drzeworytów, aukcja grafik, prelekcja i pokazy filmowe, wystawa książek i czasopism, degustacja przy muzyce chińskiej kuchni.

MUZEUM SZTUKI w Łodzi i Miejska Biblioteka Publiczna im. Ludwika Waryńskiego zorganizowały od 23 lutego do 3 marca **przegląd francuskich filmów eksperymentalnych** z lat 1962—1985.

Zaprezentowano szerszej publiczności m.in. wielce oryginalne filmy paradokumentalne, zrealizowane przez znanych artystów malarzy — tzw. autoportrety.

Słowa uznania dla pomysłodawców i organizatorów.

W Galerii PWSSP w Łodzi przy ul. Wojska Polskiego 121 otwarta została 9 marca **ogólnopolska wystawa** najlepszych **prac, dyplomowych studentów uczelni plastycznych** — „Dyplom '86".

NA Małej Scenie **Teatru im. Stefana Jaracza** odbyła się premiera sztuki radzieckiego dramaturga, **Aleksandra Gelmana,** w reżyserii i scenografii **M. Kochańczyka**

W Oddziale Łódzkim Stowarzyszenia Autorów Polskich, które jest związkiem twórczym skupiającym osoby zajmujące się twórczością naukową, popularnonaukową, literaturą faktu i publicystyką, odbyły się **wybory nowych władz.**

Prezesem OŁ SAP została wybrana prof. **Stefania Dzięcielska-Machnikowska,** wiceprezesami — prof. **Bożydar Latkowski** i red. **Edward Kolbus.**

Oddział Łódzki SAP liczy obecnie 52 członków.

W **Egipcie** rozpoczęto prace redakcyjne nad **pierwszą** arabskojęzyczną **10-tomową encyklopedią.**

MICHAŁ KABATA — nowy **dyrektor PIW** — zapowiedział, że jego oficyna zamierza wydać w tym roku **200 tytułów.**

PIW czyni również starania o wprowadzenie na rynek księgarski tzw. **nakładów sondażowych,** w celu dokładnego rozeznania zapotrzebowania czytelników na określoną publikację.

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Od pewnego czasu Czytelnicy sygnalizowali swoje zainteresowanie przeszłością Łodzi i regionu. Chcieliby na łamach „Odgłosów" znajdować ciekawe artykuły z historii Łodzi, o ludziach, którzy się dla tej historii zasłużyli. Postanowiliśmy w miarę napływu materiałów publikować je na kolumnie zatytułowanej: „Łódź: historia, wspomnienia, relacje". Do redagowania której zapraszamy tak profesjonalnych historyków, jak i wszystkich naszych Czytelników, którzy interesują się historią Łodzi i mogliby przyczynić się do jej spopularyzowania.

Mało znany fragment historii polskiego lotnictwa. Od „Szpaka" do „Misia". Kto pamięta jeszcze tych ludzi?

Gdy w Łodzi budowano samoloty

EDWARD KOCENT-ZIELIŃSKI

Pokaz „Junaka 1" w Warszawie. W kabinie płk pil. S. Skalski, obok A. Szymański

1.

Jednym z pierwszych urzędów PKWN, powstałych w Chełmie Lubelskim, był powołany w lipcu 1944 roku Resort Komunikacji Poczt i Telegrafów. Kierownikiem jego mianowano inż. J. Grubeckiego. W sierpniu 1944 roku do siedziby Resortu, będącego już w Lublinie, zgłosił się inż. A. Sułkowski. Otrzymał propozycję zorganizowania referatu lotnictwa cywilnego. Był pilotem sportowym.

Inżynierowi Sułkowskiemu udało się skłonić Jerzego Borejszę, aby w „Rzeczypospolitej" zamieścił ogłoszenie wzywające wszystkich cywilnych pracowników lotnictwa do zgłoszenia się na ulicę Szopena 9, gdzie mieścił się już Wydział Lotnictwa Cywilnego. Zgłosiło się 36 osób: inżynierów i techników lotniczych różnych specjalności. Byli wśród nich: J. Madejczyk, W. Leja, T. Sołtyk, S. Stankiewicz-Suchowiak, S. Kuczewski, J. Rzewuski, W. Sołtyk, S. Karwowski, B. Krawczenko, J. Przyłucki, Z. Niwiński, R. Flach.

Wydział Lotnictwa Cywilnego przekształcił się w Departament i podjął się zorganizowania łączności lotniczej: przewozu kurierów, urzędników, prasy na terenie wyzwolonego kraju.

Wtedy też powstał pomysł utworzenia Biura Projektów i Studiów. Kierownikiem został inż. T. Sołtyk — konstruktor PZL. Pracownikami: mistrzowie J. Falkiewicz, Z. Grudziński, pilot-instruktor z Dęblina A. Szymański, J. Czwórnóg, Tramecourt, Grabowski. Zjawił się też Władysław Zielniewicz.

Przyjechał z Jarosławia, dokąd z rodzinnego Poznania zagnały go losy wojny. Był fanatykiem lotnictwa. Miał dużą wiedzę praktyczną i ogólną. Naprawiał w Jarosławiu maszyny rolnicze, prowadził zakład fotograficzny, i działając w konspiracji, wyszkolił brygadę mechaników lotniczych. Wyposażył ją w sprzęt, a nawet umundurował.

2.

Biuro Projektów i Studiów dostało pierwsze zlecenie: opracowanie samolotu łącznikowego do lotów kurierskich, który rozwiązałby trudności komunikacyjne PKWN. Główny konstruktor, inż. T. Sołtyk nazwał go „Szpakiem". Warsztat prototypowy ulokowano na trzecim piętrze browaru przy ul. Garbarskiej. Tam też rozpoczęto pracę nad wykonaniem pierwszych elementów skrzydeł.

Brakowało dosłownie wszystkiego. Rysunki wykonywano na odwrotach starych map i papierze pakowym. Ołówek i tusz były rarytasami. Trudno było o mieszkania i żywność. Ale inż. A. Sułkowski był świetnym organizatorem, a inż. T. Sołtyk doskonałym konstruktorem.

Prace przerwano, gdy front przesunął się za Wisłę. Resort przeniósł się do Warszawy, a Biuro ulokowano w Łodzi.

3.

20 stycznia 1945 r. inż. A. Sułkowski przyleciał na lotnisko na Lublinku. Po rozpatrzeniu różnych możliwości postanowiono warsztat umieścić w fabryce mebli przy ul. Zagajnikowej 56 (dziś Kopcińskiego). Za budynkami fabryki było puste pole — przyszłego lotniska. Na mieszkania dla pracowników zajęto domy przy ul. Brzeźnej 12, 10 Lutego 4, i Piotrkowskiej 256.

I tak powstały od 1 kwietnia 1945 r. Lotnicze Warsztaty Doświadczalne — Zakład Pomocniczy Ministerstwa Komunikacji. Nawiązywał on nazwą do DWL — firmy sławnej z produkcji samolotów RWD przed wojną. Jako znak fabryczny miał: żurawia w kole z literami LWD. Zaprojektował ten znak inż. S. Kuczewski. Jego też pomysłem były układy kolorów przy malowaniu samolotów.

Swego rodzaju „filią" zakładu był warsztat szybowcowy, przejęty po niemieckiej NSEK, przy ul. Więckowskiego 54. Pracował zarówno na potrzeby LWD — robiono w nim np. żebra skrzydeł „Szpaka" — jak i powstałego Aeroklubu Kierował nim inż. J. Rzewuski, były pracownik PZL w Warszawie (do r. 1947).

Istnienie LWD nie było jednak definitywnie ustalone, gdyż w niektórych kręgach polityków istniała koncepcja, aby gospodarkę oprzeć na eksporcie węgla, za który można będzie wszystko kupić, a więc i samoloty. Teoria ta ożywała i zamierała również w czasach późniejszych. Wyrządziła wiele szkody dla rozwoju rodzimej myśli konstruktorskiej.

4.

Nastąpiła likwidacja Departamentu Lotnictwa Cywilnego. Ministerstwo Komunikacji mianowało inż. A. Sułkowskiego dyrektorem LWD, 2 maja 1945 r. Głównemu konstruktorowi zakładu inż. T. Sołtykowi zlecono opracowanie szkicu rozwoju polskiego przemysłu lotniczego do r. 1980.

Do biura konstrukcyjnego dołączyli J. Leyko, W. Frąckowiak, J. Kołodziejczyk i T. Wiślicki. Personel warsztatowy powiększyli: S. Cierniak, P. Hryniewicz, S. Świątek, E. Rogowski, T. Wichliński, S. Dzieżgwa, J. Żaczek, Jachimowicz. Prawdziwym szczęściem było zdobycie fachowców-artystów: W. Kalitę — stolarza szybowcowego ze Lwowa, S. Dyrkacza — spawacza, blacharzy: Mądrego, Szramowiaka, mechanika lotniczego F. Przybylskiego, mistrza wyposażenia i pilota W. Żarudzkiego.

Dyrektorem administracyjnym został Majer (później Ostrowski).

5.

Rozpoczęto pracę nad drugim prototypem samolotu. Nazwano go „Szpak 2". Miał to być samolot doskonalszy od swego poprzednika. Czteroosobowy z miejscami obok siebie w zakrytej kabinie mógł służyć do przewozu zarówno osób jak i ładunków.

I służył. Jego oblot nastąpił 28 października 1945 r., woził worki z mąką, cukrem, kompletne silniki, papę, beczki ze smołą i benzyną. Wszystko to, co było potrzebne zakładowi i ludziom w nim pracującym. Zbudowany został w 8 miesięcy. Otrzymał rejestrację SP-AAA jako pierwszy polski samolot po wojnie.

W Warszawie odbyła się prezentacja maszyny władzom. Samolot uroczyście ochrzczono i wystawiono dawnym, lotniczym obyczajem dokument upamiętniający to wydarzenie.

6.

W r. 1945 uruchomiono studia lotnicze na Politechnice Łódzkiej. W owym czasie zatrudniała ona wielu najwybitniejszych specjalistów lotniczych i naukowców: prof. Cz. Witoszyńskiego, prof. J. Bukowskiego, prof. M. Skarbińskiego, inż. Z. Fiszdona, inż. K. Wójcickiego. Współpracowali oni z LWD. Prof. Cz. Witoszyński był etatowym konsultantem. Opierając się na jego wskazówkach zbudowano tunel aerodynamiczny o przekroju 1,5 m. Tunel ten służył Politechnice Łódzkiej do lat 70.

7.

W roku 1946 zbudowano nowy samolot. Był nim „Szpak 3" z trójkołowym podwoziem. Oblatano go w grudniu 1946 roku, po czym „zamieniono" w Ministerstwie Spraw Zagranicznych jego nazwę na RWD-13. Tym samolotem latał inż. W. Kasprzak jako kurier głównie do Rumunii i Czechosłowacji. Rozbił go przy przymusowym lądowaniu pod Pragą.

Niezmordowanym w wynajdywaniu rzeczy potrzebnych był „obywatel Władziu" — bo tak nazywano W. Zielniewicza. Wraz z zaopatrzeniowcem J. Czwórnogiem opróżniał on sobie tylko znane miejsca, w których „chomikował" materiały i to, co uważał za przydatne jeszcze w czasie okupacji. Miał także informacje dotyczące poniemieckich lotnisk i magazynów sprzętowych. Zwożono do LWD silniki, osprzęt, przyrządy, blachy i rury wycinane z uszkodzonych samolotów. Z okolic Wrocławia przywożono części z samolotów poniemieckich i z okolic Bydgoszczy — z rozbitych maszyn amerykańskich. W Zielniewicz przejmował też samoloty z demobilu, miał kupionego od Amerykanów „Pipera".

Znaleziono też bibliotekę niemieckiego ministerstwa lotnictwa i przewieziono do Łodzi. Wraz z posiadanymi z prywatnych zbiorów książkami stanowiła ona źródło wielu cennych wiadomości i pomocy konstrukcyjnych.

8.

Powstające aerokluby nie miały sprzętu, i dla nich postanowiono zbudować tani i prosty w obsłudze samolot szkolno-treningowy. Nazwano go „Żak". Miał być wyposażony w produkowany przed wojną silnik Walter. Licencja była jeszcze ważna. Powstał prototyp, który latał doskonale. Lecz sprawa silników nie została wyjaśniona. Wobec tego postanowiono poczekać.

Powstała konieczność stworzenia własnego lotniska. Postanowiono je urządzić na polu przyfabrycznym. Pole to było oddzielone wykopem bocznicy kolejkowej Monopolu Spirytusowego i dość nierówne, pełne dołków, kretowisk i kamieni. Sprowadzono z okolicy Ornety hangar, wyremontowano i cichcem postawiono. Cichcem wobec władz zwierzchnich, gdyż ministerstwo co roku chciało likwidować zakład i w związku z tym nie dawało zezwolenia na rozbudowę. Powierzchnię wyrównano za pomocą dwu pożyczonych z PKP buldożerów, a kamienie wyzbierały dzieci z pobliskiej szkoły. Później zdobyto na Śląsku mechaniczny walec lotniskowy, który bardzo pomagał w tych pracach.

Lotnisko otwarto uroczyście. Byli oficjalni goście z wojewodą Eugeniuszem Stawińskim. Była msza polowa i przemówienia. Ksiądz odprawiający mszę chciał koniecznie poświęcić pole wzlotów z powietrza, co się też stało. Poleciał z nim A. Ożałas pilot z W. Brytanii, magazynier a także kronikarz-fotograf, dzięki któremu utrwalona została na zdjęciach historia LWD.

Na uroczystości i pokazach było obecnych kilkanaście tysięcy osób. Z uwagi na zainteresowanie „Szpakiem" postanowiono zbudować jego seryjną wersję. Metalowo-drewnianą. Tak powstał „Szpak 4A". A bo miał być akrobacyjny. Nie pozwolił jednak na to zbyt słaby silnik. Samolot był dobry. Zainteresowali się nim Węgrzy. Przyjechali wraz z inż. Węgrzeckim, delegatem LOT-u, obejrzeli i zamówili od razu 100 sztuk i prawa licencji. Transakcja ta jednak nie została zrealizowana.

9.

„Żaka" miano produkować z polskim silnikiem WN-1 zbudowanym w Warszawie w zespole mgr. inż. W. Narkiewicza. Ponieważ nie był on jeszcze gotowy, wbudowano w samolot amerykańskiego Continentala. Później, mimo dopracowania silnika WN-1, nie zezwolono na jego wytwarzanie. I tak skończyła się budowa samolotu dla aeroklubów.

W 1948 roku i później LWD działały na zasadach nieokreślonych, dyktowanych jedynie zaufaniem, jakie miały w ministerstwie. Fabryka zresztą prowadziła produkcję nie tylko lotniczą. Lotniczą zajmowało się 56 osób, w tym 16 w biurze konstrukcyjnym i administracji. Mniej więcej 100 robotników zatrudnionych było przy wytwarzaniu różnego rodzaju mebli i stolarki budowlanej. Znaczną pozycję tej nielotniczej działalności stanowiło wyposażenie szkół: tablice, ławki itp.

Warsztat mechaniczny miał 4 nie najnowsze tokarki. W. Zielniewicz wywiesił w nim hasło: *„W narodzie na pierwszym miejscu armia, a w armii lotnictwo"*. Ktoś później dopisał: *„...a w lotnictwie W. Zielniewicz!"*.

W warsztacie stolarskim, przy piłkach, stał utopiony w słoju ze spirytusem ucięty palec jednego z nieostrożnych robotników. Postawił go tam kierownik stolarni mniemając, że skłoni tym wszystkich do przestrzegania przepisów BHP. I rzeczywiście skłonił!

10.

Ministerstwo Komunikacji złożyło zamówienie na 10 sztuk samolotów „Szpak". Wykonano prototyp serii. Był on znacznie doskonalszy od „Szpaków" 2 i 3, bo zebrał wszystkie doświadczenia konstruktorów. Nazwano go „Szpak 4 T".

Serię „Szpaków 4T" wykonały zakłady w Mielcu. LWD jeszcze nie były w stanie podjąć się takiej produkcji. Samoloty te cieszyły się wielkim uznaniem użytkowników, którymi były aerokluby i Służba Polsce. Prototyp „Szpaka 4T" był eksponowany na otwartych w maju 1948 r. Międzynarodowych Targach Poznańskich, gdzie budził wielkie zainteresowanie.

11.

W roku 1948 zmarł prof. Cz. Witoszyński. Po jego śmierci kilku inżynierów podjęło pracę dydaktyczną i naukową na Wydziale Mechanicznym Politechniki Łódzkiej. J. Leyko, T. Sołtyk, S. Stankiewicz, a później W. Frąckowiak, S. Kuczewski. Doktorat J. Leyki uzyskany w 1948 roku należy do trzech pierwszych otrzymanych na Politechnice Łódzkiej.

12.

Wojsko zamówiło w LWD samolot szkolno-treningowy „Junak". Miał on być maksymalnie prosty. Z produkowanym na licencji silnikiem radzieckim M 11D. Prototyp zbudowano szybko. W pełni odpowiadał zamówieniu. Samolot zaprezentowano władzom wojskowym polskim i radzieckim. Wśród osób, którym demonstrowano „Junaka" był płk S. Skalski. Stało się to później jednym z argumentów dla uzasadnienia jego niesłusznego aresztowania.

W „Junaku" zainstalowano mocniejszy silnik i zmieniono podwozie. Tak narodził się akrobacyjny „Zuch". Ale „Zuch" był tylko przygodą konstrukcyjną.

10 „Żaków 3" wykonano jako zobowiązanie na Kongres Zjednoczeniowy PPS i PPR. Montowano je na lotnisku. Samoloty te służyły potem w aeroklubach, ciesząc się bardzo dobrą opinią.

Spróbowano zbudować „Żaka 4" do holowania szybowców. Ale z braku odpowiedniego silnika „nie wyszedł".

13.

W 1949 roku na podstawie fałszywych oskarżeń aresztowano inż. A. Sułkowskiego. Obowiązki jego przejął inż. W. Sołtyk — brat głównego konstruktora. Zaczęto domagać się likwidacji LWD jako nierentownej fabryki. Mimo tego pracowano dalej. Powstała wersja „Zucha" z innym silnikiem. Zbudowano 5 takich maszyn.

Przygotowano, wraz z grupą konstruktorów z Wrocławia, działającą pod kierunkiem inż. J. Teisseyre, dokumentację do produkcji seryjnej „Junaka 2". Samolot okazał się znacznie lepszy od poprzednika. W latach 1951—1953 zbudowano 110 maszyn. Za tą konstrukcję inż. T. Sołtyk otrzymał nagrodę państwową II stopnia. Jednym z jego współpracowników był przybyły w tym czasie do LWD mgr inż. J. Świdziński.

14.

Zakład przemianowano na WSK-6 i podporządkowano Ministerstwu Przemysłu Ciężkiego. Wraz z tą decyzją wymówiono personelowi pracę we wrześniu 1949 r. W budowie była największa konstrukcja LWD — dwusilnikowy „Miś". Opracowano ją również na zamówienie wojska. Samolot miał służyć do transportu, desantu, rozpoznania. Przewidywano nawet użycie go, jako zdalnie sterowanego, do badania skażeń powstałych w wyniku wybuchu jądrowego. Istniała możliwość użycia go w komunikacji. Zamówienie to uzyskał w r. 1947 inż. A. Sułkowski. Budowę prototypu według projektu S. Kuczewskiego i T. Sołtyka rozpoczęto w 1948 r. „Miś" nie znalazł jednak zastosowania i został skasowany po uszkodzeniu podwozia.

15.

Ostatnią konstrukcją LWD był „Żuraw". Projekt samolotu łącznikowego pochodził z r. 1948. Prototyp dokończono i oblatano już w WSK Okęcie w r. 1951. Wojsko wycofało zamówienie. „Żurawia" przez jakiś czas użytkował Instytut Lotnictwa. W tym czasie Lotnicze Warsztaty Doświadczalne już nie istniały.

W latach 1945—1949 wykonano 28 samolotów, w tym 6 typów i 28 wersji. Trzy z nich stały się wzorami małych serii, jeden dużej. Wszystkie były wielokrotnie prezentowane na wystawach okolicznościowych i pokazach. Były doskonałe w pilotażu i łatwe w obsłudze.

Z grupy konstruktorskiej dwie osoby zostały profesorami Politechniki Łódzkiej. Niewielu przejął przemysł lotniczy: T. Sołtyk, W. Sołtyk, J. Świdziński, podjęli pracę w WSK—Okęcie. Większość znalazła się w przemyśle włókienniczym. Podobnie stało się z pracownikami bezpośrednio produkcyjnymi, wśród których byli unikalni fachowcy. Określenie *„człowiek z LWD"* przez długie lata starczyło za opinię.

Zlikwidowano Oddział Lotniczy Wydziału Mechanicznego Politechniki Łódzkiej. Podobnie stało się na Politechnikach w Gdańsku i Wrocławiu. Tak zakończył pracę pierwszy i najdynamiczniejszy po wojnie ośrodek polskiej myśli technicznej w lotnictwie.

W kilka lat później dokumentacja LWD została zniszczona. W łódzkim Archiwum nie zachował się żaden ślad istnienia zakładu.

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

XXII OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI O „RUBINOWĄ HORTENSJĘ"

Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej — Zarząd Wojewódzki, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Wojewódzki Dom Kultury, Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX, Muzeum Okręgowe, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego, Huta Szkła Gospodarczego „Hortensja", Redakcja „Tygodnika Piotrkowskiego", Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Towarzystwo Przyjaciół Piotrkowa Trybunalskiego, organizują **XXII OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI O „RUBINOWĄ HORTENSJĘ"** w działach: poezji i prozy.

Warunkiem udziału w Konkursie jest nadesłanie nie publikowanych i nie nagrodzonych prac poetyckich i prozatorskich pod adresem: **ZARZĄD WOJEWÓDZKI ZSMP, AL. BIERUTA 4, 97-300 Piotrków Trybunalski w nieprzekraczalnym terminie do 1987.03.30.**

Do prac oznaczonych godłem należy dołączyć zalakowaną kopertę oznaczoną tym samym godłem, zawierającą dokładne dane osobowe autora. Każdy uczestnik w dziale poezji powinien nadesłać po 5 utworów, w dziale prozy do 30 stron maszynopisu, koniecznie w 5 egzemplarzach. Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone na uroczystym podsumowaniu w Piotrkowie Trybunalskim. Skład jury zostanie ogłoszony w terminie późniejszym.

Po rozpatrzeniu i ocenie prac jury przyzna nagrody w każdym z działów.

Dział poezji: I nagroda — 15.000 zł, II nagroda — 12.000 zł, III nagroda — 10.000 zł, za wyróżnienia po 5.000 zł, nagroda za debiut — 5.000 zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych prac. Dodatkowych informacji udziela **Zarząd Wojewódzki ZSMP w Piotrkowie Trybunalskim, tel. 445-70.**

SIERADZCY TWÓRCY W RADZIEJOWICACH

W styczniu 1976 roku, mieszkający w województwie sieradzkim plastycy i muzycy oraz piszący wiersze i opowiadania utworzyli Klub Pracy Twórczej przy Wojewódzkim Domu Kultury w Sieradzu. W maju 1986 roku zaprezentowano dziesięcioletni dorobek Klubu, który dziś skupia około stu członków w sekcjach: literackiej i plastycznej.

W imprezach organizowanych przez Klub brali udział, prowadząc zajęcia warsztatowe z jego członkami m. in.: Henryk Pustkowski, Ziemowit Skibiński, Edmund Lewandowski, Sławomir Iwański, Józef Baran, Henryk Wolniak, Rafał Orlewski, Kazimierz Świegocki, Tadeusz Chróścielewski, Mieczysław Kucner, Marian Piechal i inni.

Dużą rolę w propagowaniu twórczości członków Klubu Pracy Twórczej odgrywa prowadzona przezeń działalność edytorska, obejmująca różne formy druku, programy spotkań z poezją, biesiady sieradzkie, tomiki wierszy, jak też katalogi wystaw i albumy plastyczne. Co miesiąc na łamach tygodnika „Nad Wartą" w kolumnie „Poezja — Proza — Plastyka" prezentowana jest twórczość członków KPT.

Trwałym już zjawiskiem literackim są wydawane z funduszów Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu arkusze sieradzkie. Do chwili obecnej ukazało się, wydanych wespół z Ludową Spółdzielnią Wydawniczą i Wydawnictwem Łódzkim, 9 tomów wierszy i małych form prozatorskich następujących autorów: Zbigniewa Adamskiego, Tadeusza Chróścielewskiego, Ryszarda I miniaka, Eugeniusza Iwanickiego, Walentego Jareckiego, Rafała Orlewskiego, Feliksa Rajczaka, Ziemowita Skibińskiego i Kazimierza Świegockiego. W przygotowaniu znajdują się następne: m. in. nowele Teodora Goździkiewicza, baśnie Tadeusza Wierzbickiego i eseje krytyczno-literackie Michała Stefana Daleckiego.

Członkowie Klubu systematycznie spotykają się na comiesięcznych biesiadach, seminariach, plenerach i warsztatach twórczych. Ostatnią z takich imprez były warsztaty w Radziejowicach koło Warszawy, odbyły się od 2 do 8 lutego 1987 roku. Ich celem było doskonalenie umiejętności twórczych, czemu miały sprzyjać zajęcia prowadzone przez znawców literatury i plastyki.

Ostatniego wieczoru w Sali Kominkowej, odbyła się prezentacja prac powstałych w Radziejowicach. Spośród ponad 40 obrazów, grafik i rysunków wszyscy zgodnie uznali za najlepsze prace Joanny Czupryniak i Andrzeja Adamczewskiego. Wystawa malarstwa połączona z prezentacją utworów poetyckich wzbudziła szczególne zainteresowanie gości Domu Pracy i Wypoczynku.

JAN KRZYSZTOF SZCZĘSNY

CZY TYLKO SPÓR O LITERATURĘ?

Szanowny Panie Redaktorze, nie tylko z takich powodów, że listy są ponoć esencją czasopism, a czasem ich ozdobą — co by znaczyło, iż czytelnicy dziś mają więcej do powiedzenia niż zawodowi pisarzyści — pozwalam sobie nawiązać do niektórych fragmentów odpowiedzi Pana na moje uwagi poczynione na marginesie dwugłosu o ostatniej książce Tadeusza Konwickiego (nr 7). Wymiana zdań-poglądów ma wyjaśni, jak przypuszczam, złożonych spraw w obchodzącej nas dziedzinie, czyli — mówiąc ogólnie, funkcjonowania opinii i sądów, może tylko odsłonić w sposób ułamkowy pewne mechanizmy sprawcze. Spróbuję je w wielkim skrócie opisać.

Zauważył Pan niewątpliwie, że w ostatnich latach nie toczyły się u nas żadne poważniejsze spory i dyskusje literackie, zamarło niemal życie krytyczne, tak istotne i niezbywalne, jak powiadają w sferach wysokich, dla normalnego obiegu myśli, a i wartości. Odkryć wszystkie przyczyny uniemożliwiające podejmowanie zagadnień ważnych — takie przedsięwzięcie rozpoznawcze byłoby niesłychanie cenne, lecz nie widać chętnych do zabrania głosu. Wracając zaś do naszych baranów, trudno nie zgodzić się z taką oczywistością, iż każda wypowiedź artystyczna wyraża mniej czy bardziej ujawniony polityczny ścil., ideologiczny punkt widzenia i że oddziałuje społecznie. Jednym z celów krytyki jest ujawnić i zinterpretować polityczną wizję świata, w jakiej są zanurzone postaci konkretnego dzieła. Idzie mi, podkreślam, o wartościowanie możliwie pełne wielu czy wszystkich wymiarów dzieła, nie zaś o oznaczanie ideologii autora na podstawie innych form, publicystycznych i prywatnych przekazów, takich jak wywiad, rozmowa, konferencja prasowa, deklaracja, artykuł itp. Pozaliterackie świadectwa bardziej jednoznacznie aniżeli w dziele, często wprost, precyzują poglądy, wyznania, orzeczenia na rozmaite zagadnienia, np. polityczne. Owszem, można je przywołać, lecz czynić to trzeba rozważnie, zwłaszcza w przypadku pisarzy tak czy inaczej zaangażowanych.

Tymczasem w naszych recenzjach książkach autorów krytycznie czy opozycyjnie zorientowanych w stosunku do rzeczywistości społeczno-ustrojowej kraju stosuje się z reguły miary oceniające nie ich dzieła, egzystujące już autonomicznie, lecz ich postawy, i to na podstawie ściśle pozaliterackich enuncjacji. Przyczepiona o wiadomym znaku ujemnym etykietka wystarczy, ażeby postponować nie tyle twórczość, ile jej sprawcę. To miałem na myśli, pisząc w swoim liście o doraźnie politycznych zabiegach, łatwo dostrzegalnych przede wszystkim w felietonie sprawozdawczym red. E. Iwanickiego. Doraźnie, czyli hic et nunc, gdyż nie wiadomo, co np. zechce napisać dyskredytowany autor. Służy temu m. in. metoda ośmieszania, wydrwiwania, miniaturyzowania fizycznego i moralnego, a te i inne jeszcze chwyty demaskacyjne podporządkowane są totalnej dezaprobacie. Oto przykładowo wybitny pisarz Tadeusz Konwicki — taki format jego sztuki pisarskiej akcentuje wyraźnie dr T. Błażejewski — na dwustu kilkudziesięciu stronach „jawi się jako zagubiony człowieczek, niepozorny prostaczek" (podkr. moje — S. K.) Ciekaw jestem, ależ nie! wiem to doskonale, iż podobnych epitetów E. I. przenigdy nie użyłby np. do charakterystyki Immerschreibera-beletrysty Romana Bratnego. A jeśli by nawet w chwili nonszalancji takie określniki wprowadził, to niechybnie nie puściłby do druku pan cenzor. Również dr T. Błażejewski, omawiając np. powieść podobnego co R. Bratny — Vielschreibera — Jana Dobraczyńskiego, nie odważyłby się napisać, iż „z licznych stron zwyczajnie wieje nudą i podejrzaną gracją starzejącej się kokoty" i że rzeczony autor ma „sfatygowane pióro".

Są to niestety już utrwalone i stosowane nad wyraz świadomie i konsekwentnie przez odłam recenzentów i krytyków sposoby obrzydzania czytelnikom pewnych pisarzy, aktorów, uczonych, którzy np. przebywają za granicą i z jakichś powodów — nie wracają do kraju. Proszę zauważyć: gdy t a m są, przestają momentalnie cokolwiek znaczyć, utracili — zatracili wszelkie talenty, umiejętności, doświadczenia.

Pozwoli Pan, że przywołam dodatkowy przykład ilustrujący tę metodę. Symptomatyczne dla niej jest sprawozdanie R. Kosińskiego ze spotkania z filmowcem A. Żuławskim („Trybuna Ludu" z 14—15.II. br.). Otóż miał on powiedzieć „wprost", jak zaznacza radośnie podniecony demaskacją R. K., że „nasi wspaniali grają czwartorzędne role w pięciorzędnych filmach". Nie wiemy jedynie, kto zacz, jakie to role, w jakich występowali filmach itd. I R. K. absolutnie nie interesują te sprawy, wystarczy mu, iż filmowiec znad Sekwany wypuścił pęk granatów, które eksplodując, skompromitowały i zdemistyfikowały błąkające się legendy o karierze. Czyż nie jest to zabieg, nb. mocno naiwny, obliczony na doraźną reakcję? Gdyby tak się stało i np. Andrzej Seweryn wrócił z Paryża do Warszawy, nie byłby, jak sądzę, aż takim kiepskim aktorzyną i chyba by nie czekał w ogonku na propozycję reżyserów. Przepraszam Pana, że podniosłem ton.

Pisze Pan Redaktor, że w „obu recenzjach nie ma nawet pół zdania (powtarzam: a szkoda!), które by o politykę zahaczały". Nie ma, istotnie. Usiłowałem natomiast udowodnić, że oceny obu panów, zwłaszcza E. I., nie formułowane wprawdzie w owych terminach, w rejon ten wkraczają. Właśnie przy świadomym rozkładaniu akcentów w kontekście prowadzonego wywodu, zastosowane środki służące do bezpośredniej degradacji osoby twórcy, w rezultacie muszą kłaść się cieniem na tę twórczość, obniżając wartość dzieła. Przy tym, co znamienne, dr T. Błażejewski dostrzega i podnosi wnikliwie zalety powieści T. K. Może intencje były inne, być może, według mnie teksty te nie obnażyły owych bliższych mi intencji.

Wcale nie uważam, aby polityka redakcyjna działu kulturalnego „Odgłosów" była aż „tak politycznie manichejska", jak mi Pan imputuje. Że jest wszakże wybiórcza i dyktowana przez określone założenia świadczyć może o niej m. in. lista książek autorów polskich, którą Pan wymienia. Większość z nich nie miała jednakowoż formatu wydarzeń, które dałyby asumpt do szerszej dyskusji.

Jako że jestem pełen najlepszych oczekiwań, mam nadzieję, że na kolumnach redagowanych przez Pana pojawią się teksty mądrych poetów, dojrzałych prozaików i rzetelnych recenzentów oraz krytyków.

STANISŁAW KASZYŃSKI

P.S. Już po przepisaniu na maszynie tego listu ukazał się dzisiaj (16.II.) numer „Odgłosów" z kolejnym przesłaniem do mnie dr Tadeusza Błażejewskiego. Ponieważ moje wyjaśnienie już opuściło przestrzennie, nie chciałbym przedłużać tej pisaniny — odpowiem zwięźle:

1) Dwugłos o powieści T. Konwickiego stał się dla mnie pretekstem do wypowiedzenia kilku spostrzeżeń na temat polityki redakcyjnej działu kulturalnego „Odgłosów";

2) Pan Doktor mi pochlebia, informując, że jestem „znanym krytykiem, praktycznie od roku 1953". Rzeczywiście, w tym roku zadebiutowałem w „Przeglądzie Kulturalnym" jako recenzent teatralny, ale zajmowałem się prawie wyłącznie teatrem, literaturą — od czasu do czasu. Nigdy nie uważałem siebie za krytyka, byłem z reguły okazjonalnym recenzentem, komentatorem, autorem omówień, wstępów i głos. Łatwo to sprawdzić, Doktor T. B. posiada odpowiednią dokumentację. Nawet gdy ongiś dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego zaprosił mnie do współredagowania jakiegoś rocznika „Osnowy", po latach wyczytałem w wynurzeniach wspominkowych obecnego redaktora tego czasopisma, iż narzucono mu z góry współredaktora. Miał rację — nie byłem krytykiem i wszechstronnym literatem. Dlatego może nie mam biegłości w skutecznym, uważnym czytaniu książek i nieodzownej w zawodzie tym pamięci. Przyznaję, iż przeoczyłem pastiszowy koncept zastosowany w pierwszych zdaniach recenzji dr T. B., nie usprawiedliwia mnie to, że nie mam — nie udało mi się kupić — tej powieści;

3) Nie miałem zamiaru analizować utworu T. K., nie odniosłem się negatywnie do merytorycznej oceny dzieła przeprowadzonej przez dr T. B., wypowiedziałem w końcowej partii listu ogólną refleksję o konieczności posiadania dyspozycji estetycznych i umiejętności warsztatowych przez wszystkich zajmujących się pisarstwem tego autora, w ogóle — sztuki z prawdziwego zdarzenia. Podtrzymuję nadal przeświadczenie, że ewokowane przeze mnie manipulacje nie tłumaczą wiarygodnie sensów komunikatów artystycznych i w efekcie szkodzą w procesie prawidłowej recepcji. W drugim liście, mimo iż w sposób lapidarny, uznałem przecież wartości analizy dr T. B.

Swój list mój adwersarz zamyka gorzkim stwierdzeniem, iż „recenzje pozostają u nas niedoczytane". To prawda, ale nawet z powierzchownego odczytywania wypływają namacalne pożytki — listy do redakcji, które są esencją itd. A kiedyż to na łamach łódzkich czasopism dyskutowaliśmy, w dodatku polemicznie — o literaturze? Tak dawno, że zgoła nie pamiętam. S. K.

Byłoby korzystniej także dla czytelników naszego tygodnika gdyby Pan Profesor Stanisław Kaszyński zamiast dopisywać kolejne argumenty, notabene coraz bardziej odległe od przedmiotu polemiki, zechciał powiedzieć wprost dlaczego uważa książkę Tadeusza Konwickiego za godną wyłącznie recenzenckich pochwał. Inaczej bowiem, to znaczy tak jak rzecz przedstawia w swoim drugim liście, już nie wiadomo co jest jądrem sporu. Z całą pewnością nie wspomniana wyżej książka. A więc co? Otóż właśnie.

Profesor Stanisław Kaszyński nie przedstawiając żadnego konkretnego przykładu, że w recenzjach „o książkach autorów krytycznie czy opozycyjnie zorientowanych do rzeczywistości społeczno-ustrojowej kraju stosuje się z reguły miary oceniające nie ich dzieła lecz ich postawy" sam raczej nie przebierając w słowach takie miary stosuje. Tyle tylko, że z innej perspektywy i w odniesieniu do pisarzy aprobatywnie i nieopozycyjnie nastawionych do „rzeczywistości społeczno-ustrojowej kraju". Bo jak inaczej można ocenić opinię o Romanie Bratnym i Janie Dobraczyńskim, pisarzach aktywnie i pozytywnie uczestniczących w polskim życiu społecznym i politycznym? Dlatego zgadzam się z Panem Profesorem, że „są niestety już utrwalone i stosowane nad wyraz świadomie i konsekwentnie przez odłam recenzentów i krytyków sposoby obrzydzania czytelnikom pewnych pisarzy, aktorów i uczonych". Nie trzeba nikogo przekonywać — wystarczy zaglądnąć do r ó ż n y c h tygodników i miesięczników — że takie „sposoby obrzydzania" stosuje się w wyraźnym nadmiarze po t a m t e j stronie. I to bez zająknięcia. Chętnie uwierzyłbym w obiektywizm i w szlachetne intencje Pana Profesora, gdybym znalazł także jego list w obronie Romana Bratnego w tygodniku, który jego powieści czytelnikom „obrzydza", i który rzeczywiście w podtekstach bierze pod uwagę nie utwory a postawę pisarza.

Ale Pan Profesor jest wyznawcą „zasady przewróconego". Pisał o niej swego czasu i Artur Sandauer i Zygmunt Kałużyński. Zasada ta mianowicie polega na tym, iż „pewni pisarze, aktorzy i uczeni" (jak ich określa eufemistycznie Profesor Kaszyński) mogą wypisywać i wygadywać co im się żywnie podoba — i to o wszystkim i o wszystkich — ale sami uzbroili się w immunitet nietykalności, bo są „bezbronni" czyli „leżący". Z takiej pozycji „permanentnego leżenia" każde słowo, które nie jest panegirykiem kwalifikują jako „polityczną manipulację", „reżimową dyskryminację", „mocno naiwne zabiegi obliczone na doraźne reakcje" i często „donos".

Dobry „dodatkowy" przykład znajduję w liście Profesora, który cytuje wywiad Andrzeja Żuławskiego, polskiego reżysera mieszkającego we Francji, udzielony Ryszardowi Kosińskiemu z „Trybuny Ludu". Znakomity reżyser powiedział o polskich aktorach we Francji, że ci „wspaniali grają czwartorzędne role w pięciorzędnych filmach". A według Profesora Kaszyńskiego nie może to być prawdą, bo Żuławski chce się przypodchlebić „Trybunie Ludu" i Kosińskiemu. Pan Profesor wolałby — nie dbając o oczywiste i znane każdemu, kto choć trochę interesuje się filmem fakty — hagiograficzną legendę. Andrzej Seweryn wszak „leży"!!

Do nadziei Pana Profesora wyrażonych na zakończenie listu dorzucę i swoją: powinniśmy w „Odgłosach" oczekiwać nie tylko tekstów „mądrych poetów, dojrzałych prozaików i rzetelnych recenzentów", ale i listów polemicznych, którym podobne cechy można byłoby przypisać.

GRZEGORZ GAZDA

ZŁOTY WAWRZYN DLA TWÓRCY I BIBLIOTEKI

Redakcja „Tygodnika Kulturalnego" — przy współudziale Funduszu Literatury, Zarządu Głównego ZSMP oraz Zarządu Krajowego ZMW ogłaszają doroczny konkurs: **ZŁOTY WAWRZYN DLA TWÓRCY, ZŁOTY WAWRZYN DLA BIBLIOTEKI.**

Złoty Wawrzyn przyznawany będzie temu żyjącemu polskiemu pisarzowi, którego książka uznana zostanie przez bibliotekarzy — na podstawie opinii czytelników i własnego osądu — za najwyżej cenioną pozycję 1987 roku. W konkursie mogą brać udział wszystkie książki (z dziedziny literatury pięknej) napisanej po wojnie, bez względu na datę wydania. Winny to być książki o wybitnych walorach artystycznych i poznawczych.

Nagroda Złotego Wawrzynu dla twórcy wynosić będzie 200 tys. zł. Autor otrzyma także specjalny medal pamiątkowy. Książka uhonorowana Złotym Wawrzynem ukaże się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

Zgłoszenia, wypełnione według wzoru mogą nadsyłać wszystkie placówki biblioteczne w terminie do 1 lutego 1988 roku bezpośrednio do redakcji **„Tygodnika Kulturalnego", 00-511 Warszawa, ul. Nowogrodzka 22.**

Złoty Wawrzyn przypadnie tej bibliotece, która: a) uzyska najlepsze wyniki w rozwoju czytelnictwa; b) prowadzi systematyczną działalność merytoryczną, zmierzającą do poprawy jakości czytelnictwa, szczególną troską otaczając literaturę współczesną; c) posiada sprawnie działającą sieć placówek bibliotecznych, d) legitymuje się dobrą współpracą z organizacjami lokalnymi oraz prowadzi interesującą i bogatą działalność w środowisku.

Komisję Wojewódzkie, w skład których winni wejść przedstawiciele organizatorów konkursu, powołane zostaną przez Wojewódzkie Biblioteki Publiczne. Komisje te oceniają przebieg konkursu i prowadzone w ciągu całego roku prace Bibliotek Gminnych i Miejsko-Gminnych. Następnie zgłaszają, ze szczegółowym pisemnym uzasadnieniem do Komisji Centralnej, dwie placówki biblioteczne, jako kandydatów do nagrody Złotego Wawrzynu. Komisje Wojewódzkie, w miarę możliwości, przyznają także własne nagrody indywidualne bibliotekarzom oraz wyróżniającym się placówkom bibliotecznym.

Nagroda Złotego Wawrzynu dla Biblioteki wynosić będzie 1 mln zł. Placówka uhonorowana zostanie również specjalnym medalem pamiątkowym. Wśród pozostałych bibliotek, zgłoszonych do Komisji Centralnej, przyznane zostaną wysokie nagrody pieniężne i rzeczowe.

Komisja Centralna przyzna także nagrody indywidualne — po dwie z każdego województwa, w tym bibliotekarzom, których praca w sposób istotny zadecyduje o upowszechnianiu czytelnictwa, szczególnie literatury współczesnej. Najniższa nagroda wynosić będzie 20 tys. zł.

Dziesięć specjalnych nagród przyznanych zostanie na szczeblu centralnym — naczelnikom gmin lub miast i gmin, którzy swymi działaniami systematycznie przyczyniają się do poprawy stanu bazy bibliotecznej.

Ogłoszenie wyników nastąpi w maju 1988 r.

BIURO PODRÓŻY
mgr tur. Wojciecha Marzyńskiego
OFERUJE

— wyjazdy w dowolnym terminie na dowolną ilość dni do Polańczyka, Krynicy, Bukowiny, Zakopanego, Szczyrku, Węgierskiej Górki (również rodziny z małymi dziećmi), Polanicy, Szklarskiej Poręby, Karpacza, Świeradowa i innych.

ZAPRASZA

— na „URLOP Z WOJCIECHEM" — 14-dniowe pobyty nad morzem, jeziorami i w górach oraz „pod gruszą" we wsiach letniskowych.
— na „WAKACJE U CIOCI" dzieci i młodzież. Interesujący i zróżnicowany program. Grupy kilkunastoosobowe. Obozy stałe i wędrowne.

INFORMACJA I ZAPISY —

Łódź, ul. Narutowicza 24, tel. 32-02-71
od poniedziałku do piątku w godz. 10—17

564-k

Portugalczyków fascynuje ulica, więc się bawią i świętują na ulicach. Lubią stare winiarnie. Są gościnni i serdeczni, gdy się bawią.

Na plaży, w winiarni i w święto Lizbony

MARIA-MAGDALENA STARZYCKA

Czas wolny: niedziele, soboty i inne święta zwykle Portugalczycy spędzają na plaży Most przerzucony ponad rozlewiskiem Tagu, tuż obok ujścia do oceanu, w pobliżu Lizbony jest w te dni rano zatkany nadmiarem samochodów, którymi Lizbończycy usiłują wydostać się nad czyste morze.

Najbliższą stolicy i najbardziej popularną miejscowością jest Costa Caparica zabudowana nowoczesnymi wieżowcami, mieszczącymi zaplecze turystyczno-handlowe. Centra handlowe, kawiarnie, restauracje zaplanowano w funkcjonalnej, wysokiej, współczesnej architekturze, poniżej promenada nadmorska, która służy do długich spacerów w dni wiosenne czy jesienne.

Poniżej rozkwitła inna Costa: budyneczki z desek, baraki, petrokata, spontaniczna twórczość wielbicieli morza i plaży bez ziemi. Do tej części należą cygańskie i nie tylko cygańskie stragany, gdzie oferuje się za pół ceny obuwie, dżinsy, a nawet żywność. Targi tu odbywają się w niedziele, bo wówczas najwięcej kupujących. W sezonie, kiedy tłoczno, bo poza Portugalczykami pojawiają się cudzoziemcy, kursuje brzegiem wąskotorowa, kolorowa kolejka przypominająca te z westernów. W otwartych wagonikach wywozi turystów na mniej uczęszczane plaże.

Wszędzie, tam nawet, gdzie jest na plaży pustawo znaleźć można w pobliżu mniej lub bardziej prymitywne urządzenie, skrzyżowanie szałasu z barakiem, w którym można coś zjeść i wypić. Aby dać odpoczynek od słońca wznosi się dla gości tych dziwnych lokali prześwitujące daszki nakrywane gałęziami eukaliptusa, które dają cień i orzeźwiający zapach.

Teraz kiedy już zima, w pogodne niedziele Costa Caparica też jest zaludniona, przyjeżdża się tu na spacer, odetchnąć świeżym powietrzem, kupić coś na obiad, względnie wypić tylko kawę w którejś z bardzo licznych kawiarni. Nastroje tu panują bardzo familiarne, wydaje się, że wszyscy tu wszystkich znają.

Do normy obyczajowej należy po niedzielnym domowym obiedzie

WYPIĆ KAWĘ W POBLISKIEJ KAWIARNI,

nawet wówczas, gdy obiad był bardziej uroczysty i z zaproszonymi gośćmi. W kafejce już niekoniecznie gospodarz jest fundatorem. Jest to jakby druga część imprezy, bo zwykle spotyka się znajomych, poznaje nowych ludzi. Z reguły właścicielowi prezentuje się nowych gości. Lokale te wytwarzają specyficznie familiarny klimat, nawet w tak dużym mieście jak Lizbona. W poszczególnych dzielnicach ludzie się znają i wiele o sobie wiedzą, trudno tu komukolwiek utrzymać jakąkolwiek anonimowość. Może także dlatego, że kobiety na ogół nie pracują i brak kontaktu ze światem niektóre z nich kompensują obserwacją innych. Można spotkać panie godzinami tkwiące w swoich oknach z widokiem na cały świat, jakim jest ulica. W ogóle odnoszę wrażenie, że Portugalczyków fascynuje ulica, wylegają z domów pod byle pretekstem, aby godzinami tkwić na ulicy.

W kawiarniach, winiarniach, piwnicach, cukierniach, barach mlecznych (wymieniam polskie odpowiedniki nazw widocznych na szyldach, ale w zasadzie lokale te mało się od siebie różnią, bo w odpowiedniej porze wszędzie tu można zjeść obiad, w cukierni też, jedynie winiarnie jeszcze zachowały swój specyficzny i oryginalny charakter) ludzie wymieniają swobodnie uwagi pokrzykując z jednego końca sali do drugiego. Charakter toczącej się rozmowy staje się, w ten sposób ogólny, bo włączają się prawie wszyscy. Nieznany przybysz jest pilnie, acz dyskretnie obserwowany.

WINIARNIE ZWANE TU SĄ TABERNAMI

i utrzymują swój odrębny i prastary charakter. Mieszczą się zwykle na parterach domów, są lokalami mrocznymi, pozbawionymi okien, dzięki temu w skwarny dzień jest tu chłodno. Zdarza się, że od ulicy mają szerokie wejścia obejmujące całą ścianę, z tego względu przypominają czasem wielkie bramy naszych kamienic czynszowych. Wewnątrz proste stoły drewniane, przy których może usiąść kilkanaście osób, są najczęściej zajęte przez pobliskich mieszkańców, przeważnie starszych mężczyzn, którzy snują rozważania przy szklanicy wina lub grają w warcaby czy w karty. Ludzie ci mają dużo czasu i spędzają tu niemal całe dni. Do taberny wpadają też pobliscy mieszkańcy z pustą butelkę po wino nalewane z wielkich beczek. W ogóle pije się tu często, ale nie za dużo. Istnieje tu również groźny problem społeczny, jakim jest alkoholizm, jest jednak niewidoczny dla postronnego obserwatora.

Zwiedzałam kiedyś zaplecze jednej z takich winiarni, ogromne, zawierające olbrzymie beczki, skład warzyw, i archaiczne urządzenie kuchenne, takich rozmiarów, że zda się, całego wołu można by upiec. Te winiarnie dziś wydają się wymierające, tylko stara klientela utrzymuje je przy życiu. Jest to miejsce spotkań starszej generacji, rodzaj klubu, gdzie kwitnie życie towarzyskie emerytów. Portugalczycy są przywiązani do archaicznego kolorytu swoich miast, Dziś można spotkać wiele wierszy, w których współcześni poeci z melancholią i tęsknie wspominają dawny nastrój tych lokali i tu, jak na całym świecie, coraz mniej jest takich miejsc, gdzie można doznać wrażenia podróży w odległy czas.

Mnoży się za to wiele tzw. „snack-barów" bez charakteru, zatłoczonych, szczególnie w powszechnej tu porze przerwy w pracy, między dwunastą w południe a trzecią. Goście obsługiwani są na stojąco, im się spieszy na powrót do pracy, a właścicielom, bo chcą jak najwięcej ludzi obsłużyć, żeby jak najwięcej zarobić. Trudno w tych barach wytrzymać. Hałasują rozmawiający, do tego dokłada się nieznośny dla uszu brzęk szkła i sztućców, z pośpiechem zmywanych. Nie ma tu miejsca na spokojną rozmowę czy odpoczynek. To jest już inny świat, świat ludzi spieszących się, załatwiających interesy i pracujących.

ŚWIĘTO LIZBONY

Idziemy wąskimi uliczkami zmieszani z gęstym tłumem, ponad nami rozgwieżdżone niebo. Lekki powiew wilgoci od strony Tagu w tej upalnej nocy orzeźwia i cieszy. Pniemy się wraz z tłumem uliczkami Alfamy w górę. Wszystkie ulice prowadzące do tej dzielnicy są zablokowane przez podobne pochody. Ruch samochodowy ustał. Im bliżej Alfamy, tym gęściej. Wreszcie docieramy do celu. W najwyższej części Alfamy, blisko zamku Sao Gorge obchodzi się uroczyste święto. Jest to święto Lizbony. Dzień wolny od pracy Święto jest obchodzone w wigilię świętego Antoniego — 13 czerwca.

Ponoć między lizbończykami a mieszkańcami Padwy od dawna toczy się nie rozstrzygnięty spór czy to święty lizboński czy padewski. Tu się urodził a tam umarł. Wydaje się jednak, że tej nocy mało kto pamięta o tych sprawach. Wszyscy chcą się bawić a każdy pretekst do zabawy dobry. Wszystkie restauracje otwarte i rozszerzone o dodatkowe stoły ustawione na ulicy. Wszystkie placyki, patia i szersze uliczki wykorzystane. Ustawiano tu stoły, krzesła, ławy. Stoły nakryto białym papierem, obok na rożnie pieką się sławne lizbońskie sardynki, kurczaki, kiełbaski, leje się obficie wino podawane w glinianych dzbanach z glinianymi kubeczkami. Kucharze i kelnerzy uwijają się zręcznie w tłumie gości. Gwar, wrzask. Tu wesołe rozmowy, tam chóralne śpiewy. Nad wszystkim unosi się piekący oczy swąd pieczonego mięsa i ryb.

Zaglądamy to tu, to tam, ciekawi jak wygląda portugalska zabawa. Nastrój wydaje nam się niezwykły, jesteśmy w trójkę przedstawicielami różnych generacji Polaków i nikt z nas nie umie tej spontanicznej radości porównać z jakimkolwiek własnym doświadczeniem dotychczasowym. Wszędzie witają nas tak serdecznie, że wydawać się może, że jesteśmy oczekiwani. Czasem myślę, że to pomyłka, że oni biorą nas za kogoś innego, zapowiedzianego, na kogo czekają.

Znajdujemy się na placyku, jednym z piękniejszych punktów widokowych Lizbony nad Tagiem. Zapełniony jest po brzegi ludźmi, tu też można znaleźć sardynkę, tańszą, prosto z rusztu ustawionego bezpośrednio na chodniku i popić sangrią sprzedawaną obok przy stole przez innego sprzedawcę.

— Sangria, co to jest? — pytam tu i tam. Wreszcie otrzymuję fachową odpowiedź: podstawą napoju jest czerwone wino wytrawne, do tego dodaje się sok pomarańczowy, odrobinę wódki tutejszej, nieco anyżku. W dzbanie glinianym składniki te są jeszcze zmieszane z ćwiartkami pomarańcz, gruszek, cytryn, melona, a na wierzchu zamoczona gałązka mięty i dużo, dużo lodu. Napój wydaje się doskonały na tę porę roku, w sumie niezbyt mocny. Widać wszędzie wesołych ludzi, ale nie pijanych.

Młodzież paraduje w przedziwnych ozdobach, na rogu jakaś młoda Hiszpanka sprzedaje wąskie rureczki plastykowe napełnione jakimś fosforyzującym płynem, rurki można spiąć i wykorzystać jako naszyjnik lub opaskę na czoło. Dookoła więc w ciemności widać fosforyzujących osobników jak zjawy z innej planety.

Widać też niosących małe doniczki z drobnolistną zieloną rośliną, opodal sprzedawcy tychże roślin. Mają niezwykłe powodzenie, już od rana zauważyłam wielkie stoły z tymi roślinami, cieszące się zainteresowaniem. Wydawało mi się, że coś tajemniczego musi w nich być, bo ich skromny wygląd znajdował się w dysproporcji z zainteresowaniem ludzi, nie pomyliłam się. Wieczorem uzyskałam informację od kupujących, że św. Antoni jest patronem zakochanych, a roślina ta ma jakąś magiczną moc w tej mierze. Nazywa się mangerico. W doniczki wetknięte są chorągiewki z wierszykami, wróżbami i zaklęciami. Roślinkę kupioną z trafnie dobraną dedykacją wręcza się wybranej osobie, jest przy okazji wiele śmiechu i uciechy. Niezwykle wesoło jest tej nocy w Lizbonie.

Jesteśmy ciągle na małym placyku z widokiem na granatowy w nocy Tag. Nie widać granicy horyzontu, który zlewa się także z granatowym niebem, tylko mocno świecące gwiazdy nieco rozjaśniają obraz. Nagle w ten cichy i idylliczny widok rzeki wpłynął jakiś iluminowany gęsto statek z muzyką niosącą się daleko po wodzie. Przypominam sobie reklamy sprzed kilku dni: *„Tańce na Tagu w dzień św. Antoniego"*. Można więc za kilka tysięcy i tak się bawić.

Zmęczeni dreptaniem w kółko po tłocznych ulicach Alfamy lądujemy wreszcie w jakiejś spokojniejszej restauracyjce. Spokojniejszej o tyle, że mieszczącej się na tyłach budynków, więc odgrodzonej od nadzwyczajnych hałasów. Podają nam oczywiście

SANGIRIĘ I PIECZONE KIEŁBASKI.

Przyrządza się je dość oryginalnie na małym półmiseczku glinianym, składającym się z dwóch części, półmisek jest przykryty poprzecznymi żeberkami także z gliny, na nich układa się kiełbaski jakby na ruszcie, na dół leje się spirytus i zapala. W ten sposób się je piecze. Innym popularnym daniem podawanym do wina są malutkie bocheneczki chleba z zapieczoną wewnątrz kiełbasą.

Cechą charakterystyczną kuchni portugalskiej jest zachowanie archaicznych już dziś urządzeń kuchennych. Do dziś np. smakosz tutejszy z pogardą odnosi się do emaliowanych i aluminiowych garnków, przedkłada nad nie zwykłe gliniane, w których tylko ponoć można uzyskać odpowiedni smak potraw. Jeden z moich portugalskich znajomych tłumaczył mi, że glina nagrzewa się i trzyma znacznie lepiej temperaturę zapewniającą odpowiednie warunki podnoszące smak mięs i ryżu. Przy próbowaniu wieprzowiny przyrządzonej na sposób charakterystyczny dla Alentejo (zachodni region Portugalii na wysokości Lizbony, słynący z dobrych win, oliwek i suszonych śliwek) jestem gotowa w to uwierzyć.

Ludzie rozluźnieni, weseli, życzliwi, szukający kontaktu z innymi. Obok przy stole siedzi samotny pan, uśmiecha się do nas, widać, że ma ochotę pogadać, wreszcie pyta:

— *Skąd jesteście?*

Po naszym wyjaśnieniu dziwi się:

— *Oj, to bardzo daleko* — i dodaje po chwili — *ja też lubię podróżować, jestem kierowcą w Rodoviarii* (odpowiednik PKS).

Przedstawia się dumnie i opowiada o swojej pracy i rodzinie. Żałuje, że nie ma kursów dalszych, zagranicznych, ciągnie go do świata. Wypytuje nas o nasze podróże, jest przejęty, nigdy w życiu nie spotkał Polaków. Zachęca nas, abyśmy pojechali na św. Jana do Porto, tam to jest *„festa"*, bo św. Jan jest patronem Porto, tam to ludzie potrafią się bawić! Zachwala rodzinne strony.

Lizbona, grudzień 1986 r.

Panorama

BUŁGARIA

Sekretarz generalny KC BPK — Todor Żiwkow udzielił wywiadu dla organu Francuskiej Partii Komunistycznej „L'HUMANITE', omawiając w swojej wypowiedzi wewnętrzne problemy Bułgarii, przemiany zachodzące w ZSRR oraz stosunki bułgarsko-tureckie, Jego zdaniem dla dokonania rewolucji naukowo-technicznej niezbędne są *„nowe więzi ekonomiczne między produkcją a ludźmi pracy"*. Ma się to wyrażać w uwzględnianiu interesów wszystkich pracujących, jak też w rozszerzeniu ich bezpośredniego udziału w życiu politycznym i gospodarczym. W tym celu przedsiębiorstwa gospodarcze stają się organizacjami samorządowymi.

Jeśli chodzi o przeobrażenia dokonujące się w ZSRR, to — zdaniem przywódcy BPK — *„doprowadzą one społeczeństwo radzieckie do jakościowo nowego stanu"*. Zapewnił on *„o gorącym poparciu politycznym i moralnym dla towarzyszy radzieckich ze strony komunistów i ludzi pracy"* w Bułgarii. W rozwoju demokracji w Bułgarii, jak też w jej pogłębianiu wykorzystywać się będzie tak doświadczenia ZSRR, jak i innych krajów socjalistycznych.

W stosunku do Turcji — powiedział dalej Todor Żiwkow — Bułgaria prowadziła i prowadzi otwartą politykę *„opartą na wzajemnym poszanowaniu i niemieszaniu się w sprawy wewnętrzne"*. Podkreślił, że *„Bułgaria i Turcja są sąsiadami na wieczne czasy"*, choć w przeszłości Bułgaria wiele ucierpiała pod jarzmem otomańskim. Ale nie ma w tym winy narodu tureckiego, jak też obywateli współczesnej Bułgarii. *„Historia* — powiedział — *powinna nas uczyć przezwyciężania śladów smutnej przeszłości, bowiem rozsądek i dobrosąsiedztwo wymagają usunięcia jej pozostałości jak najszybciej"*.

CSRS

W opublikowanych w Czechosłowacji „Zasadach przebudowy mechanizmu gospodarczego CSRS" mówi się również o dążeniu do wprowadzenia wymienialności korony. Teza 22 „Zasad" głosi: *„Kursy korony czechosłowackiej do walut zagranicznych tworzyć bardziej konsekwentnie na podstawie relacji poziomu cen wewnętrznych i zagranicznych, dążyć do stosowania jednolitych kursów i regulowanej przez państwo wymienialności waluty"*.

Tezę tę skomentował premier Lubomir Sztrougal. Powiedział, że *„będzie chodziło przede wszystkim o rozwinięcie międzynarodowego mechanizmu walutowego, o aktywną rolę waluty kolektywnej, jej wielostronną transferowość i niezbędną wymienialność. Wraz z tym trzeba stwarzać przesłanki w wymienialności walut narodowych krajów RWPG, w powiązaniu cen wewnętrznych, kontraktowych i światowych, w umacnianiu funkcji ekonomicznej kredytów i odsetek"*.

KOREA

Oficjalna agencja Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej — KCNA nadała 19 lutego 1987 roku informację o pieśniach, które *„kocha nasz naród"*. Należą do nich: *„Wyżej sztandar rodzimej partii"*, *„Na wieki jedną drogą"*, *„Partia domem ojczystym"*, *„Partia to rodzona matka"*, *„Płonie światło w oknie ośrodka partii"*.

„Wszędzie — pisze KCNA — *gdzie rozlegają się te pieśni, wiodą ludzi w szlachetny świat duchowy. Opiewają one orlą dalekowzroczność i niezwykłą mądrość, niezmordowaną pasję tow. Kim Dzong Ila, jego bezprzykładną śmiałość, młodzieńczy zapał, gorącą miłość do ludzi, wielki urok... poczucie rewolucyjnego obowiązku, dumę narodową, wyróżniającą się skromność i prostotę"*.

Agencja KCNA podaje też fragment jednej z pieśni poświęconej Kim Dzong Ilowi. Pieśń ta nosi tytuł: *„Wiruje płatek śniegu w głęboką noc"*. Oto jej fragment:

„Wiruje płatek śniegu w cichą i głęboką noc,
Dokąd tak zmierzasz, czy wiesz, serce moje,
Do Komitetu Centralnego partii, gdzie zawsze pali się światło...".

NRD

W Berlinie do niezwykle poszukiwanych gazet należy obecnie moskiewska „Prawda". Wielu mieszkańców Berlina, którzy uczyli się już po wojnie, poznało język rosyjski. „Prawda" znika z berlińskich kiosków już o 7 rano.

W Berlinie — po 5 latach zakazu — pojawiła się na afiszu jednego z teatrów sztuka Klausa Hammela pt. „Prusacy nadchodzą". Jest to farsa, przedstawiająca króla pruskiego Fryderyka II Wielkiego, który żył w latach 1712—1786, a panował w latach 1740—1786, jak staje współcześnie przed komisją, aby go zrehabilitowała. W latach osiemdziesiątych pojawiło się w NRD duże zainteresowanie historią Prus. W 1985 roku ukazała się książka Ernsta Engelberga pt. „Bismarck — Prusak czystej krwi i twórca Rzeszy". W sztuce Klausa Hammela pojawia się też Otto von Bismarck, który chce również poddać się procesowi rehabilitacji.

Swoistą sensacją stała się w Berlinie awaria windy w 20-piętrowym wieżowcu przy Fischerinsel nr 1. W Berlinie jest wiele takich wieżowców. Ich cechą jest brak schodów. Właściwie to schody są, ale przeciwpożarowe, klucz od których posiada gospodarz domu. Otóż podczas awarii windy nie chciał dać on klucza od przeciwpożarowych schodów, zasłaniając się instrukcją, która zezwala na użycie tych schodów — a biegną one na zewnątrz wieżowca — tylko w wypadku pożaru. Mieszkańcy tych domów zastanawiają się, jak w takim wypadku gospodarz domu dostanie się na górę, aby im otworzyć te schody bezpieczeństwa, jeśli i wówczas winda nie będzie działała?

Niedawno nad Berlinem Zachodnim pojawił się smog. Prasa stolicy NRD nie użyła jednak tej nazwy, zastąpiono ją pojęciem *„mgły przemysłowej"*. W NRD niezbyt wiele uwagi poświęca się sprawom ochrony środowiska, choć to wcale nie oznacza, że nie istnieją tam dla tego środowiska zagrożenia.

RUMUNIA

Rada Państwa dekretem podpisanym przez Nicolae Ceausescu wprowadziła ograniczenia w zużywaniu energii w lutym i marcu 1987 roku od 30 do 20 procent. Na przykład limit na marzec opiewa od 90 do 231 m sześciennych gazu w zależności od wielkości mieszkania. Przekroczenie limitu drastycznie podnosi cenę m sześciennego gazu lub kWh elektryczności. Jednak — jak piszą rumuńskie gazety — największymi pożeraczami energii i najbardziej przekraczającymi limity są duże zakłady przemysłowe.

P. ŻARLINEK

W „Litieraturnoj Gazietie" ukazał się artykuł B. Patona — prezesa Akademii Nauk USRR. Oto jego obszerne omówienie.

W przyrodę nie można bezkarnie ingerować. Trzeba umieć przewidzieć ujemne skutki i zapobiegać im.

Śmiałe decyzje i nieprzewidziane skutki

B. Paton stwierdził na wstępie, że im większy jest gospodarczy kompleks, tym silniejsze jego oddziaływanie na środowisko, wkraczanie do natury. Nie zawsze nawet jesteśmy w stanie określić wszystkich następstw ekologicznych, a nawet, kiedy jest to możliwe, nie zawsze uwzględnia się je przy podejmowaniu decyzji. Mamy już liczne tego przykłady: żyzne ziemie, zatopione przez zbiorniki wodne lub zasypane hałdami z kopalń, przenikanie w powietrze substancji trujących z hut, zakładów chemicznych, wyrąbane przesieki przy budowie linii elektrycznych, rurociągów, autostrad i linii kolejowych. To zapłata za nasze „dokonania", możliwe, że to dopiero początek skutków i dopiero po jakimś czasie odczujemy je w pełni...

Całkowity koszt dużego kompleksu — zwraca uwagę B. Paton — to nie tylko środki, wydane na jego stworzenie. Należy także uwzględniać nieuniknione straty ekologiczne. To znaczy, że niezawodność takiego kompleksu — nawet przy jego normalnym, bezawaryjnym działaniu — musi zawierać zadanie zachowania wszystkich elementów otaczającego środowiska, które powinny być uchronione przed jego oddziaływaniem. Niezawodność dużego kompleksu gospodarczego — to niezawodna ochrona przed nim otaczającego środowiska, zatrudnionych w nim i mieszkających w okolicy ludzi.

Ponieważ każdy taki kompleks ma albo potężny potencjał energetyczny, albo skoncentrowane są w nim szkodliwe substancje radioaktywne czy chemiczne, albo znaczne zasoby ciepłownicze lub wodne, albo też zespół czynników tego typu. Każda awaria może stać się nieszczęściem dla ludzi i gospodarki. Zmienia to w zasadzie całe podejście do sprawy niezawodności — zwykła ocena jest niewystarczająca, bowiem ekologiczne i medyczne następstwa awarii mogą znacznie przekraczać środki wydawane na budowę i eksploatację kompleksu. Nie ma tu innego wyjścia, niż absolutna niezawodność. Jeżeli istnieje w projekcie jakakolwiek możliwość pojedynczych zaburzeń, należy albo usunąć je, albo przewidzieć specjalne środki dla likwidacji niebezpiecznych następstw. Jeżeli jest to niemożliwe, należy zrezygnować, przynajmniej na razie, z realizacji takiego projektu. Dotyczy to szczególnie projektów globalnych, zagrażających zniszczeniem znacznej części lub wręcz całej ludzkości, np. broni masowej zagłady. Jeżeli chodzi o zwykłe duże kompleksy, to chociaż absolutna niezawodność nie jest możliwa, należy dążyć do niej nawet przy nakładzie najwyższych kosztów.

CZY NIE MOŻNA SIĘ BEZ TEGO OBEJŚĆ?

Istnieje np. półfantastyczny projekt przekształcania promieniowania słonecznego na sztucznym satelicie w energię elektryczną, przekazywaną na ziemię. Jest on rozpatrywany jako alternatywa rozwiązania problemu energetycznego. Przypuśćmy, że można będzie taki projekt zrealizować. A przecież wystarczy, że zawiedzie jedno ogniwo aparatury i wszystko co żyje może ulec zagładzie. Jednocześnie nie można rezygnować z takich projektów, jeżeli brak zasobów energetycznych grozi poważnymi konsekwencjami... W takim razie trzeba pracować intensywnie nad niezawodnością, trzeba gruntownych przemyśleń i prób, zanim się przystąpi do uruchomienia takiego systemu.

Po pierwsze — przed przystąpieniem do projektowania trzeba zastanowić się — wychodząc z założenia, że najbezpieczniejszy jest kompleks, którego... nie ma — czy nie można się bez niego obejść. Wystarczy przypomnieć sprawę zawracania rzek północnych, która znalazła ostatnio właściwe rozwiązanie. Zapadła uchwała KC KPZR i Rady Ministrów ZSRR o przerwaniu wszelkich prac. Siły rozsądku zwyciężyły w tym przypadku, ale nie zawsze, niestety, tak bywa. Można przytoczyć wiele przykładów niepotrzebnych kompleksów gospodarczych, które jednak zbudowano, a które nie tylko rujnują warunki bezpieczeństwa ekologicznego, ale nie są nawet w stanie wykonywać swoich funkcji gospodarczych.

Nie wiadomo, w jakim stopniu kierownictwo, podejmując takie decyzje, zdawało sobie sprawę z następstw — wyraża opinię B. Paton. — Działo się to jednak pod silną presją interesów resortowych, zaś jawność dyskusji miała bardzo ograniczony zasięg. Pewne naciski resortowe odczuwa się i teraz. Np. sprawa budowy kanału Dunaj—Dniepr. Rozpatruje ją specjalna komisja w Akademii Nauk RFSRR. Projekt nie został zatwierdzony, a prace przygotowawcze już rozpoczęto. Jednocześnie konieczność budowy kanału nasuwa coraz więcej wątpliwości. Zużycie wody w republice wzrosło w ciągu ostatnich 25 lat dwukrotnie, przy czym przewiduje się dalszy wzrost. Czy należy jednak uznać to za słuszne? W innych wysoko rozwiniętych krajach zużycie wody nie wzrasta, mimo rozwoju przemysłu, a nawet maleje. Stosuje się po prostu technologie bezwodne, z wielokrotnym wykorzystaniem wody, nawodnienie kropelkowe, czyli najbardziej oszczędna jest intensyfikacja. Ale przecież nasze obecne wytyczne zmierzają właśnie do intensyfikacji. A u nas zużycie wody jest wyższe niż w innych krajach. I właśnie uchwała o przerwaniu prac nad zawracaniem północnych rzek zakłada jednocześnie zmniejszenie zużycia wody w gospodarce o 15—20 proc.

GDYBY KAŻDY ZERWAŁ TYLKO JEDEN KWIATEK

B. Paton porusza następnie sprawę niebezpieczeństwa powstawania nie zaplanowanych kompleksów. Każdy wie, że nie można zrywać kwiatka z klombu, bo gdy każdy zerwie tylko jeden, to... Ale umyka gdzieś zrozumienie, gdy chodzi o rzeki, lasy, pola, łąki. Nie możemy przyzwyczaić się do myśli, że dzisiaj cała nasza Ziemia jest takim samym klombem.

W pewnym kołchozie zaorano pola aż do samej rzeki, aby uzyskać większą powierzchnię zasiewów. Bez ochrony brzegów rzeka zamuliła się, aż w końcu wyschła. Była to mała rzeczka, nikt nie zwrócił na to uwagi, i to właśnie jest typowa przerażająca sytuacja. Ale w ślad za tym kołchozem poszły inne i w ten sposób powstał kompleks, przecież przez nikogo nie zaplanowany, ale niszczący efektywnie małe rzeki. I brak już wody na ogromnej powierzchni, a zasila ona również duże rzeki i zbiorniki wodne. Nikt nie ponosi nawet za to odpowiedzialności — nie było to przecież zaplanowane.

Na południu Ukrainy urządzenia nawadniające funkcjonują niezależnie od pogody, prawie przez całą dobę, od tego bowiem zależą płace zatrudnionych tam ludzi. Wody zaczyna brakować, co m.in. jest powodem projektów typu kanał Dunaj—Dniepr. I nikt nie zastanawia się nad tym, że ziemia nie wchłania już wody, i nie ma już rzek, do których może spłynąć. Na setkach tysięcy hektarów żyznej ziemi poziom wód gruntowych wzrósł niebezpiecznie, giną rośliny, zagraża to nawet budynkom. I znowu poważne szkody powoduje powstały żywiołowo „kompleks podtapiania"

W pobliżu wielkiej elektrowni zawaliła się szkoła. Okazało się, że niewłaściwy był wybór miejsca budowy elektrowni, ponieważ grunt nie był odporny na działanie gorącej wody. A ileż tragedii jest następstwem nagromadzenia niebezpiecznych łatwopalnych odpadów, ile ziemi marnuje się na długo, a czasem na zawsze pod hałdami, popiołem z elektrowni itp. W kompleksie nie powinno być nic zbytecznego, również zbytecznego terenu. Np. Morze Kijowskie zaopatruje w wodę rolnictwo i przemysł, zapewnia żeglugę. Dlaczego jednak zajmuje aż prawie 100 kilometrów kwadratowych? Istniał projekt obwałowania go, ale z oszczędności zrezygnowano z niego. Efekt był taki, że zatopiono żyzne ziemie i łąki, zbiornik stał się płytki, woda w nim nagrzewa się. Znajdujące się na dnie pozostałości organiczne zatruły wodę, nie ma już w niej ryb. Teraz oczyszczenie będzie kosztować znacznie drożej, nie mówiąc już o utraconych zbiorach oraz innych stratach.

TRZY CZYNNIKI

Do unikania takich błędów — wyraża przekonanie B. Paton — powinno przyczyniać się naukowe podejście. Niestety, praca uczonych i naukowe podejście nie zawsze idą w parze. Decydują trzy czynniki: informacja wyjściowa wysokiej jakości, opracowanie uzgodnionych zaleceń, podjęcie właściwych decyzji. Przyzwyczailiśmy się do tego, że stale brak informacji. Gdy zaczyna się łączyć jakiś projekt z określonym miejscem, potrzeba bardzo wielu danych. I pierwszym nakazem jest niežałowanie środków i czasu na ich uzyskanie. Potęga, skoncentrowana w rękach człowieka jest tak wielka, że uruchamianie jej bez wyobrażenia sobie wszelkich następstw jest po prostu przestępstwem. Dlatego trzeba nastawić się na to, że wstępne opracowanie może kosztować tyle, albo i drożej, co realizacja projektu. Wiedza kosztuje drogo, ale jej brak może kosztować znacznie drożej. Na tym właśnie polega nowy charakter współczesnego projektowania.

Przy likwidacji następstw awarii czernobylskiej udało się połączyć możliwości najnowszej techniki obliczeniowej z informacjami różnych resortów, dotyczącymi rejonu elektrowni atomowej. Zadanie było niezmiernie skomplikowane, w normalnych warunkach wymagałoby lat. Specjaliści z najróżniejszych dziedzin mieli przed sobą mapy, z których można było odczytać wszystkie szczegółowe dane o każdym punkcie awaryjnego odcinka. Jeszcze bardziej zdumiewające były wyniki pracy w „sali sytuacyjnej". Na dynamicznym modelu kijowskiego zbiornika wodnego „przegrywano" na komputerze różne procesy, a na ekranie porównywano warianty następstw ewentualnych decyzji inżynieryjnych. W taki sposób uczeni z różnych dziedzin znajdowali łatwo wspólny język i łatwiej było podejmować uzgodnione decyzje.

I to właśnie jest czynnik drugi, o którym była mowa — opracowanie uzgodnionych zaleceń. Należy — postuluje B. Paton — tak doskonalić proces podejmowania i uzgadniania grupowych zaleceń w sprawie wielkich kompleksów gospodarczych, aby błędy były w praktyce niemożliwe.

SKUTKI LEKCEWAŻENIA NAUKI

Wspomniałem — powiedział dalej B. Paton — już o różnych błędnych decyzjach. Wszystkie łączy jedno: zawsze znajdowali się uczeni, którzy w sposób uzasadniony sprzeciwiali się im, przedkładając jednocześnie inne warianty. Resorty nie liczyłyby się jednak z ich poglądami, często nawet pomijając je milczeniem. Decyzje podejmowano w ścisłym gronie. Nic nie było ujawniane i to jest główną przyczyną powstawania takich sytuacji. Teraz jawność staje się nieodzownym elementem naszego życia i to zmienia wszystko. Nakłada to szczególną odpowiedzialność na uczonych radzieckich za zasadność, niezawodność i bezpieczeństwo najważniejszych decyzji gospodarczych.

Zdarza się, że najlepsze rozwiązania projektowe są naruszane w trakcie budowy. Tutaj musi wkroczyć prawo. Przepisy prawne muszą zawierać zakaz jakichkolwiek odchyleń od zatwierdzonego projektu. I dopuszczać je tylko w wyjątkowych przypadkach, gdy nie godzi to w główne właściwości, a w pierwszym rzędzie w bezawaryjność zaprojektowanego obiektu. (...)

Często zdarzają się wcale nieprzypadkowe odstępstwa od projektu. Większość inwestycji nie mieści się w kosztorysie, nie starcza na nie materiałów i siły roboczej. Wtedy zaczyna się niedopuszczalny proces „uproszczenia i potanienia" kompleksu. Lekceważy się przemyślane rozwiązania setek wybitnych specjalistów. Podejmuje się decyzje, nie mając do tego żadnych uprawnień. A gdy w wyniku tego zdarza się awaryjna sytuacja, nie zawsze jesteśmy do niej przygotowani. Powinniśmy — podkreśla B. Paton — stale być przygotowani do awarii. Trzeba je prognozować we wszelkich możliwościach i niemożliwościach. I na modelach trenować personel według specjalnego programu. Projektant musi przewidzieć możliwość uchwycenia awarii w pierwszym naruszonym ogniwie i wtedy nie doprowadza ona do tragedii. Producent musi wiedzieć, co czynić w konkretnym przypadku i czynić to prawie automatycznie (...)

Nie ma na razie teorii niezawodności dużych kompleksów gospodarczych — stwierdza w zakończeniu B. Paton — zaczyna się dopiero prace w tym kierunku. Jest to naglaca konieczność, a to, jak wiadomo, posuwa naukę szybciej naprzód niż uczyniłoby to dziesięć uniwersytetów.

Przed kinem w Moskwie kolejki. Wszyscy chcą zobaczyć film, który nie jest fabularnym. Dlaczego?

„Czy łatwo być młodym?"

Film dokumentalny „Czy łatwo być młodym?", w reżyserii Jurisa Podniejeksa, zrealizowany w ryskim studiu filmowym stał się prawdziwą sensacją. W Moskwie, aby dostać się na jego pokaz, trzeba najpierw odstać wiele godzin w kolejce. Być może — i trochę mimo woli — odpowiednią reklamę zrobiła mu telewizja radziecka, przekazując fragmenty i podejmując dyskusję nad niektórymi problemami, o których mowa jest w filmie, ale chyba i bez tego ten znakomity, półtoragodzinny dokument, trzymający w napięciu jak najlepszy film sensacyjny — mógł być pewien powodzenia, zwłaszcza wśród młodych...

To, co najbardziej porusza w tym filmie, to otwartość i szczerość z jaką przedstawia on problemy młodego pokolenia radzieckiego: jego stosunek do świata dorosłych, do własnej samotności i zagubienia. Pod tym względem bije on na głowę wiele publikacji, jakie poświęcono sprawom młodych w ramach toczącej się od wielu miesięcy dyskusji o młodzieży.

Bohaterami filmu są miłośnicy muzyki rockowej, członkowie grup punków i heavy-metal, zwyczajni uczniowie ryskich szkół, żołnierze, którzy wrócili z Afganistanu, a nawet członek sekty Hare Kriszna. Mówią oni przed kamerami o swoich poglądach na świat i życie, czyniąc to z niezwykłą szczerością i otwartością. Chcą mówić i chcą być wysłuchani, a to co mają do powiedzenia i przekazania jest często oskarżeniem świata dorosłych i jego instytucji.

Cały film oparty jest na prostym pomyśle reżyserskim, który na dobrą sprawę podsunął przypadek. Grupa zdjęciowa ryskiego studia filmów dokumentalnych, wracając z wyjazdu służbowego trafiła na koncert grupy rockowej w kołchozie „Radziecka Łotwa". Postanowiono „nakręcić" żywiołowe reakcje widowni, jej wrzask i nieomal rytualny taniec fanatyków rocka na płycie stadionu. Następnego dnia okazało się, że 150-osobowa grupa uczestników tego koncertu, w drodze powrotnej do Rygi, zdemolowała wagon kolei podmiejskiej. Powybijano szyby i zniszczono obicia siedzeń. Siedmioro z nich zatrzymano i postawiono przed sądem. Filmowcy zdecydowali się pójść śladem tych, którzy byli wówczas na koncercie i których twarze oraz reakcje zarejestrowała kamera. Chcieli porozmawiać z nimi o ich poglądach, postawie życiowej, najważniejszych wartościach i losach. Rezultatem tego śledztwa jest właśnie film.

Operator rejestruje sceny z procesu siedmiu zatrzymanych wyrostków. Wiek każdego z nich — ok. 16 lat. Zeznają oni i ich rodzice. Byli normalni, zwyczajni, chodzili do szkoły, uczyli się, dopiero pod wpływem tłumu rówieśników odmieniali się nie do poznania. Wszystko odbywa się w majestacie prawa i zgodnie z jego literą. Odpowiadają winni, a jednak ma się wątpliwości co do przebiegu procesu, w którym oskarżonymi są tylko ci, których udało się złapać i wcale nie jest pewne, że to właśnie oni ponoszą największą winę za to co się stało w wagonie. Oto zeznania jednego z wyrostków:

— *Spałem, kiedy ktoś rzucił czymś we mnie. Odrzuciłem. Posypało się szkło. To wszystko.*

Nie wiadomo czy tak było naprawdę, czy też jest to tylko próba obrony. Realny jest tylko wyrok — trzy lata kolonii karnej. Inne kary też zresztą były surowe: dwa lata pozbawienia wolności z zawieszeniem na jeden rok, do czasu ukończenia dziewiątej klasy i z obowiązkiem podjęcia później pracy.

Kamera filmuje teraz następnych uczestników koncertu rockowego w Kołchozie, lub choćby tych, którzy mogli nimi być. Są wśród nich ryscy „punkowie" i „heavy-metalowcy", a także odprowadzeni do komisariatu narkomani. Jest również młody amator-filmowiec, który w labiryncie miejskich piwnic kręci swój film — swoje wyznanie wiary.

— *Chciałbym pokazać — mówi w rozmowie z reżyserem — że w naszym życiu poruszamy się właśnie jak w labiryncie, z którego nie ma wyjścia. Przechodzimy obok spraw ważnych i nawet tego nie dostrzegamy. Ciągle powtarza mi się: masz coś do powiedzenia od siebie, chcesz robić to poprzez filmy — poczekaj, zostań filmowcem i wtedy... Ale ja nie chcę czekać...*

— *Chcecie czy nie, ale wszystko idzie ze świata dorosłych. Jeśli wy możecie kłamać, to dlaczego nie możemy tego robić my* — mówi jeden z filmowanych wyrostków.

— *Nikt nie zrozumiał, że jeśli dziś włożyliśmy na siebie skórzane kurtki nabijane ćwiekami i nazwaliśmy się „punkami" czy „metalowcami"* — twierdzi młody chłopak z pomalowaną twarzą — *to właśnie dlatego, żeby wszystkim pokazać: patrzcie, jesteśmy brudni, obszarpani i budzimy zgrozę, ale przecież jesteśmy waszymi dziećmi i to wyście uczynili nas takimi. Swoją dwulicowością, kłamstwem, tym że w słowach zawsze macie rację i jesteście prawi, a w życiu działacie zupełnie inaczej...*

Otóż z kolei historia dziewczyny, która w teatrze wypożyczyła długą suknię, aby pozować w niej do zdjęć. Kiedy wróciła do teatru, żeby ją oddać — drzwi były już zamknięte. Zatrzymano ją i zarzucono kradzież; wyzywano od złodziejek i prostytutek. Dziewczyna usiłowała popełnić samobójstwo. Wyskoczyła przez okno. Teraz siedzi na krześle przed całą komisją lekarzy w białych kitlach, którzy w sposób zawodowo-rutyniarski, a niekiedy wręcz wrogi — próbują wytłumaczyć jej, że postąpiła niewłaściwie, że *„jeszcze nie zna ceny życia"*. Dziewczyna może jedynie odpowiedzieć: — *dajcie mi po prostu spokój.*

Więc jacy są ci młodzi naprawdę? Co mają do powiedzenia o życiu, w którym tak często czują się samotni, zagubieni i nic nie znaczący? Czy rzeczywiście zależy im tylko na łatwym i wygodnym życiu, samochodzie i mieszkaniu? — autor nie próbuje nawet formułować jakichkolwiek jednoznacznych odpowiedzi i konsekwentnie, do ostatnich kadrów filmu unika wszelkiego schematyzmu w ocenach. Po prostu pokazuje losy i postawy młodych. Oto np chłopak, który pracuje jako sanitariusz w szpitalu, preparuje zwłoki i ubiera zmarłych do trumny. Zarabia śmiesznie mało — ok. 80 rubli miesięcznie, ale marzy, że zostanie kiedyś lekarzem. Jest też inny, który przed rokiem, gdy rozmawiano z nim — planował to samo i udało mu się dostać na studia... Ale dziś go już nie ma, bo zmarł na zapalenie nerek.

Z kolei inna scena: uczniowie starszych klas szkoły średniej, w mundurach słynnych rewolucyjnych strzelców łotewskich, ćwiczą musztrę przed objęciem warty przy pomniku żołnierzy z tego oddziału. W kompanii honorowej są tylko uczniowie najlepsi z najlepszych, a jej skład zmienia się co tydzień. Wystąpienie w jej szeregach jest swego rodzaju wyróżnieniem. Co myślą jednak wtedy, kiedy obejmują wartę?

— *Nic. Żeby ładniej maszerować, nie zrobić jakiegoś błędu. To wszystko.*

— *Dla nas to teatr i do tego teatr dla dorosłych, w którym zgodziliśmy się uczestniczyć.*

A czego chcą od życia? — też zwyczajnie: dostać się na studia, mieć potem pracę z dobrą pensją i zawsze najlepsze charakterystyki w aktach.

Szczególne wrażenie robi końcowa część filmu. Przed kamerami występują młodzi żołnierze, lat ok. 20 — nie więcej — po powrocie z Afganistanu. Wśród nich są i tacy, których wojna okaleczyła na zawsze. Z goryczą mówią o wartościach etycznych i moralnych, których znaczenie poznali w warunkach bezpośredniego zagrożenia życia, a które po powrocie do rodzinnego miasta nikomu już nie są potrzebne.

— *Dla nas wszystkich jednakowy był los i te same trudności* — powiedział jeden z byłych żołnierzy. — *Tego się nie da zapomnieć. To zostaje na całe życie i jestem pewien, że na swoich chłopców z Afganistanu zawsze będę mógł liczyć.*

— *Ja wiem, że spełnialiśmy swój obowiązek, ale po powrocie zostaje w nas poczucie czegoś brudnego* — stwierdził jeden z tych, którzy wrócili.

— *To nieprawda, że na wojnie człowiek dorośleje. On się po prostu starzeje. I jeśli chcemy dziś wracać, to nie do tego, ale do poprzedniego życia. Można nawet powiedzieć, że do dzieciństwa...*

Niezwykle trudno jest opowiedzieć taki film, jak „Czy łatwo być młodym?". Film porusza. Nie jest on jednoznacznie pesymistyczny, ale na pewno i nie optymistyczny.

SŁAWOMIR POPOWSKI (PAP)

WITOLD JABŁOŃSKI

Słodkie shimmy

(Fragment powieści „Niesmaczna historia")

Witold rozejrzał się po placu apelowym, wciągając w nozdrza mieszające się stajenno-kuchenne odory. Była cudowna wiosna, kwiecień — chciało się jeść, spać i chędożyć. Jego oddział odchodził w kierunku placu ćwiczeń śpiewając żałośnie i idiotycznie:

Panie poruczniku pu-uść mnie pan do do-omu!

Przekrzykiwał się przy tym z drugim, mijanym po drodze, który wył co innego, równie beznadziejnie:

A-żebym nie tęsknił, a-żebym nie tęsknił za dziewczyną!

Wojsko miało w nich wyrobić nie tylko karność, ale również poczucie społecznej więzi. Nic podobnego nie miało miejsca, nie istniała nawet prawie zupełnie wspólnota prześladowanych. Wszyscy wyśmiewali się wzajemnie i dzielili na małe totemiczne szczepy — poznaniaki kpili z kongresiaków, kongresiaki z centusiów, centusie z poznaniaków. Kwitło donosicielstwo, lizusostwo, „miganie się" od roboty i spychanie jej na barki innych — tak to widział Witold, który nie mógł odczuwać wobec tych postaw nic więcej prócz pogardy. Sam, zaraz po walkach pod Radzyminem, w których wziął udział jako ochotnik, kiedy tylko Najświętsza Panienka obroniła nasz kraj zdecydował się wstąpić do podchorążówki. Musiał czymś się zająć, albowiem w powojennej Warszawie wszystko było piekielnie drogie, a chociaż Magdalena wspomagała go czasem, suma pozostawiona mu przez ojca poczęła rychło topnieć. Myśl o jakiejkolwiek posadzie ze stałymi godzinami i siedzeniem za biurkiem napawała go niewypowiedzianym wstrętem, o uniwersytecie nie było nawet mowy. On zaś naprawdę dobrze nauczył się tylko walczyć, nic innego robić nie potrafił. Wyczuwał zresztą atmosferę miłosnej fascynacji całego społeczeństwa mundurem, który stał się symbolem odrodzonej ojczyzny. Do podchorążówki wkroczył w aureoli bohatera, który już niejeden proch wąchał, nie uniknął wszakże drobnych nieprzyjemności ze strony młodszych oficerów i starszych kolegów, jakie są udziałem wszystkich nowych. Że jednak Witold sprawował się wzorowo i uczył świetnie, po niejakim czasie dostąpił łaski przystąpienia do konfraterni „swoich", młodych podoficerków in spe, żylastych, wyschniętych szczap z wiecznie sterczącym kołkiem, noszących z fantazją jedwabne halsztuki i zamszowe rękawiczki pecari.

Po skończeniu podchorążówki wyroki boże rzuciły go do koszar w Rembertowie. Armia wypełniła szczelnie całe jego życie, a tamto, za murami, przedstawiało mu się niczym szkolny bieg świętego Huberta — jak gęsty las z nieznanymi przeszkodami, które należało pokonać ufając intuicji konia i jeźdźca, nie mając przy tym pewności, czy wszystko skończy się nieszczęściem, czy też bigosem i jarzębiakiem izdebnickim.

Witold przechodził właśnie obok pustych o tej porze budynków koszar. W jednej z sal głównego gmachu lekarz pułkowy doktor Składkowski prowadził wykład dla felczerów monotonnym, bezbarwnym głosem:

— Upojenie alkoholem ubiera zużytą prostytutkę w szaty wdzięku i powabu, nie pozwalając jednocześnie upitemu na zastosowanie koniecznych środków ostrożności. Jeżeli już żołnierz decyduje się na stosunek płciowy, winien przede wszystkiem wymagać od swej partnerki czystości, oczywista fizycznej...

Tutaj następowała pauza, zapewne na ironiczny uśmiech.

— Jądra i otoczenie, celem ochrony przed zakażeniem syfilitycznem, należy wysmarować starannie maścią kalomelową lub borową. Po stosunku ostrożnie zdjąć kondom, oddać mocz i zakropić do cewki moczowej srebra lub protargolu, celem zabicia bakteryj tryprowych, które mogą dostać się do cewki nawet przy użyciu kondomu. Roztwór, mimo bólu jaki sprawia, przytrzymać należy w cewce od trzech do pięciu minut. Zabieg ten koniecznie należy wykonać zwłaszcza w razie pęknięcia kondomu. Tak samo wskazane jest, a w razie pęknięcia kondomu konieczne, obmycie całego członka, jąder i otoczenia roztworem sublimatu za pomocą czystych wacików. Roztwór sublimatu przyrządza się przez rozpuszczenie jednej pastylki sublimatowej, ważącej jeden gram, w litrze wody. Środki do obmycia się po stosunku — roztwór sublimatu i watę, winien żołnierz mieć zawsze do rozporządzenia u dyżurnego podoficera sanitarnego w ambulatorium pułkowem...

Zaś pod bramą kapral Żmurko tak przemawiał do wychodzącego z koszar oddziału:

— Pamiętajcie, barany, że idziecie między ludzi. Żadnych gestów i świńskich okrzyków w stosunku do kobiet, sukinsyny, zwłaszcza młodych...

Witold spojrzał ponuro na tego drobnego poganiacza, gospodarskiego psa, który choć sam nader często traktowany kopniakiem, zostawał jednakoż za swoją pracę wynagradzany nieco lepszym miejscem do spania i smaczniejszym jedzeniem, niż reszta trzody. Musiał porucznik Orlicki przyznać przed sobą ze wstydem, że sam stał się obecnie kimś takim, w większym naturalnie wymiarze i co gorsza, ze świadomością własnej bezwładności wobec zastanego, niewiary w możliwość zmiany czegokolwiek, wreszcie pewnej łatwości, a nawet przyjemności popełniania zła w zgodzie z ogólnie przyjętymi zasadami w danym środowisku. „Nic tak nie oddziela jednego człowieka od drugiego jak właśnie hierarchia wojskowa, odmienny kształt naszywki, paseczek z innego materiału. Czyżbym był aż tak słaby i uległy, że czerpię zadowolenie z posiadanego zakresu władzy?" — zastanawiał się, przekraczając bramę koszar.

Gdy dotarł do stolicy, postanowił powłóczyć się po niej trochę. Przed dworcem stała tylko jedna smętna dorożka, ku której podążał z przeciwnej strony obwieszony pakunkami brzuchaty osobnik. Zmierzywszy się wzrokiem z Witoldem zawołał przyjaźnie:

— Ależ proszę, panie oficerze, wsiadaj pan, ja zaczekam chętnie!

Witold zasalutował i skorzystał z okazji. Polska była już od siedmiu z górą lat republiką demokratyczną i nadal kochała wojsko — kto nie przepadał za wojaczką tego nazywano tchórzem, zdrajcą, albo po prostu łajdakiem. Najbliższe wypadki miały pokazać, że kochała miłością ślepą.

Kazał się wieźć najpierw w Aleje Ujazdowskie i przyglądał ciekawie wszystkiemu. Patrzył na obwisłe liście kasztanowca, na wysterczające ku niebu białe pierzaste kity i myślał jak zabawnie byłoby zestrzeliwać je. Chodniki z obu stron wypełniały tłumy, środkiem ulicy mknął sznur powozów i odkrytych aut. Kobiety, które wszystkie pozbyły się cech dojrzałości, bowiem ich krótkie sukienki niwelowały biust i odkrywały nogi w fildekosowych pończochach, szły na spacer wprost z kortu albo basenu, wychudłe i opalone. Mężczyźni w za dużych, miękkich marynarkach i dziwnie pofałdowanych spodniach, wynurzyli się młodzieniaszkowato z gęstwiny bród i wąsów, co na Witoldzie robiło takie wrażenie jakby wszyscy wyszli na ulicę bez gaci. Marzyli o imponowaniu damom dzikimi rajdowymi jazdami lub brawurą w awiacji, zaś wieczorem spełniali swoje pragnienia w kinematografie albo kabarecie. Trzy magiczne słowa: Ameryka, młodość i nowoczesność zapanowały niepodzielnie. Stało się tak, ponieważ w czasie wielkiej wojny zwątpiono aby w zmarszczkach zamieszkiwał jeszcze rozum.

Gdy mijali aleję Róż, Witold spojrzał w błyszczące okna jakby chciał aby w jednym z nich stała ona. Nie widział Magdaleny już bardzo dawno i sam nie wiedział czy mu z tym lepiej, czy gorzej. Kochał ją tak mocno, że może nawet bezpieczniej dla jego uczucia było karmić je wyobraźnią. Magdalena od kilku lat pod różnymi pretekstami zwlekała z ogłoszeniem zaręczyn. Zamieszkała w willi tak zwanej „cioci Krusi", hrabiny Zdołowieckiej, krewnej Skalmierskich. Do Lwowa wracać nie chciała, majątek rozparcelowano, a częścią puszczono w dzierżawę. Naftową spółkę amerykańską zastąpiła spółka francusko-belgijska, mająca przynosić ponoć wyższe dywidendy — tak przynajmniej twierdzili doradcy prawni i finansowi. Pałac w Winnikach spłonął ze szczętem w czasie działań wojennych 1920 roku, i można by rzec, zapadł się pod ziemię jak jakiś zaklęty dwór.

Ciocia Zdołowiecka, podwójna bezdzietna wdowa, oprócz typowych zajęć samotnych dam, to jest dewocji, spirytyzmu i pasjansów, zajmowała się także zalegalizowanym stręczycielstwem, zwanym w jej sferze kojarzeniem par. Spełniała podobną funkcję jak chłopak stajenny naprowadzający dłonią ogiera. W jej oczach nawet ulicznica miała mimo wszystko więcej poważania niż stara panna, toteż bardzo martwiła ją kompletnie niezrozumiała postawa Magdaleny i bezustannie organizowała spotkania dwojga „dzieci". Witold czuł się w jej salonach, urządzonych w okropnym stylu déco, niczym koń na lodzie, męczyła go ta atmosfera rui i rozpłodu. Spotykał się więc z Magdaleną przeważnie u Lourse'a przy kawie z napoleonką i toczył błahe rozmowy, których przebiegu potem nie pamiętał. Nachodziła go bowiem w takich razach chęć rzucenia się na nią i zgwałcenia w obecności wszystkich — był prawie pewien, że ona czerpie z jego męki przewrotną radość. Był jednak szlachcicem, a nie zbuntowanym chłopem i bezczeszczenie księżniczek nie było w jego stylu. Z dziwnym uporem domagała się, aby na spotkania nie przychodził w mundurze, lecz w jednym z garniturów nieboszczyka Zdołowieckiego, zdaje się, że uniform zanadto drażnił jej zmysły. Ciocia Krusia, przeciwnie, odkąd zdobył szlify wprost uwielbiała „dzielnego chłopca". W przysłanym mu dzisiaj zaproszeniu wyczuwał młody człowiek jej rękę, inaczej musiałby rzecz całą uznać za spóźniony primaaprilisowy żart. Zapraszano go bowiem imiennie na wystawę „prac mechanofakturowych" („Co to jest, u licha?!"), w salonie automobilowym Austro-Daimlera przy ulicy Wierzbowej 6. Nazwisko wystawcy było niedwuznacznie obce i znaczyło w języku hebrajskim tyle co „syn Lewitów". A więc — ciocia, nikt inny tylko ona. „Czyż europejskie społeczeństwa funkcjonowałyby jeszcze sprawnie, gdyby nie działalność niezmordowanych cioteczek?" Witold uśmiechnął się złośliwie i nakazał dryndziarzowi skręcić w kierunku Wierzbowej.

Z zielonej perspektywy Ogrodu Saskiego płynęła mocna woń bzu, a może tak mu się tylko zdawało. Był jakoś dzisiaj szczególnie wyczulony na wszelkiego rodzaju zapachy. Wydało mu się nagle, że w jednym z szeroko otwartych okien pałacu Brühla zamajaczyła sylwetka Zyzia Okołomyńskiego, podniósł nawet dłoń, aby mu zamachać — lecz mylił się na pewno, Zyzio bawił bowiem w tym czasie w Berlinie na Kurfürstenstrasse, jako radca poselstwa polskiego. Gdzieś z okolic restauracji Krzema, skąd wiecznie głodny porucznik poczuł wielce mu sympatyczny zapach litewskiego żurku, usłyszał bębnioną na fortepianie Pierwszą Brygadę, graną chyba jeszcze niezbyt wprawną ręką, bowiem z licznymi przestankami i omyłkami. Uśmiechnął się. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. Wyskoczył z dorożki, przyjrzał się chwilę uważnie samodziałom Żurowskiego, minął obojętnie klomb milanowskich jedwabi oraz fotografie Kirchnera i wszedł w załom muru, gdzie mieścił się automobilowy salon.

U wejścia powitały go dwa rozchichotane, wbrew smutniutkiej charakteryzacji, pierroty, istoty pozbawione społecznej rangi, bez wieku i płci. Okazał inwitację i został w głębokich ukłonach zaproszony do środka. Wewnątrz było dość tłoczno, ale przed jego mundurem tłumy wystrojonych gości rozstępowały się jak przed monarchą. Rozglądał się uważnie po wszystkich — szukał jednej, jedynej twarzy i nie mógł jej dostrzec. Wreszcie, zrezygnowany, klucząc między grupkami ludźmi i eksponowanymi autami, przeszedł się wzdłuż ścian. Wokół rozwieszone były potworne płótna, pełne wielobarwnych kółek, trójkątów, kwadratów i kresek. Jakiś cherlawy, bardzo czarny jegomość o płonących oczach i niezdrowych wypiekach, może sam artysta, przemawiał głośno do otaczających go osób, wskazując na obrazy:

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Widzimy oto matematyczne ustosunkowanie form mechanicznych. Koncepcja, wynikła z inspiracji twórczej, została ujęta w karby organizacji i budowy. Elementarne i oczyszczone prymitywy formy tworzą taką a nie inną konstrukcję, o fakturze sprowadzonej do wspólnego mianownika płaszczyzny i stopniowania wyrazu powierzchni.

„Co za bełkot — pomyślał Witold. — Sztuka, która przestaje mówić cokolwiek o człowieku staje się sztuką końca świata..." — ale nie miał odwagi oponować głośno przemądrzałemu cherlakowi. Reszta towarzystwa przysłuchiwała się mówcy z nabożeństwem, jakby słuchała objawienia w nieznajomym języku.

Witold zamierzał wyjść, nie widział bowiem sensu dłuższego przebywania tutaj, gdy nagle zobaczył, że w odległym rogu sali stoi ona, odwrócona do niego półprofilem, ubrana w zeszłoroczną suknię Hersego w kolorze... tak jest! chataigne, czyli młodych kasztanów, i niemodny już czarno lakierowany kapelusz-kornet zakonnicy. W dłoniach trzymała tlącego się papierosa. Pośród wszystkich innych panienek, z których zgeometryzowane sukienki Chanel, satynowe hełmy i pióra, zrobiły coś pośredniego między nieudanym chłopcem a pstrokatą kakadu, Magdalena była zdaniem Witolda jedyną kobietą godną uwagi. Pochylał się nad nią jakiś dziwaczny dryblas w białych bryczesach i fioletowym smokingu. Bezczelnie dotykał czubkiem wydatnego nosa ronda jej kapelusza i szeptał coś, poprawiając nerwowo monokl. Witold przedarł się do nich i posłyszał, że wąskie wargi amanta dyszą namiętnie:

A ja chcę dzisiaj pieścić Pani piersi bez bluzki.

Chcę być dziko bezczelny i mocny jak tur...

Bezceremonialnie chwycił natręta za ramię i odciągnął na bok.

— Panie... nie wiem jak go nazwać... ośmielasz się przemawiać w ten sposób do mojej narzeczonej!

— Ależ panie... — bąknął tamten zamieszany. — To przecie tylko poezja i w dodatku nie moja.

W oczach rywala ujrzał Witold strach przemieszany z rozbawieniem, co go jeszcze bardziej zirytowało, postanowił więc nie ustępować. Sytuacja była tak bzdurna, że nie pozostawało nic innego jak brnąć dalej i czynić ją jeszcze gorszą.

— Co mnie obchodzi pańska, czy nie pańska... Obchodzi mnie natomiast, że nie życzę sobie, słyszysz pan?!, nie życzę sobie takiego świństwa w obecności panny Magdaleny...

— Jestem gotów dać panu satysfakcję — odparł niespodzianie artysta zrezygnowanym tonem.

Magdalena, która do tej chwili obserwowała walkę dwóch samców z wyraźną przyjemnością, zdecydowała się w końcu interweniować. Zrobiła krok w ich kierunku, wyrzuciła papierosa i odezwała się drżącym, przerywanym głosem:

— Witoldzie, na miłość boską, uspokój się, to nieporozumienie. Pan Lucjan Strumień — akcentowała każdą zgłoskę, jakby nazwisko miało być Witoldowi znane — deklamował na moją prośbę wiersze swego przyjaciela, po prostu... Te twoje koszarowe maniery... Skąd się tu wziąłeś, na Boga... To pewnie ciocia, uczynna jak zawsze.

— Dosyć — Witold postanowił zakończyć tę kompromitującą scenę. — Zrozumiałem i przepraszam.

— Doprawdy... — poeta uśmiechnął się niepewnie — to piękne, tak po rycersku stawać w obronie damy. Dziś tacy mężczyźni to okaz muzealny. A my właśnie burzymy muzea.

Co powiedziawszy uścisnął niedbale dłoń oficera i czmychnął w najbliższe grono ostrzyżonych koteczek. Witold chwilę jeszcze za nim spoglądał krzywiąc się z niesmakiem.

— Co ty, księżniczka krwi, robisz pomiędzy niemi? — zapytał, odwracając się w końcu do Magdaleny.

— Co robię? — odpowiedziała nieco spokojniej, odzyskując jak gdyby pewność siebie. — Opowiem ci. Gdyś ty boje na lwowskich ulicach staczał, ja zostałam zupełnie sama, bez opieki, bez służby, z trupem ojca w mieszkaniu. Kończyły się pieniądze, musiałam kupić za coś nafty i chleba, wyszłam więc zrozpaczona na ulicę z koszykiem starych rożków, okryta chustą Horpyny. Wszędzie pełno było uzbrojonych po zęby Rusinów, tych jednak rożki nie nęciły, każdy z nich chciał mi raczej zaglądać pod chustę. Zachowywali się zresztą względnie przyzwoicie — ich sztab był blisko. Wtem prawie na mnie wpadła młoda dziewczyna z futerałem skrzypiec pod pachą i przyjrzawszy mi się uważnie, zawołała głośno: „Wyborna maskarada! Kostium niezrównany... te cery i łaty po prostu rozczulające! Czy pani była zawsze roznosicielką ciasteczek?" — indagowała, krztusząc się ze śmiechu. „Niekoniecznie..." — odparłam niepewnie, rozglądając się dookoła z lękiem, albowiem kilku strilków zwróciło już na nas uwagę. „I ja tak myślę, ale dla ogółu charakteryzacja pyszna! — wołała dalej dziewczyna. — Nic się pani nie bój — dodała, widząc mój niepokój. — Te łotry nas nie ruszą, chodź tylko ze mną". Mrugnęła do mnie jak najpierwszy batjar, po czem wprost na patrol ruszyła. Tym okazała jakiś papier i nim jeszcze zdążyłam ochłonąć, byłyśmy już obie w wielkiej sali hotelu George'a. Orkiestra, nieomalże symfoniczna, stroiła tu instrumenty. „Hej, koledzy! Brać rożki con fuoco!" — krzyknęła dziewczyna i rzeczywiście, muzycy rzucili się na nie, sypiąc do koszyka sporo brzęczącej monety. Jeden z nich, młody, wesoły z pozoru, wiolonczelista powiedział: „Stawiam w zakład pierścień Nibelungów, że pani jest ze wsi. Ten proceder rożkowy odsłania tajemniczość incognita". „Może i ze wsi — odrzekłam, ciągle zaskoczona. — Ale lepiej o tem tak głośno nie mówić". A tamten woła: „Między nami zdrajców nie ma! Jak sama pani widzi, jesteśmy szczęśliwemi wyjątkami. Już od paru lat muzyką Straussa i Lehara zagłuszamy jęki dochodzące z ulicy.., bez względu na to czyje wojsko to sprawia" — dodał z nagłym smutkiem. Słuchałam potem ich gry i dumałam o ich szczególnej wolności, jaką im dała muzyka, grana bez względu na to kto słucha. Tak samo i ja... zapragnęłam być wolna! — zakończyła z uśmiechem, który wydał się Witoldowi głupawy.

— W naszej sztuce jest wiara w nowego człowieka — przemawiał tuż obok Lucjan, błyskając monoklem i dźwigając co chwila w górę swój wielki nos. — Człowiek stał się świadomym twórcą wszelkich wartości, wyznawcą ewangelii braterskiej demokracji. Dwa tylko państwa na Ziemi, Ameryka i Rosja Sowiecka, starają się urzeczywistnić, każde na swój sposób, ten ideał nowego człowieka z rewolucyjnym umysłem i w butach na gumie — tutaj twarz ściągnęła mu się w autoironiczny grymas.

Słuchającym go osóbkom coraz mocniej falowały przypłaszczone i przez to niewidoczne biusty. Intelekt poety obnażał je, przebijał i wywoływał uniesienia. Witold odczuł znowu przemożną chęć walnięcia zarozumialca po mordzie, chwycił więc Magdalenę za rękę i pociągnął głębiej w kąt.

— Wolna?... Posłuchaj. Mam ci do objawienia rzecz arcyważną. Niedługo już skończy się całe to bezhołowie, ten demokratyczny bajzel. Wiem pewnie, mówił mi to wczoraj pijany pułkownik Grzmot-Piorunowicz, niegdysiejszy cioci Krusi kochanek, że już niedługo marszałek z wiernymi legionami pomaszeruje na Warszawę. Zamierzam się włączyć w ten ożywczy nurt. Tam właśnie widzę miejsce dla ludzi prawdziwie twórczych, a nie tutaj, pośród poprzebieranych małp.

Magdalena patrzyła na niego zdumiona. Jakże piękny i silny wydał się jej w tej chwili i jak wspaniale nabrzmiewały mu spodnie nieodpartą sztywnością. Ktoś nastawił patefon i rozległo się szalone, słodkie shimmy. Pierroty roznosiły kielichy z szampanem. Lucjan Strumień podrygiwał gładząc gołe plecy modelki i mamrotał do ucha coś o bystrej centryfudze jej bioder. Wszyscy lgnęli i lepili się do siebie pod wpływem muzyki i wyskokowych napojów, a może pod wpływem przeczucia nadciągającej burzy. Magdalena, widocznie wstrząśnięta usłyszaną rewelacją, nagłym ruchem otworzyła drzwiczki najbliższego auta i skryła się w nim. Gdy Witold wskoczył za nią, oboje w jednej chwili zasłonili okienka.

— Dlaczego wy, młodzi mężczyźni — szepnęła omdlewająco — tak bardzo cieszycie się zawsze, kiedy nadarza się sposobność bezkarnego zabijania. Zupełnie jak wtedy, we Lwowie...

— Cicho! — syknął, chwytając ją za ramiona i przyciągając do siebie. — Nasłuchałaś się tutaj tych zdegenerowanych snobów, kosmopolitycznych łajdaków. Co mnie obchodzą jakieś tam strumienie i mechanobzdury? — bełkocząc to wszystko, równocześnie zadzierał do góry jej suknię. — Rzeczpospolita jest teraz jak bila na zielonem suknie, ktoś musi wziąć za kij i popchnąć ją we właściwym kierunku. Piłsudski to jedyny w tej chwili facet z jajami, pełen niesłychanej energii i siły — zaciśnięte kolana przestały stawiać mu opór. — Dość tych wodewilowych ministrów z kurnika pani Paderewskiej. Podobno dokumenty państwowe noszą po kieszeniach i gubią je — jego palec odbył penetrację pewnej jamki. — A tu jeszcze ta hołota, ludowcy... za mordę całe to bydło!

Wszedł! Już od pewnej chwili sprawdzali sprężystość siedzeń Austro-Daimlera ruchami swoich ciał. Auto było tak pojemne i w swoim wnętrzu przepastne, że mogłoby pomieścić jeszcze ze trzy takie pary. Witold odkrył teraz wybitną zaletę nowej mody: opakowanie kobiety stało się tak proste i nieskomplikowane, że znakomicie ułatwiało drogę do jej wnętrza. Raz-dwa, raz-dwa... zupełnie jakby ćwiczenia z workiem i bagnetem. To jednak nowinno go było zastanowić — łatwość, z jaką dokonał dzieła, świadczyła wszak o tym, że narzeczona nie była dziewicą. Ale w głowie porucznika Orlickiego była teraz kostka chodnika Ujazdowskich Alej, na którą padały włochate, lepkie od żywotnego soku, kule kasztanów i pękały z hukiem, przypominającym trochę pogłos karabinowych salw.

Gdy runie mit...

Gdy przeglądam stare encyklopedie, co jakiś czas trafiam na nazwiska znanych i „pierwszorzędnych" przed laty pisarzy, których, jak śmiem przypuszczać, nikt obecnie nie czyta, poza wąską grupą specjalistów. Otóż wypisałem sobie kilku owych znanych autorów, by sprawdzić czy trafili do wydanej niedawno „Literatury polskiej. Przewodnika encyklopedycznego". Jak się okazało, większość nazwisk znalazłem (choć nie wszystkie), ale nie zmieniło to mojego poglądu, że czytelników pisarzom, których wybrałem, brakuje. Tak już bywa z ludźmi pióra, jedni żyją w świadomości większej, lub mniejszej grupy czytelników, inni wśród notatek historyków literatury i na stronach starych encyklopedii, do których, powiedzmy sobie szczerze, mało kto zagląda.

Adolf Nowaczyński w jednym ze swoich aforyzmów pisał: *„Kto literaturę uprawia jako zawód, tego nie czekają już w życiu żadne zawody, gdyż wcześniej czy później ludzie poznają się na jego przystosowaniu się do warunków lokalnych i normalnej większości i nagrodzą go jubileuszem, obywatelstwem honorowym i zapomnieniem".* W innym miejscu dzieli się z czytelnikami taką uwagą: *„Historia literatury w tym jest podobna do grzybobrania, że na sto fałszywych purchawek jednego daje myśliciela".* I nie mogę się powstrzymać, by nie zacytować jeszcze jednej myśli: *„Historia literatury musi się przedstawiać matematykowi jako dom obłąkanych".*

Za pięćdziesiąt, czy więcej lat, ktoś zasiądzie do „Przewodnika encyklopedycznego" bądź do „Słownika pisarzy współczesnych" i odkryje całą plejadę nieznanych mu pisarzy. Otworzy wówczas jakieś najnowsze wydanie literackiej encyklopedii i stwierdzi ku swemu zaskoczeniu, że niektórych nazwisk w ogóle w tej pozycji nie ma. Bo czas nie zawsze zgadza się z prognozami krytyków i publiczności.

Kiedy w roku 1984 w jednym z numerów „Twórczości" przeczytałem esej Ziemowita Fedeckiego, pomyślałem: no, nareszcie ktoś rozsądnie popatrzył na zjawisko zwane Edward Stachura.

Ale ponieważ grono czytelników zainteresowanych bezpośrednio tym pisarzem jest wyjątkowo duże i „Twórczość" nie dotarła na pewno, do wszystkich, dobrze więc się stało, że esej został przedrukowany w książce wydanej przez „Wydawnictwo Łódzkie" pt. „Kaskaderzy literatury".

Na tle całej „produkcji", jaka powstaje na temat Stachury ten tekst zdecydowanie się wyróżnia. Tłoczno zrobiło się wokół poety. Powiem tylko, że w ciągu ostatnich sześciu lat napisano o nim dziesiątki prac, praktycznie nie ma chyba w Polsce pisma kulturalnego, które nie zamieściłoby artykułu o Stachurze. Nie ma także pisarza, który mógłby się pod tym względem z nim mierzyć. I zdecydowana większość krytków, dziennikarzy wykrzykuje zachwyty, bez głębszej analizy jego twórczości, po prostu zachwyty, doprowadzone w wielu przypadkach do skrajnej przesady.

Na przykład Andrzej Falkiewicz w numerze 1 „Tekstów" z roku 1981, napisał, że „Fabula rasa" to największy utwór, jaki został napisany w ostatnich latach w polskiej, a i światowej literaturze. Czy ten zbiór nie nowych, w wielu wypadkach tylko powtórzonych myśli ma być filozoficzno-literacko-artystycznym arcydziełem drugiej połowy XX wieku? Ludzie, toż to świat się kończy! Daleki jestem od twierdzenia, że wszystko co napisał autor „Siekierezady" nie zasługuje na uznanie. Lubię na przykład bardzo Stachurowskie poematy (na które mało jakoś zwraca się uwagę), ot choćby „Przystępuję do Ciebie". Utwór ten uważam za jeden z najciekawszych w dorobku poety. Do wielu jego fragmentów można byłoby natychmiast dorobić muzykę (na co też zwrócił uwagę Ziemowit Fedecki), ale może tekst jest zbyt trudny, kto by chciał to śpiewać? I właśnie z łatwości, być może, bierze się uwielbienie dla miernych przecież tekstów piosenek.

Dalej: przeciw komu, czemu ten najbardziej rozdmuchany w jego legendzie bunt? Często jego życie i twórczość zestawiana jest z Rafałem Wojaczkiem. Tutaj muszę powiedzieć, że nie przepadam za poezją Wojaczka, ale by na ten temat cokolwiek powiedzieć, w jego pisaniu, w jego buncie czuje się większy autentyzm. Pytań nie zamykam, jest ich jeszcze wiele, na szczęście nie ja muszę szukać na nie odpowiedzi. Zostawmy je badaczom i historykom literatury, może w przyszłości podejdą do Stachury z większym spokojem i zrozumieniem.

Ziemowit Fedecki napisał, że nie był Edward Stachura poetą młodzieżowym. Uznał za „podejrzaną" kategorię „młodzieżowości", która nigdy nie sprawdziła się jako „kryterium literackie". Co oczywiście wcale nie oznacza, że nie może się sprawdzić w przypadku Stachury. Sądzę, że autor „Kropki nad ypsylonem" był i w dalszym ciągu jest czytany głównie przez ludzi młodych. Otóż, sam należę do pokolenia, które czytało i pasjonowało się Stachurą jeszcze przed jego samobójczą śmiercią i kiedy teraz spoglądam na ten czas, już z pewnej perspektywy, dochodzę do wniosku, że najbardziej w jego pisaniu pociągał mnie egoizm. Każdy młody człowiek przechodzi przez okres, jakby to powiedzieć wzmożonego egoizmu, widzenia świata przez „ja" podniesione do potęgi i na tej płaszczyźnie nastąpiło spotkanie ze Stachurą, z jego bardzo indywidualnym, egocentrycznym widzeniem rzeczywistości. Od tej postawy odszedł dopiero pod koniec życia w „Fabula rasa", jak sądzę trochę wbrew sobie. Wielbiciele jednak szybko zaakceptowali przemianę mistrza, a krytycy utwierdzili ich w przekonaniu, że to najlepszy utwór w jego dorobku i oryginalnie połączyli go z dotychczasową twórczością, trochę na siłę, ale nie szkodzi, ważne, że wszystko ostatecznie się zgodziło.

Na przykład w tym wywodzie: *„Przyjąć więc trzeba do świadomości — ze wszystkimi odrażającymi dla niej skutkami — europejski egoizm indywidualny, wejść weń bezwzględnie, świadomie, głęboko, a u kresu tego postępowania świadomość dostrzeże nową perspektywę".* Autorka sugeruje tutaj, że Stachura założył sobie takie, a nie inne postępowanie, krótko mówiąc, wiedział już u samego początku, gdy pisał pierwsze wiersze i opowiadania, że u kresu napisze „Fabula rasa". Do mnie jakoś te argumenty nie przemawiają i wolę pozostać przy swoich ulubionych poematach.

Zrobiono ze Stachury idola, buntownika, stworzono mit, który, niestety, ciągle rośnie, jest większy i czekać tylko, kiedy runie, a młodzież znajdzie sobie nowego bohatera. Sam Stachura jakby przeczuwał co może się stać i pytał: *„Dlaczego koniecznie chcecie zrobić ze mnie bożyszcze?".* Pocieszający jest tylko fakt, że jeśli już cały ten sztucznie zbudowany gmach runie, na zgliszczach usiądzie kilku autentycznych miłośników jego twórczości i podejmie prawdziwą dyskusję, a może nie będzie już komu rozpocząć rozmowy. I ktoś tylko zapyta za poetą, którego wiersz co prawda nie dotyczy Stachury a Hłaski, ale pytanie zarówno w jednym jak i drugim przypadku może być aktualne:

„Gdzie jesteś Hłasko frajerze
Poeto wiecznej młodości".

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

1

Do lasu po skarby

Wielką bulwersację w narodzie zbudził zamiar Polskiego Związku Wędkarskiego wprowadzenia rejestracji połowów przez jego członków. Kto może obśmiewa ten pomysł, gdyż faktycznie wydaje się on być bezsensownym. Aliści w „Życiu Warszawy" naczelny redaktor miesięcznika „Wiadomości Wędkarskie" a także członek Zarządu Głównego PZW — Sylwester Bajor, odpowiadając na pytania Piotra Borkowskiego, próbował racjonalnie uzasadniać potrzebę wprowadzenia rejestracji.

W Polsce — jak się okazuje — wędkuje więcej niż milion ludzi, nie licząc wędkarzy niedzielnych oraz kłusowników. W ciągu roku łowią oni kilka milionów ryb. Nasze rzeki i jeziora podlegają też degradacji z różnych powodów. Ten milion facetów z wędkami nad ich brzegami a także w łódkach też się nie przyczynia do rozwoju fauny, a raczej do zachwiania równowagi biologicznej. Takie są szacunki. Trzeba poznać prawdę. Można to uczynić tylko przez rejestrację połowów.

Pod warunkiem — to już mój komentarz — że rejestracja będzie prawdziwa. Wędkarze należą do największych łgarzy. Każdy złapał taaaaaaką rybę, o czym wszystkim chętnie opowiada. Słuchacze na ogół udają, że wierzą. Czy zatem łowca taaaaaaakiej ryby przyzna się, że to była w rzeczywistości wymiarowa płotka oraz trzy uklejki i jeden okonek? Mam wątpliwości. A już niedzielni wędkarze oraz — często najgroźniejsi — kłusownicy do niczego się nie przyznają. Wróćmy jednak do informacji Sylwestra Bajora.

Rejestracja połowów — utrzymuje on — nie jest czymś nowym. Dokonują jej wędkarze kilku krajów Europy, a wśród nich wędkarze Czechosłowacji. Redakcja „Wiadomości Wędkarskich" zapoznała się z wynikami rejestracji połowów w CSRS. Również w Polsce w dwu okręgach PZW, w Słupsku i Krośnie w 1986 roku wprowadzono obowiązek rejestracji połowów. Ich doświadczenia pozwolą znaleźć dobry sposób dla rejestracji w całej Polsce.

No i bardzo dobrze. W najbliższym czasie na ryby się nie wybieram. Najbardziej bowiem nie cierpię pisania sprawozdań, choć jestem wielkim przeciwnikiem naruszania równowagi w przyrodzie. I jest mi przykro, gdy widzę jak nad rzeką stoi zadumany wędkarz a ryba mu uparcie nie bierze. Gdybym umiał nurkować, podpłynąłbym i coś bym mu do tej wędki przyczepił. Ale nie umiem.

Idąc jednak dalej zaproponowałbym również rejestrację grzybów. Otóż znam pewnego uroczego rudzielca, który jak tylko znajdzie się między drzewami, natychmiast schyla głowę i nic ją nie obchodzą piękne widoki, całość przyrody, ona jedynie zbiera grzyby. Las wokół niej natychmiast pustoszeje. Jak się orientuję w Polsce jest kilka milionów takich grzybiarzy, a ceny grzybów na rynku zimą idą w dziesiątki tysięcy złotych za kilogram suszonych. Wprowadziłbym zatem obowiązek rejestracji zbiorów oraz podatek od wzbogacenia się. Jak to zrobić? Nic prostszego!

Przede wszystkim należałoby powołać Związek Zbieraczy Runa Leśnego, wprowadzić legitymacje, składki, wybrać Zarząd Główny oraz zarządy okręgowe. Pracownicy tego ZZRL w sezonie udawaliby się na drogi wiodące do lasu. Tam ustawialiby stoliki z wagą, rozkładali księgi i tabele podatkowe. Do lasu zezwoliłbym wchodzić wszystkim. Wychodzący z lasu byliby dokładnie kontrolowani. Ich zbiory byłyby ważone, przeliczane na grzyby suszone oraz marynaty i następnie oceniane według cen obowiązujących na rynku przed sezonem. Na przykład kilogram suszonych borowików kosztował 16 tysięcy złotych, a więc doliczając inflację bierzemy podatek od 18 tysięcy złotych. Z dziesięciu kilogramów grzybów uzbiera się kilogram suszonych. Wypisujemy kwit, pobieramy opłatę i zezwalamy wracać do domu. Kto nie chce płacić, zostawia zbiory i udaje się do domu wolny niczym ptaszyna. Korzyść miał i tak, bo spędził parę godzin oddychając zdrowym, leśnym powietrzem. A w grzybach mógł być jeden śmiertelnie trujący.

Takie stoliki ustawiałbym przed autokarami parkującymi opodal lasów, przed samochodami parkującymi na poboczach szos biegnących przez las. Kazałbym też kontrolować drogi, czy wracający z grzybami mają kwity, że opodatkowali zbiory. Opodatkowanie jest dobrowolne, to znaczy, że każdy dobrowolnie zgłasza się do opodatkowania, a kto nie zgłosi się dobrowolnie, płaci karę i procenty od kary. Można przelewem, przekazem pocztowym.

Wyobrażam sobie tę ciszę i spokój, jaki zapanuje w lasach. Nikt tam nie będzie pohukiwał, ściółka leśna będzie wolna od pustych paczek po „klubowych", butelek po „stołowej" i piwie. Zwierzyna leśna odetchnie. Nikt nie będzie łamał drzewek w lesie, aby zajrzeć pod nie, czy nie został po niedzielnym pogromie jakiś biedny grzybek. Nastanie leśny raj.

A jak grupa pracowników Wytwórni Produktów Nikomu Niepotrzebnych zechce wybrać się na grzyby, aby sobie popić na wolnym powietrzu, to rozłoży biwak pod lasem. Skutek będzie ten sam.

WITOLD BOROWY

2

Wszystko przez niedźwiedzia

Przyszedł do mnie Piotruś Paśnik i zaagitował.

— Zostań członkiem Towarzystwa Przyjaciół Zwierza Łownego!

— Dlaczego Zwierza Łownego? Czy nie lepiej zostać członkiem Towarzystwa Przyjaciół Przyrody. Wszystko jest przyrodą — próbowałem wyjaśniać — ty, Piotrusiu też jesteś przyrodą. I Andrzej Karol również, choć czasem głupoty wypisuje. I bardzo ważni ludzie, to też przyroda, choć może im się inaczej wydaje. Więc dlaczego dzielić tę przyrodę na przyjaciół powietrza, wody, czystej oczywiście, zieleni prawdziwej, zwierzyny niełownej i łownej.

— Ano właśnie dlatego, że innymi częściami przyrody już się inni zajęli. A takim zajączkiem — tłumaczył mi Piotruś — nikt się nie opiekuje. Chodzą po polach jacyś panowie z przerażającymi dwururkami, z których plują ołowiem do zajęcy, a jak później pójdziemy z Zyziem L. do „Zaciszа" na zająca w śmietanie, to plujemy śrutem.

— Ale jak będziecie przyjaciółmi zajączka, to skąd go później wezmą w „Zaciszu", żeby udusić w śmietanie?

— My będziemy — Piotruś Paśnik był niebywale cierpliwy — przyjaciółmi zajączka żywego, kicającego pod miedzą, a jak już będzie martwy, to nic nam nie przeszkodzi, żeby go w „Zaciszu" z Zyziem L. skonsumować. Jedno nie przeczy drugiemu. Ale ktoś musi być przyjacielem zajączka.

I tak zostałem przyjacielem Zwierza Łownego.

Wybrałem się więc na zebranie TPZŁ. Szefem naszego koła był facet z dużymi wąsami. Zagaił krótko.

— Koledzy! Przyjaciele! Jesteśmy przyjaciółmi Zwierza Łownego. To piękne. Wspaniałe. Ale nie możemy być przyjaciółmi wszystkich zwierząt naraz. Nasze koło zostało zobowiązane do wybrania sobie jednego zwierza i opiekowania się nim wszędzie i zawsze. Musimy teraz przedyskutować i przegłosować, jaki to będzie zwierz. Proszę zgłaszać propozycje z uzasadnieniem.

Natychmiast wstał Piotruś Paśnik i zawołał:

— Proponuję wybrać zająca. Jest to zwierz niebywale pożyteczny, ale biedny zarazem. Śpi on nawet z otwartymi oczyma. Polują na niego okropni myśliwi, którzy chodzą po polach z przerażającymi dwururkami i...

— Piotruś! — szarpnąłem go za połę marynarki.

— Nie martw się o „Zaciszu" nic nie będzie — odpowiedział mi szeptem i ciągnął:

— ...i strzelają do tych biednych zwierzątek. A inni to je nawet w siatkę łapią i gdzieś w obce kraje wysyłają, a one biedactwa tęsknią później do ojczyzny. I nikt się z nimi nie przyjaźni.

Ledwie skończył a zaczął się tumult przeogromny. Przyjaciele Zwierza Łownego przekrzykiwali się wzajemnie. Jedni proponowali objąć opieką lisa, kunę, sarnę, łosia, żubra, kuropatwę, dzika. Przewodniczący z dużymi wąsami zapisywał wszystko starannie, ale był coraz bardziej skołowany i pokazywał gestem zapożyczonym od Wojciecha Pokory z Kabaretu Olgi Lipińskiej, że już powyżej uszu ma tego wszystkiego i zupełnie nie wie, co ma robić. Aż nagle wstało duże, ryże, to jest — przepraszam — rude chłopisko i podniosło rękę do góry. Zrobiło się cicho.

— Koledzy! — zaryczał rudy. — Przyjaciele Zwierza Łownego! Rozejrzyjcie się wokół! Czy tak wspaniali ludzie jak tu zgromadzili się, mogą być przyjaciółmi biednego zajączka, lisa chytruska czy wreszcie dzikiej świni? Nie!!! — huknął aż przez salę przeszedł dreszcz. — Po stokroć nie! Nam potrzebny jest symbol siły. My powinniśmy być przyjaciółmi — tu na chwilę wstrzymał oddech — niedźwiedzia!!!

Teraz tumult był nie do opisania. Każdy bronił swojej propozycji. Przewodniczący bił pięściami w stół. Pogubił się zupełnie. Nie wiedział, w jakiej kolejności jakie wnioski poddawać pod głosowanie. Zaproponował głosowanie nad porządkiem głosowania. I gdy już miały się podnieść ręce w tym bezsensownym głosowaniu, ktoś zapytał:

— Czy jest aby quorum?

Okazało się, że nie ma i całe zebranie jest nieważne. Postanowiono zwołać je w kolejnym terminie.

Po zebraniu staliśmy chwilę w większej grupie i ktoś zaproponował, aby wpaść gdzieś „na jednego". Propozycję przyjęto z aprobatą. Ktoś zaproponował „Zacisze". Piotruś Paśnik gwałtownie zaoponował.

— To dziura!

Padły inne propozycje. Ale zawsze ktoś miał inne zdanie i oponował. W końcu nie poszliśmy „na jednego". Rozeszliśmy się ze skwaszonymi minami.

No, może z tą różnicą, że sam poszedłem do „Zacisza", gdzie niespodziewanie zastałem Piotrusia Paśnika. Wypiliśmy po jednym pod zająca w śmietanie.

Jeśli Zwierz Łowny takich ma przyjaciół, to ani chwili nie może spać spokojnie — pomyślałem sobie, pijąc za zdrowie zajączka.

ZENON POROWATY

3 Sport

Sensacje spoza boiska

W RFN ukazała się książka bramkarza reprezentacji piłki nożnej i klubu FC Köln — Toni Schumachera pt. „Anpfiff". Ten dźwięczny obcy wyraz oznacza pierwszy gwizdek sędziego, rozpoczynający mecz. W zasadzie piłkarz chwytający za pióro nie jest czymś nadzwyczajnym. Na przykład Zbigniew Boniek wydał już chyba z trzy książki. Publikowali też trenerzy piłkarscy. A propos Zbigniewa Bońka. We Włoszech krąży plotka, że „rozgląda się on po Europie", jako że Roma rozgląda się za innymi cudzoziemcami.

Książka Toni Schumachera wywołała jednak w RFN skandal. Stało się tak dlatego, że jej fragmenty szeroko spopularyzował — jeszcze przed jej ukazaniem się — tygodnik „Der Spiegel", a więc szybciej stało się jasne, co za tajemnice ujawnił Toni Schumacher. Wypowiedział się on w trzech kwestiach. Opisał atmosferę, jaka panowała w Meksyku podczas ostatnich mistrzostw świata, krytykując przy tym ostro Franza Beckenbauera. Wypowiedział się o tym, jak jego zdaniem powinien być traktowany seks przez piłkarzy. Odsłonił też kulisy opieki lekarskiej nad piłkarzami podczas mistrzostw świata w Meksyku i nie tylko. Niby nic nowego, a jednak.

W Meksyku podczas ostatnich mistrzostw świata wszyscy byli skłóceni, podzieleni na trzy grupy: „monachijczyków", „kolończyków" i „obojętnych". Toni Schumacher należał do grupy „kolończyków", nazywanych też „kolońską mafią". Grupy nawzajem się nie znosiły i zwalczały, a Franz Beckenbauer nie panował nad sytuacją i swoimi wypowiedziami dla dziennikarzy, zaostrzał sytuację, zamiast ją rozładowywać. W takiej atmosferze nie można było zdobyć mistrzostwa świata.

Sporo miejsca Toni Schumacher poświęca Karlowi-Heinzowi Rummenigge, który był kontuzjowany, ale za wszelką cenę chciał grać, aby pokazać, że należy nadal do czołówki. Był zestresowany i w konflikcie ze wszystkimi. Nie było wesoło w ekipie RFN. Nie było też wesoło kanclerzowi federalnemu Helmutowi Kohlowi, który przyjechał na finały.

Po powrocie wicemistrzów świata do RFN rozpoczęła się burzliwa dyskusja nad poziomem opieki lekarskiej na mistrzostwach. Sprawował ją prof. Liesen. Dostało się mu zdrowo. Piłkarze ocenili, że przedawkowywał witaminy i minerały. Po trzecim treningu wszyscy w drużynie dostali biegunki. Później, kto tylko mógł, udawał, że bierze witaminy czy żelazo. Czuli do tego wstręt. Lekarze, z którymi po powrocie do domu rozmawiali, wyrażali wątpliwości, czy racjonalne było stosowanie dużych ilości metali śladowych i minerałów, gdyż nie było wiadomo w jakie wzajemne reakcje i związki wchodzą w poszczególnych organizmach. Piłkarze dostawali również zastrzyki. Prof. Liesen sam zrobił około 3 000 zastrzyków. Aplikowano im też pigułki nasenne, których zażywania Toni Schumacher kategorycznie odmówił. On najlepiej śpi po trzech szklaneczek piwa. Musiano się zgodzić na taką wyjątkową terapię przedsenną.

Najciekawsze są poglądy Toni Schumachera na seks piłkarzy. Niektórzy godzą się na przerwę w życiu seksualnym. Inni — nie. Niektórzy biorą z sobą żony, ale one nie zawsze chcą służyć tylko do seksualnego wyładowywania się mężów. Stosowanie zakazu życia płciowego jest — zdaniem Toni Schumachera — bezpodstawne i bezskuteczne. I tak niecierpliwi wymykają się do pobliskich burdeli i przywożą ewentualnie trypra. Albo ktoś im daje znać, że w barze hotelowym siedzą panienki, a później dostają profilaktycznie zastrzyk penicyliny.

Toni Schumacher uważa, że powinna być zorganizowana „miłosna obsługa" drużyny. Panienki zdrowe, chętne, pod lekarską kontrolą, gotowe na każde zawołanie. Kto im ma za to płacić? — autor tego nie wyjaśnia. Ale boję się, czy Niemiecki Związek Piłki Nożnej pójdzie na taką koncepcję.

Niby nic złego, że piłkarz pisze książkę i wyraża w niej swoje poglądy na różne sprawy. Karać go za to nie można. Ale Toni Schumacher pozbawiony został funkcji kapitana narodowej reprezentacji, nie wzięto go pod uwagę w planach szkoleniowych NZPN. Również FC Köln wycofał go z drużyny. Autor książki „Anpfiff" czeka na wyjaśnienie motywów tych decyzji. Obrazili się przede wszystkim działacze. A obrazili się dlatego, że Toni Schumacher ujawnił, iż w piłce nożnej w RFN od dawna bierze się różne środki dopingujące. Najbardziej dostępnymi są środki przeciwkaszlowe. I tak długo się tego nie zwalczy, póki nie wprowadzi się skutecznej kontroli wszystkich grających. Tego już było niemieckim działaczom za dużo. Kto bowiem lubi, gdy go poucza jakiś bramkarz, nawet reprezentacyjny?

BOGDA MADEI

Sodoma

„Z Witkacym łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicza stać na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznie bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym".

JACEK KRAKOWSKI **(4)**

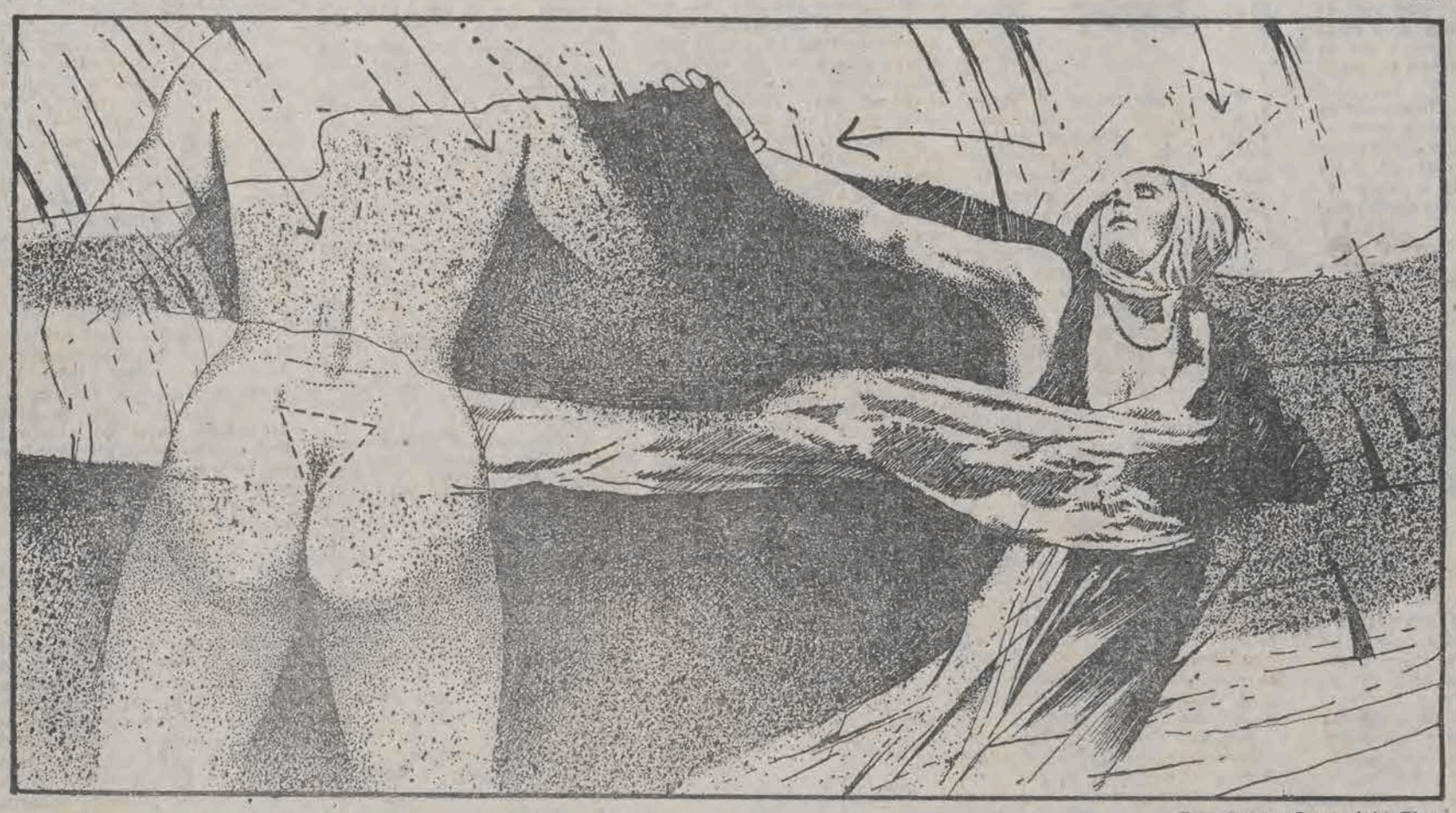

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Kupiłam jabłka i jeżeli ich nie zawekuję, to mi zwiędną albo pleśń na nie wejdzie. Chciałam zrobić przecier na zimę, wiesz, można go będzie jeść jak dżem albo, jeśli potrzeba, przełożyć nim ciasto i jabłecznik gotowy. Tylko, że to tyle roboty z tym obieraniem, ale nie cierpię sklepowych przetworów. Takie jakieś.. bez smaku.. a drogie jak wszyscy diabli! Nie kupowałam tych najpiękniejszych jabłek, bo i po co. Kupiłam te tańsze, trochę poobijane albo nadgniłe, ale to nic nie szkodzi. Wykroi się to, co zepsute i już. Zapłaciłam właściwie połowę ceny i tylko dlatego opłaca mi się robić te przetwory. Czasami dodaję trochę gruszek albo agrestu. O, właśnie! Chciałam cię zapytać, czy nie mogłabyś mi pożyczyć kilku słoików. Obleciałam całe miasto i nic nie dostałam. Przecież teraz nie wyrzucę tych jabłek. Mam parę weków, ale co to jest... Całe szkło zajmują mi konfitury z poprzednich lat, mówię ci, palce lizać: porzeczki, śliwki, wiśnie, truskawki w syropie, gruszki kandyzowane... Dlatego w tym roku postanowiłam nie robić żadnych innych owoców prócz jabłek. Przecież jabłka to samo zdrowie. Kupiłam ich ze dwanaście a może trzynaście kilo. Wiesz, już sama się w tym wszystkim gubię. Kobieta samotna musi myśleć dosłownie o wszystkim. Nie dosyć, że to ja mam właściwie cały dom na głowie, to jeszcze te jabłka. I tylko trzy małe słoiczki! Naprawdę nie wiem, co zrobię, jeśli mi nie pożyczysz tych słoików. Najlepiej byłoby gdybyś mi je zaraz dała. Chyba zdążyłabym przez całą noc usmażyć te jabłka.

Niestety, kochanie za pół godziny mam lekcję jazdy na ogierach. Naprawdę muszę się do niej solidnie przygotować. Nie wiedziałaś? Wydawało mi się, że już ci o tym mówiłam. Tak, od pewnego czasu uczęszczam na kurs, zdając sobie sprawę z moich braków w wykształceniu ogólnym. Nie wiem, kochanie, czy kiedykolwiek zdarzyło ci się jeździć na ogierze. Jeśli nie, to żałuj. Jazda ta dostarcza wielu niezapomnianych przeżyć. Na razie to dopiero pierwsze lekcje, podczas których uczymy się właściwie dosiadania ogiera. Ach, mówię ci, czuję się usatysfakcjonowana i podniecona bez reszty. Polecam ci ten kurs, bo po jego ukończeniu istnieje możliwość otrzymania ogiera na własność wraz z urządzeniem do jego przewracania. Nazywamy je kołyską, bo rzeczywiście przypomina ją, tyle, że zamiast biegunów ma obręcze. Ogiera wstawia się do kołyski i odwraca. Ach, co to za rozkoszny widok widzieć ogiera z nogami do góry! Oczywiście, konieczny jest specjalny strój do jazdy na ogierze, coś w rodzaju uprzęży, którą należy się przypiąć do kołyski, aby nie spaść z ogiera podczas jazdy. Opanowuję właśnie sposób siadania na ogierze. To nie jest wcale takie łatwe, jak ci się wydaje. Trzeba usiąść we właściwym miejscu — nie na brzuchu i nie na ogonie. Ogiery mają tam takie dwa...

Ale te słoiki muszę najpierw porządnie wymyć i wyparzyć wrzątkiem, a następnie wytrzeć do sucha. Szczególnie muszę uważać na gumki, żeby nie były sparciałe. Przecieram je mokrą szmatką, ale broń Boże z mydłem, bo skruszeją. Potem poustawiam słoiki na stole i zabiorę się do obierania jabłek. Na pewno zatnę się przy tym w palec. A poza tym, wiesz, nie cierpię tego kwaśnego soku, który z nich cieknie. Brr! Zresztą, mówiąc między nami, na samą myśl o jabłkach zęby mi cierpną i dostaję szczękościsku. Wczesne, zielone papierówki... Nie mogę o nich nawet pomyśleć, bo drgawki mnie biorą, zupełnie tak, jakbym słyszała, że ktoś korkiem piszczy po szkle. Ale cóż robić... Wszystkie owoce są teraz cholernie drogie, więc kupiłam trochę jabłek z zeszłorocznych zapasów. Przynajmniej to jedno będę miała już z głowy. Jesienią, kiedy wszyscy będą smażyć i gotować, ja będę już mogła jeść gotowe przetwory. Powiedz sama, czy nie jestem oszczędną i zapobiegliwą gospodynią. Nie cierpię jabłek, to prawda, ale czy to ich wina.

Kiedy już się siedzi na ogierze, trzeba się dobrze chwycić kołyski, bowiem nierzadko zdarza się, że ogier zaczyna wierzgać. Nie należy wtedy schodzić z ogiera, przeciwnie, chwycić go mocniej kolanami i ściskając w dłoniach specjalne uchwyty, rozkołysać urządzenie, póki się ogier nie uspokoi. W wypadkach znacznego wzburzenia prowadzący zajęcia polewa ogiera zimną wodą, a jeśli i to nie pomaga, daje mu dożylnie pół litra waleriany.

A z tym smażeniem, to dopiero jest robota. Stój tak przy piecu w tym gorącu i albo dokładaj węgla, albo mieszaj konfitury, żeby się nie przypaliły. Najchętniej wypieprzyłabym to wszystko za okno.

Nie cierpię zwierząt, szczególnie koni, a już ogiery są wprost obrzydliwe z tymi tam... pod brzuchem... narządami. Nigdy przez myśl mi nie przeszło, że będę musiała uczęszczać...

Ich rozmowę raz po raz zagłuszały coraz głośniejsze wrzaski dochodzące zza okien. Wreszcie Xenia i Felixa wyjrzały na podwórze, zaczęły histerycznie wrzeszczeć i wybiegły z pokoju. Otworzyliśmy okno. Ludzie siedzieli na płocie wymachując pochodniami, a jakiś głos wzmacniany przez megafony nawoływał ich do czegoś i podjudzał do rozprawy. Zdawało się, że za chwilę rzucą się na dom, a jednak słowa z megafonów powstrzymywały ich, jak się nam zdawało, przed ostatecznym natarciem. Lancelot i Atanazja stali na ganku, przytuleni do siebie a Xenia i Felixa wyglądały przez okno w kuchni.

Zdaje mi się, że to głos Hieronima, powiedział Laurenty.

Tylko on może przemawiać tak długo i tak zawile, zauważył Sylwester.

Zapewne nie wszystko zdążył powiedzieć nam, kiedy odjeżdżaliśmy.

Nigdy nie miał nic do powiedzenia, lecz tym razem, posłuchaj, przechodzi samego siebie.

Myśli płoną w nas niby salamandry w ogniu. Palą się, popieleją i znowu wybuchają płomieniami, a ich istotę stanowi nieustanna zmienność, w której nie ma czasu na niszczenie i nastawanie, bowiem szybciej następuje ich przemiana niż zniknięcie. Lecz jestliwość, którą tu postrzegacie, nie ma z nimi nic wspólnego. Jej sprawcą jest człowiek i tylko on jest za nią odpowiedzialny. Człowiek ustanowił jestliwość na obraz i podobieństwo swoje, a myśl podszeptywała mu cały czas, że jest inaczej, wypełniając sobą pustkę, gdy tylko przestawał na chwilę być światem stworzonym na swoją miarę. Lecz człowiek walczył z nią, obudowując się coraz bardziej swoją jestliwością, zajmując się nią ponad miarę i troszcząc się o nią nawet wtedy, gdy nie wymagała jego opiekuńczego ramienia. I poddawała mu się, albowiem ugniatała go i modelowała wedle swojej wytrwałej bezmyślności, którą podstępnie wkradała się w człowieka jego ciałem. I nazwał człowiek rzeczywistość Bogiem, a myśl — Szatanem. I tak nastała nieskończoność.

Człowiek w nastaniu swym uwierzył w to rozdzielenie, w ten szaleńczy, bezsensowny i niebezpieczny podział, gdyż lękał się przede wszystkim samego siebie, starając się oddalić ze swej jestliwości wszystko to, czego nie potrafił zrozumieć. Bóg — lub cokolwiek co pod tym mianem pojmował, a co miało stanowić jego własne potwierdzenie — był tym, który objawiał sens, prawdę, wolność i sprawiedliwość, mające królować w świecie człowieka, natomiast Szatan — owo zaprzeczenie zdroworozsądkowego widzenia świata — stwarzał człowiekowi możliwość bezkarnych szaleństw, którymi obarczał nieznaną mu siłę. Tylko tyle bowiem zdołał zrozumieć z myśli, usiłując (podobnie, jak to uczynił, z Bogiem) realizować ją w swej naiwnej jestliwości. Miara czasu, którą pochopnie przyjął człowiek, chcąc za wszelką cenę odseparować się od możliwości zaprzeczenia samemu sobie, stała się w końcu jego kamieniem u szyi, gdyż za każdym razem, ilekroć porządek Boga został naruszony, odbudowywał się on w analogicznej lub identycznej postaci domów, rodzin, wszelkiej codzienności, natomiast bezczasowy i zmienny Szatan ukazywał mu tym bardziej Inność, im bardziej człowiek starał się wrócić do swego Boga. Tak nastała przestrzeń.

Nieskończoność i przestrzeń zniewoliły człowieka, przyjmującego dręczącą go i formującą jestliwość za właściwy i jedyny porządek trwania i wyobraźni, która zastępując myśl, stała mu się namiastką tajemnicy, surogatem głębi, przenikającej od czasu do czasu przez jego zarzeczywistniony umysł. Życie — jakkolwiek by je nazwać — stało się tylko pewnym wnioskiem, skostniałą formułą szczęścia, według której człowiek organizuje rzeczywistość, związując się z nią, niestety, na śmierć i życie.

I tylko czasami, gdy pozostawieni sam na sam z chwilą zapominamy o niej i o sobie w niej wyczekujących, przenika nas wrażenie czegoś więcej, czegoś p o n a d, co powoduje nagłe przyśpieszenie bicia naszego serca, wystąpienie potu na czole, krótki, przejmujący dreszcz i niczym nieuzasadniony lęk przed czymś, co mogło się zdarzyć, a co minęło już bezpowrotnie. To iskra myśli zapala się w nas i gaśnie, nie znajdując nawet miejsca, aby się spopielić. Na moment przed zaśnięciem, gdy opuszczamy już codzienność, a jeszcze sen nie uciszył w nas niepotrzebnych domniemywań, myśl wkrada się niepostrzeżenie w nasze sprzęty i troski, w nasze zasady i ambicje i bezwiednie dla nas samych wypłukuje z nich wszelkie wartości i prawa, które z takim trudem utrzymują nas na powierzchni czuwania. Nagła obawa przed bólem, śmiercią i nicością wybija nas z rytmu zasypiania. Wstajemy, szukamy pantofli, owijamy się szlafrokiem, palimy papierosy, przypominamy sobie naszą przeszłość, pijemy mleko z miodem, chodzimy po mieszkaniu, jemy ciastko, utwierdzamy się w prawdziwości i konieczności naszego postępowania, oddajemy mocz, spuszczamy wodę, jeszcze raz tłumaczymy sobie, że na nic innego nas nie stać, kładziemy się do łóżka, przewracamy się z boku na bok, zdajemy sobie sprawę, że już jest bardzo późno, wstajemy po raz drugi, bierzemy pastylkę na sen, zastanawiamy się przez chwilę czy nie połknąć całej zawartości opakowania, znowu kładziemy się do łóżka i zmęczeni zasypiamy nad ranem.

Często zastanawiamy się wtedy, nad jakimiś niezbyt jasno określonymi sprawami, nad czymś czego nie potrafimy albo nie chcemy wymówić. Odzywa się w nas dawno zapomniany dziecięcy spór, jakieś migotanie wody w południowym słońcu, wołanie, na które nie odpowiedzieliśmy, sprośność i występek, którym obawialiśmy się oddać, obawa przed człowiekiem, wiedzącym coś o nas, chęć mordu lub płacz nad samym sobą. Nasze prace, pieniądze, pozy i uniformy zdają się spoczywać na odpowiednich półkach, kiedy nas, zdenerwowanych swą nagością i bezbronnością obejmuje silnym uściskiem inny świat, ten, przed którym broniliśmy się przez całe życie. Przeszywani drgawkami lęku i ciekawości odnajdujemy się w Sodomie, na jednej z jej wąskich uliczek, gdzie czekają na nas mieszkania pełne łagodnego i ciepłego ukojenia, które za chwilę może przerodzić się w mordercze nieopanowanie, bezgraniczne rozpasanie lub w cichą, kojącą muzykę. Zdajemy sobie sprawę, że nie posiadamy żadnej władzy nad tym światem, że drzwi i okna nie chronią nas przed niemożliwymi do przewidzenia następstwami tej wewnętrznej opowieści, w której piekło i niebo nie zostały jeszcze oddzielone, a jednak ryzykujemy, wierząc, że to tylko mrzonka, fantasmagoria, z której zawsze możemy wyjść, mając tuż pod ręką naszą dobrze poukładaną rzeczywistość.

Tymczasem Sodoma zapada w nas nie Bogiem, nie Szatanem, których pojęcia umiemy w sobie oznaczyć, lecz odmiennością, niemożliwą dla człowieka, który ją odnalazł. Albowiem boimy się przyznać do tego, że myśl była przed nami i być może dla nas w ogóle nie jest przeznaczona. Nie umiemy jej sprostać tylko dlatego, że to nie my ją stworzyliśmy, lecz ona nas zrealizowała, pozbywając się części swego niebytu. Popadamy w bełkot, usiłując wykroczyć d a l e j i zrozumieć, co się za tym kryje, gdyż myśli jest obojętne, w jaki sposób podchodzimy do niej. Ona możliwa jest jedynie do i n n e j realizacji, która zdolna byłaby pojmować i n n ą jej zawartość. A jednak bezustannie dopominamy się tej reszty, zdajemy sobie z niej sprawę, mimo iż rzeczywistość, którą stworzyliśmy, twierdzi coś wręcz przeciwnego. Jestliwość nasza dopomina się użyteczności, funkcjonalności i odpowiedniości — obsesje te bez reszty pochłaniają nas, kształcąc w coraz to nowych maniach życia, tym bardziej określane jako trwałe, jedyne i niezmienne, im krócej trwa moda na nie. Lecz sama myśl o możliwości odwartościowania tych stanów jest dla nas zagadką i wskazówką pokazującą kierunek nie istniejący w tym świecie.

Jednak nasza Sodoma także nie jest wszystkim, do czego jest zdolna myśl. Stanowi ona jedynie pewien nie wykorzystany nadmiar, rozmyty brzeg człowieka, w który może się wychylić. Czy ciało pozbawione ślepej kiszki jest jeszcze człowiekiem? Twierdzimy, że tak. Czy ciało pozbawione rąk i nóg jest jeszcze człowiekiem? Twierdzimy, że tak. Czy człowiek, który nie rozumie rzeczywistości, jest jeszcze człowiekiem? Czy rzeczywistość, nie wymagająca udziału człowieka, jest rzeczywistością? Dlaczego właściwie stawiamy takie pytania i co skłania nas do tego? Jestliwość nie znosi z gruntu pytań o przyczynę i znaczenie. Buduje wtedy wielopiętrowe labirynty uzasadnień lub zamienia miejscami przyczyny i skutki w imię trzeźwej logiki lub bredni etyczno-psychologicznych. Opowieść staje się opisaniem, a Sodoma burdelem lub pijacką meliną. W ten sposób rzeczywistość nie pozwala nam oderwać się od niej.

A może mimo wszystko istnieje jakiś sposób na oddalenie się od jestliwości choćby na odległość, pozwalającą zdawać sobie z niej sprawę? Jest tylko jedna możliwość: pozbawienie jestliwości dostępu do źródła, z którego czerpie swoją siłę. Przecięcie więzów, które łączą ją ze Światem, a połączenie to, jak się domyślacie prowadzić musi przez Sodomę. Nasze miasto jest tym słabym punktem w teorii rzeczywistości, uznawanym jedynie przez wtajemniczonych egzegetów za konieczne, lecz niekontrolowane miejsce czasu, coś na kształt człowieczego burdelu, w którym człowiek musi się wyszumieć, aby docenić mógł prawdziwe życie. Jeżeli chcemy więc, aby jestliwość wpadła w swoją pułapkę, musimy własnymi siłami zniszczyć Sodomę, by w ten sposób uratować ludzi przed zagrożeniem rzeczywistością. Bowiem dopiero wtedy jestliwość oderwana od życiodajnego organizmu Świata, okaże swe prawdziwe oblicze zanim zacznie rozpadać się, więdnąć i gnić, ukazując jedyną prawdziwą śmierć — śmierć rzeczywistości.

Niestety, są wśród nas tacy, którzy nie dość, że nie chcą przyczynić się do zagłady Sodomy, to jeszcze próbują uciec stąd, aby ostrzec strażników jestliwości przed grożącym jej niebezpieczeństwem. Ten czyn ludzie ci nazywają „ocaleniem". Chyba wszyscy wiedzą, kogo mam na myśli. Dotychczas tolerowaliśmy ich dziwactwa i wybryki, ale myślę, że nadszedł już odpowiedni moment, aby ukrócić ich rozpasanie. Po południu przyjęli pod swój dach dwóch cudzoziemców przybyłych s t a m t ą d! Oni to właśnie mają za zadanie ułatwić ucieczkę całej rodzinie...

To nieprawda, krzyknął Lancelot, jesteśmy z wami! Chcemy wspólnie niszczyć Sodomę!

Zaprzeczają, rozległ się głos z megafonu, aby uratować siebie i cudzoziemców, lecz chyba nikt nie da się zwieść tym kłamstwom Jeśli rzeczywiście chcecie współuczestniczyć w dziele zniszczenia, wydajcie ich w nasze ręce.

Są naszymi gośćmi, zawołała Atanazja.

Wszyscy są tutaj gośćmi, wrzasnął głos z megafonu. Nikogo z nas nie stać na to, aby przebywać tutaj na stałe. Każdy z nas ma swój dom, swoją pracę, swoje dzieci, rodziny i ojczyznę. A jednak jesteśmy tutaj razem, wierząc, że tylko w tym mieście nasze zdziwienie może czemukolwiek służyć. Życie i śmierć nie liczą się tutaj zupełnie. Ważna jest jedynie wola obecności, którą każdy z nas rozprzestrzenia na inne osoby. Razem to miasto stworzyliśmy, razem je więc zniszczymy!

Nagle do pokoju wbiegły Xenia i Felixa.

Zdejmujcie ubrania, zawołała Xenia, szybko! Rzuciła się na Laurentego i zaczęła z niego ściągać marynarkę i spodnie.

Macie tu nasze sukienki, mówiła Felixa, pomagając Xeni rozpiąć zamek błyskawiczny. Wyjdziemy zamiast was. A my już damy sobie z nimi radę.

W czasie kiedy przebieraliśmy się wzmagały się wrzaski ludzi, siedzących na płocie, a głos z megafonu grzmiał coraz groźniej. ...pozostawali na naszej łasce i niełasce, gdyż każdy chyba zdawał sobie sprawę, że pewne odstępstwa muszą istnieć, chociażby jako negatywny wzorzec, który zawsze można postawić przed oczy tym, którzy nie chcą wierzyć naszym słowom. Jednak w obecnej sytuacji tolerowanie tego rodzaju o s o b l i w o ś c i wydaje nam się nie na miejscu. Mamy obecnie głowy zajęte znacznie ważniejszymi czynnościami niż przedtem. Przede wszystkim miejsce, które zajmuje dom z ogrodem jest nam niezbędne, w celu wzniesienia pomnika wybitnego mieszkańca naszego miasta, męża opatrznościowego i wodza duchowego Hieronima Questa. Pomnik ten stanowi nie tylko priorytetową inwestycję w kompleksie wielkich budów, które mają być wzniesione w jak najkrótszym czasie, ale będzie przede wszystkim symbolem niesłabnącej mocy i wiary...

C.D.N.